

KATARZYNA
WOLWOWICZ

BURSA

Seria kryminalna

z komisarz Olgą Balicką

zwierciadło

**KATARZYNA
WOLWOWICZ**

BURSA

zwierciadło

Spis treści

Karta redakcyjna

BURSA

Tytuł oryginału: *Bursa*

© Copyright by Katarzyna Wolwowicz, Warszawa 2023

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2023

Redakcja i korekta: Joanna Wysłowska

Skład i łamanie: Sylwia Kusz, Magraf s.c., Bydgoszcz

Zdjęcie okładkowe: Leah Flores/Stocksy.com

Projekt okładki: Eliza Luty

Redaktor inicjująca: Blanka Woškowiak

Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski

Wszelkie podobieństwa zdarzeń, instytucji i osób są przypadkowe i niezamierzone. Opowieść stanowi literacką fikcję.

Wydawnictwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności wobec osób lub podmiotów za jakiegokolwiek ewentualne szkody wynikłe bezpośrednio lub pośrednio z wykorzystania, zastosowania lub interpretacji informacji zawartych w książce.

Wydanie I, 2023

ISBN: 978-83-8132-493-9

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Widok 8, 00-023 Warszawa

tel. 603-798-616

Dział handlowy:

handlowy@grupazwierciadlo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie, w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Cichy dźwięk alarmu dochodzący z leżącej na stoliku nocnym komórki pomалу docierał do jego świadomości. Tego ranka zmęczony był bardziej niż zwykle. Pomimo to dzielnie wynurzył rękę spod kołdry i przeciągnął palcem po ekranie w prawą stronę, wyłączając budzik. Chociaż rodzice starali się, by wczoraj wieczorem nie słyszał kłótni, ich stłumione, ale stanowcze głosy przedostały się przez ściany, pokonały barierę betonowego stropu i dotarły do jego sypialni na górze strzępami, z których niewiele mógł zrozumieć, ale które nie pozwalały mu zasnąć. Spojrzał na wyświetlacz. Piąta. Za oknem panowała totalna ciemność. Ich dom stał na końcu ulicy, przy lesie. Od pierwszych latarni miejskich dzieliło go ze sto metrów, dlatego przed wschodem słońca w oknach można było widzieć jedynie mrok. Wzdrygnął się i podskoczył lekko na łóżku, kiedy o dach zadudniła spadająca z drzewa gałąź. Jesienny szelest kołysanych na wietrze drzew zdawał się teraz kojący, choć bywały takie poranki, że przyprawiał go o gęsią skórkę. Czasem, kiedy szedł na poranny autobus, ten odgłos wydawał mu się podkładem muzycznym do czającego się w mroku zła, zakapturzonej postaci podążającej za nim lub wyśmiewających się z niego kolegów ze szkoły. Wiedział, że jego wyobrażenia i wrażliwość na zewnętrzne bodźce były większe niż u rówieśników. A przynajmniej tak powiedziała mu pani psycholog, z którą się spotykał, gdy nie dawał już sobie rady ze swoimi myślami.

– To tylko gałąź – uspokajał się, racjonalizując głośno.

Wstał z łóżka, poszedł do łazienki zrobić siku i umyć zęby, ubrał się. Schodząc po schodach, starał się nie wydawać żadnego dźwięku, żeby nie obudzić mamy. Nie, żeby nie zależało mu na dobrym śnie ojca, ale on zawsze spał twardo, za to mama lekko. Często się o niego martwiła. Nie chciała, żeby jesienią nadal pracował w tym hotelu. Musiał do niego dojeżdżać do Szklarskiej Poręby, piętnaście kilometrów. Gdyby tam mieszkali, mama by się nie sprzeciwiała, ale wstawanie o piątej rano i samotny marsz na przystanek, kiedy na dworze panuje ciemność, nie wydawały jej się dobrym pomysłem dla niespełna szesnastolatka. On jednak bardzo tego pragnął i jakoś ją przekonał. Zbierał na motor i musiał weekendami zarabiać, jeżeli chciał kupić go na następne wakacje. Przecież to właśnie rodzice od zawsze wpajali mu przeświadczenie, że mężczyzna musi umieć zarabiać, utrzymać rodzinę. On był za młody na rodzinę, ale miał swoje pasje i marzenia, do których mama z tatą chętnie dokładali połowę potrzebnych środków, drugą część polecając mu zapracować samemu. Tak uczyli go przedsiębiorczości. Nie stanowiło to dla niego żadnego wyrzeczenia. Od dwóch lat dorabiał jako pomoc

kuchenna, kelner czy ogrodnik i bardzo to lubił. Gdyby mógł, rzuciłby szkołę w cholerę i poszedł do normalnej, regularnej pracy, z której potrafił wyciągnąć całkiem dobre pieniądze. Rodzice jednak postawili mu warunek. Może zarabiać, o ile nie dostanie w szkole żadnych jedynek, a jeżeli jakąś złapie, ma dwa tygodnie na poprawienie oceny, inaczej nici z pracy. Dlatego starał się ciągnąć ten edukacyjny wózek, choć bywało ciężko. Przed wyjściem na autobus wyprowadził jeszcze psa na poranną toaletę. Potem wziął torbę i zamknął za sobą drzwi.

Powietrze okazało się cieplejsze niż w ostatni weekend. Wiatr za to o wiele silniejszy. Nagły podmuch rzucił mu w twarz kilka liści, poderwanych z podłoża, a może zerwanych z drzewa? Nie zastanawiał się nad tym. Skupił się na doznaniu, że ten ciepły wiatr na jego skórze przywiewał mu obraz Magdy, koleżanki, którą poznał ostatnio w pracy. W hotelu, gdzie pracował, dużo dziewczyn dorabiało jako pokojówki, ale Magda była wyjątkowa. Delikatna i nieśmiała. Przy niej czuł się zupełnie inaczej niż przy pozostałych. Uśmiechnął się na myśl, że niedługo znowu ją zobaczy. Miał nadzieję, że dziewczyna zejdzie do kuchni na śniadanie pracownicze, które robi im zawsze pani Irena – Ukrainka zatrudniona w hotelu jako kucharka. Ją też bardzo lubił, wydawała mu się taką ciepłą ciocią, zawsze gotową go wysłuchać. Ona pierwsza zauważyła, że zauroczył się Magdą, i udzieliła mu kilku wskazówek, jak sprawić, żeby dziewczyna spojrzała na niego przychylniej.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś dźwięk. Nie był w stanie przypisać go do żadnego zjawiska atmosferycznego, więc jego szybko pracujący umysł zidentyfikował go jako odgłos upadającego człowieka, któremu wyleciało z rąk coś metalowego. Oddech mu przyśpieszył. Obraz uśmiechniętej Magdy ulotnił się jak kamfora. Tomek zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Z powodu drastycznie rosnącej ceny energii co drugą latarnię na ulicy wyłączono, ale i połowa z nich wystarczyła, by zobaczyć, że nie ma tu nikogo. Może mu się zdawało, może mózg spletał mu figla? Mimo to naszedł go jakiś dziwny lęk, którego nie czuł nigdy przedtem. Pierwszy raz droga na stację, skąd odjeżdżał zastępczy autobus TLK, wydawała mu się prawdziwie złowieszczą i niebezpieczną. Ruszył ponownie, szybszym krokiem. Szelest drzew stawał się coraz głośniejszy, wiatr wył jakąś okropną melodię, a szczekający za ogrodzeniem pies dopełnił dzieła. Tomek zaczął biec, co chwilę oglądając się gorączkowo za siebie. Jesienne powietrze zdawało się nagle duszące i lepkie. Skręcił w lewo i przywarł plecami do ściany jakiegoś budynku.

– Opanuj się – wydał sobie stanowczy rozkaz.

Przeczekał chwilę, próbując uspokoić oddech. Położył dłonie w okolicy mostka, gdzie poczuł kłujący ból. Serce dudniło mu pod rękoma tak głośno, że

zagłuszało myśli. Wyrzął zza winkła na pogrążoną we śnie ulicę. Cisza. Okolica wyglądała spokojnie i błogo. Pomarańczowe światło latarni padało na kolorowe, porozrzucane po chodnikach liście. Zrobił głęboki wdech i wypuścił z ulgą powietrze. Może mama miała rację. Może nie powinien jesienią wychodzić tak wcześnie do pracy. Postanowił porozmawiać z menedżerką hotelu, czy będzie mógł zamienić się z kimś na zmiany. Weźmie obsługę obiadów zamiast śniadań, co sprawi, że w ciągu dnia nie zostanie mu wiele czasu dla siebie, ale przynajmniej uniknie niepotrzebnych ekscytacji rano. Tak zrobi!

Uspokojony i z konkretnym planem na przyszłość postawił kolejny krok w stronę stacji. I wtedy poczuł ból. Silny, przeszywający do szpiku kości ból, którego nie da się do niczego porównać. Zakręciło mu się w głowie, a w ustach poczuł metaliczny posmak. Ostatnie, co zobaczył, to ciemne buty zbyt blisko swojej twarzy. Potem nie widział już nic.

— — —

W tym samym czasie w domu stojącym kilka ulic dalej zapaliło się światło. Kalina Rokoszyn poczuła przechodzący po karku dreszcz i trzepoczące z lęku serce. Czy miała koszmar? Spojrzała na pochrapującego koło niej męża, odsunęła kódrę i wyszła z ciepłego łóżka. Momentalnie poczuła chłód. Mimo to podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Wyrząła. Nagły, niedający się opanować przypływ rozpaczki niemal zgiął ją wpół i rzucił na kolana. Jej ciałem szarpnęły konwulsje i niemal zwymiotowała na podłogę. Do oczu napłynęły łzy. Wiedziała, że stało się coś bardzo złego...

Boże, jaki miałam koszmarny sen – powiedziała z przejęciem Olga, widząc, że jej mąż otworzył w końcu oczy.

Nie chciała go wcześniej budzić, ale nie mogła się już doczekać, kiedy wstanie. Przyjechał wczoraj późno i wiedziała, że był wykończony. Ale na Boga! Ile można spać? Zwłaszcza że noc upłynęła im spokojnie, bo dziewczynki przebywały u Elwiry. Wtulila się w niego mocno i nie miała zamiaru go puszczać. Na szczęście i jemu te przytulanki przypadły do gustu, choć chyba mylnie je zinterpretował. Zsunął rękę z pleców na jej udo i zaczął je gładzić.

– To mówisz, że dzieci nie ma, zwierzaki wypuściłaś na dwór – szeptał namiętnie – a ty potrzebujesz sennego pocieszyciela? – Uśmiechnął się delikatnie, po czym pocałował ją w usta.

– Kornel! – Wzdrygnęła się i spojrzała na niego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– No co? – Zaśmiał się, choć nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi. – A, dobra, już wiem. – Wyskoczył i niemal rzucił się biegiem do łazienki. Kiedy dokładnie wyszorował zęby, wrócił pod ciepłą kołdrę. Poranny seks bez mycia zębów możliwy jest tylko na filmach.

– Ha, ha, wariacie! – Chwyliła się za czoło. – Nie o to mi chodziło, ale miło, że pomyślałeś.

– Hmm... – Przytulił ją mocno. – Wygląda na to, kochanie, że tym razem naprawdę miałaś zły sen i nie są to żadne poranne zabawy... – powiedział poważniej.

Jego ciepło dawało jej ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Wtulali się w siebie nadzy i spragnieni bliskości. Ostatnie dwa tygodnie spędzili osobno. Po podpisaniu dwa miesiące temu umowy na zakup domu w Sobieszowie odbyli poważną dyskusję. Kornel nie wyobrażał sobie nadal utrzymywać się z pensji policjanta. Sam może jakoś dałby radę, ale chcąc zapewnić rodzinie dostatni byt, wiedział, że musi podjąć drastyczną decyzję. Odszedł ze służby. Już od jakiegoś czasu dostawał od swoich warszawskich kolegów propozycje nie do odrzucenia, z których wcześniej nie decydował się skorzystać. Ciągłe coś mu przeszkadzało. Najpierw wypadek Oli, potem śledztwo w szeregach CBŚ, później zakochał się w Oldze i razem przechodzili przez wiele problemów związanych z jej zagrożoną ciążą i Pawłowskim – ojcem dziecka, a kiedy Zuzia się urodziła, po prostu nie chciał zostawiać ich na dłużej niż to konieczne. Ale teraz, kiedy zamieszkała z nimi jego

jedenastoletnia córka Ola, wiedział, że musi podjąć tę decyzję. Odszedł z policji i zatrudnił się w niemieckiej firmie szkolącej ochroniarzy dla zamożnych obywateli. Został wykładowcą, nauczycielem lub mentorem – jak kto woli. Ta praca wiązała się z częstymi wyjazdami, ale kiedy przebywał w domu, mógł się poświęcać rodzinie w stu procentach, a co najważniejsze, nie musieli się już martwić o pieniądze.

– Chcesz pogadać o tym, co ci się śniło? – zapytał ciepłym głosem.

– Nie. – Podniosła głowę znad jego klatki piersiowej i spojrzała mu głęboko w oczy. – Teraz chcę się z tobą kochać. – Uśmiechnęła się zalotnie. – I tak, byłam już rano w łazience umyć zęby. – Roześmiała się, a on do niej dołączył.

Tego ranka nie musieli się spieszyć. Kochali się powolnie, może nawet lekko leniwie, rozkoszując każdym centymetrem swoich ciał, każdym dotykiem i każdą pieszczotą. Upajali się własną obecnością, uważnością na potrzeby partnera, doznawali spełnienia, patrząc sobie w oczy. Takie chwile bywały rzadkością, odkąd zamieszkali w czwórkę. Dlatego starali się je celebrować.

– Tak bardzo cię kocham – wyszeptła mu do ucha, kiedy po seksie leżała na nim. – Bardzo tęskniłam.

– Ja ciebie bardziej... – Przykrył ich kołdrą i razem zasnęli jeszcze na chwilę.

Śniadanie przygotowali dopiero koło dwunastej, a na obiad planowali wybrać się do restauracji razem w dziećmi.

– Może na rybę? Do Zachełmia albo Sosnowki? – zaproponowała, obierając skórkę z pomidora. Odkąd zaczęła podawać Zuzi warzywa, ten nawyk wszedł jej tak w krew, że dla nich też obierała.

– Czemu nie – przytaknął, wyciągając z wody gotujące się cienkie kiełbaski, białe dla Olgi, ciemne dla siebie.

– Jak było? Opowiadaj – poleciła, siadając do stołu.

– W porządku – podsumował krótko.

– W porządku? – zdziwiła się. – Nie ma cię dwa tygodnie i tylko tyle masz mi do powiedzenia? – oburzyła się.

Spojrzał na nią spode łba i się zaśmiał.

– Przecież codziennie rozmawialiśmy na Teamsie. – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No, niby tak, ale może nie mogłeś mówić wszystkiego. – Jej zielone oczy zwężyły się, kiedy obserwowała go uważnie.

– Że niby ktoś trzymał mi pistolet przy skroni i kazał zeznawać, że Niemcy to kraj mlekiem i miodem płynący? – Zarechotał.

Klepnęła go z naganą w ramię i udała naburmuszoną.

– Dobra, nie chcesz mówić, nie mów. Tak się właśnie rozpadają małżeństwa – rzuciła, udając poważny ton.

– Chodź, to pokażę ci, jak się godzą. – Przyciągnął ją do siebie, posadził na kolanach i zaczął opowiadać. – To naprawdę bardzo dobra praca. Ale nie mam tam czasu na nic innego. Od rana do wieczora szkolenia. Strzelnica, orientacja w terenie, zasady bezpieczeństwa, nowoczesne technologie, logistyka wystąpień publicznych i dziesiątki tematów, które trzeba ogarnąć. Jak chcesz, to może przy następnym wyjeździe przyjedziecie mnie odwiedzić z dziewczynkami? – zaproponował, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest to najlepszy pomysł, bo trudno będzie mu wygospodarować dla nich czas.

– Zobaczymy... – Wstała i zaczęła sprzątać po śniadaniu.

– Lepiej powiedz, co cię tak męczyło w nocy. Rzuciłaś się po łóżku jak ryba wyjęta z wody.

– Siedzą mi w głowie rodzice. Po tym, jak niepotrzebnie – podkreśliła z wyrzutem ostatnie słowo – dałam się przekonać Elwirze do odnowienia kontaktów, ciągle mam koszmary senne.

– Skoro to dla ciebie taki wysiłek, może trzeba to przerwać?

– Nie mogę. Obiecałam i dotrzymam słowa. Zresztą, wiesz, w jakim była złym stanie po akcji z Niedzielskim. Wiadomość, że jestem gotowa wybaczyć rodzicom i stworzymy jedną, wielką, szczęśliwą rodzinę, podniosła ją na duchu. Zupełnie tej dziewczyny nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego tak do tego dąży.

– Może potrzebuje poczucia stabilizacji i bezpieczeństwa – zasugerował. – Nie, żebym się gloryfikował, ale mam nadzieję, że ty doszłaś w życiu ze mną do momentu, kiedy czujesz się bezpiecznie, ona chyba nadal szuka spokoju.

– Masz rację i dlatego muszę to dla niej zrobić – powiedziała zdecydowanym głosem. – Choć jakoś nie wydaje mi się, żeby nasi starzy mogli dać komukolwiek stabilizację i poczucie bezpieczeństwa.

– Mówiłaś, że naprawdę przestali pić i od roku mają stałą pracę, tak?

Nie chciała już o nich rozmawiać. Skinęła jedynie głową i przeszła do milszego tematu.

– Jest nadzieja, że i dla mojej siostry zaświeci słońce miłości... – Uśmiechnęła się znacząco.

– To znaczy? – zaciekawił się.

– Spotyka się z kimś. A żeby było bardziej niesamowicie i wciągająco, to powiem ci, że uważa go za tego jedynego, którego wybrał dla niej los.

– Ooo! A na czym opiera tę hipotezę? – Kornel wziął się do zmywania garnka po kiełbasie.

– Okazało się, że ten chłopak, na którego kiedyś wpadła przy osiedlowej żabce, naprawdę ma na imię Leon i że od jakiegoś czasu był nią zauroczony.

– Poważnie? No to superwiadomość – uznał, wycierając ręce w ręcznik. – Co to za buczenie?

– Co?

– Nie słyszysz? – Poszedł do sypialni, skąd przyniósł jej wibrujący telefon.

– Cholera, Michalik – przeklęła, patrząc na wyświetlacz. – Wiesz, że jeżeli odbiorę, pomimo że mam wolny dzień, to może się okazać, że przestanie być wolny? – Spojrzała mężowi w oczy, jakby pytając o zgodę. Aparat ucichł, by po chwili znów zabręczeć w jej dłoni.

– No, odbierz – polecił. – Przecież wiem, że nie wybaczyłybyś sobie, gdyby jakaś gruba sprawa przeszła ci koło nosa. – Zaśmiał się i poszedł pod prysznic.

Zastanawiała się, czy wziąć auto, bo miejsce, gdzie znaleziono ciało, znajdowało się kilka kroków od jej domu. Ostatecznie jednak stwierdziła, że weźmie, na wypadek gdyby od razu pojechali na przesłuchania.

– Cholera – zaklęła, schylając się pod fotel pasażera, pod który wpadła jej komórka, kiedy wybierała numer Mirka Zagórskiego, jednocześnie wyjeżdżając z domowego podjazdu.

– Olga? Coś się stało? – Usłyszała ledwo dobiegający z podłoża głos kolegi. Przesuwała dłonią między fotelem a drzwiami i w końcu udało jej się chwycić smartfon. – Olga? Jesteś?

– Jestem, jestem! Nie rozłączaj się, czekaj! – Wykręciła ostrożnie, starając się, by telefon znów jej nie upadł. Następnie wrzuciła jedynekę, potem dwójkę i klikając kilka przycisków na ekranie, podłączyła zestaw głośnomówiący. Ni w ząb nie wiedziała, dlaczego nie włącza się automatycznie po odpaleniu silnika. Będzie musiała poprosić Kornela o ustawienie tego ustrojstwa. W końcu to jego volvo, choć teraz ona nim jeździła, bo on dostał samochód służbowy. – Już.

– Mów, co się stało, bo zaczynam się martwić.

– A niby o co? – zdziwiła się.

– Czy ty przypadkiem nie planowałaś dziś witać ukochanego męża i nie wychodzić z pościeli? – odpowiedział pytaniem na pytanie, dając do zrozumienia, że jeżeli dzwoni do niego w takim dniu, na bank musiało się coś wydarzyć.

– Zmiana planów – oświadczyła krótko. – Dawaj na bursę w Sobieszowie. Mamy trupa. – W telefonie zapadła głucha cisza. – Nie wiem, czy cię zatkało czy zostawiłeś telefon na stole i jesteś już w drodze... – stwierdziła humorystycznie.

– Zatkało mnie – przyznał. – Chcesz powiedzieć, że znaleziono zwłoki w tym samym miejscu, w którym dwa miesiące temu robotnicy wykopali trzy szkielety? – wołał się upewnić.

– Dokładnie tam, mój drogi kolego. A wiesz, co to oznacza? Że mamy grubą sprawę i to my będziemy ją prowadzili! – Niemal podskoczyła na fotelu z ekscytacji.

– Będę za dwadzieścia minut – rzucił pośpiesznie, czując udzielającą się mu energię Olgi.

– Masz tu być za dziesięć – rzuciła, przypominając sobie stare odzywki komendanta Kaweckiego, i uśmiechnęła się szeroko.

Skończyła rozmawiać w chwili, kiedy zajechała na miejsce. Kilkoro gapiów kręciło się po podjeździe i szeptało coś do siebie. Zostawiła auto dokładnie pod zakazem parkowania i poszła w stronę dwóch starych budynków, w których w ubiegłym stuleciu mieściła się bursa dla uczennic pielęgniarstwa. Omiotła je spojrzeniem. Pierwszy obiekt był parterowy, z cegły, którą robotnicy pracujący przy renowacji bursy obłupywali właśnie z resztek starego, szarego tynku. Prace remontowe, chwilowo wstrzymane w sierpniu z powodu znalezienia szkieletów na posesji, ruszyły we wrześniu pełną parą i przez okna było widać zmieniające się powoli wnętrza. Drugi budynek, połączony z pierwszym łącznikiem, znajdował się w opłakanym stanie. Ściany na konstrukcji ze rdzewiejącego metalu, spod którego wypadały poacie wełny mineralnej, rozbierali właśnie fachowcy. Pokrzykiwali coś do siebie w obcym języku ze wschodnim akcentem. Przez wybite okna wiatr wywiewał grube, brudne firany. Przeszła koło budynku ostrożnie, żeby nie dostać odłamkiem blachy. Podejrzewała, że za chwilę sam runie, bez niczyjej pomocy. Musiała jednak przyznać, że w czasach świetności było to zapewne magiczne miejsce – wśród ogromnych drzew i krzewów niczym w zaczarowanym lesie. Teren parku ogradał metalowy płot, wysoki na półtora metra, który choć czerwony od rdzy, sprawiał wrażenie solidniejszego od większości obecnych ogrodzeń. Pomyślała, że kiedy się uczyła, wiele by dała, by wyrwać się z domu i zamieszkać w takim otoczeniu. Aurelia opowiadała jej, że w latach młodości jej rodziców w tym ślicznym parku działały fontanny i stało wiele ławek. Niby tylko czterdzieści lat, a tak wiele się zmieniło.

– No, jesteś w końcu! – Artur Michalik podszedł do niej i zaprowadził w głąb, gdzie znajdowały się zwłoki. Pomarańczowe liście szeleściły pod stopami. Słońce przedzierało się przez konary, rzucając jasną poświatę. Było prawdziwe, październikowe babie lato. – Co jest? – Spojrzał na nią wnikliwie. – Wyglądasz jakoś tak... – szukał odpowiedniego słowa.

– Jakbyś przed chwilą uprawiała seks – dokończył Staszek Nowakowski, podnosząc się znad zwłok.

Olga przewróciła oczami. Takie teksty były normą w jej robocie, ale czasem po prostu nie chciało się jej wdawać w dyskusje.

– Wy też powinniście tego spróbować – odgryzła się. – To poprawia humor i są na to badania naukowe. Co mamy? – szybko zmieniła temat.

– Młoda kobieta, na oko przed dwudziestką – powiedział lekarz medycyny sądowej. – Chodźcie dalej, muszę zapalić. – Pstryknął zapalniczką, odpalił papierosa i zaciągnął się mocno. – Przyczyna zgonu to prawdopodobnie uduszenie, ale więcej będę wiedział po sekcji. Na pewno została też uderzona w głowę jakimś tępym narzędziem. Widać siniak, obrzęk i małe pęknięcie skóry.

- Została zgwałcona? – zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej na myśl.
- Nic na to nie wskazuje. Ale oczywiście będziemy to mogli wykluczyć dopiero po sekcji, tak jak i to, czy przed śmiercią odbyła dobrowolny stosunek. Jak widzisz, ciało nagie, brak ubrania, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.
- Wiemy, kim ona jest?
- Nie – Michalik zaprzeczył zdecydowanie. – Nie było przy niej ani torebki, ani dokumentów.
- Czas zgonu? – Zerknęła na Nowakowskiego.
- Prawdopodobnie trzydzieści do pięćdziesięciu godzin temu.
- Dwa dni... – Zamyśliła się. – Leży tu od dwóch dni i nikt jej nie zobaczył wcześniej?
- Wzruszyli tylko ramionami.
- Kto znalazł ciało?
- O dziwo, nie budowlaniac – odparł Michalik. – Jakiś dzieciak z pobliskich domów wyszedł na spacer z psem. Ten mu się zerwał i przybiegł prosto do niej. To adres młodego. – Podał jej kartkę. – Pojedziesz go przesłuchać po południu. Teraz rodzice zabrali go do domu i czekają na psychologa.
- Wezwałes Kaśkę? – Spodziewała się, że powie „tak”, ale jego mina zdecydowanie temu przeczyła. Sarnecka zastanawiała się, czy nie odejść z policji, jednak Olga miała nadzieję, że tego nie zrobi. Ostatnio cały jej zespół rozsypywał się jak domek z kart.
- Zapomnij. To jakieś miejscowe szychy. Mają w chu... kasy, a dzieciak własnego psychologa. Bądź u nich o szesnastej.
- Od kiedy to rodzice świadków dyktują nam, o której możemy się zjawiać? – obruszyła się.
- Od kiedy finansują połowę miasta swoimi hojnymi datkami. – Spojrzał na nią, jakby nie rozumiała, a co gorsza – niepotrzebnie rzucała się o taką bzdurę. Cała Olga, pomyślał. Wiele jest w stanie znieść, ale nie lubi, kiedy stawia jej się warunki.
- Rozumiem, że status społeczny powinien determinować moje podejście do ludzi podczas przesłuchania? – nie chciała odpuszczać.
- Olga! – Michalik westchnął ciężko, bo jej buntownicza natura zaczynała go wkurzać. – Jak chcesz się pałować po sądach z ich prawnikiem, to idź nawet teraz. Twoja sprawa.
- Mogę już podejść do ciała? – Wychyliła się za Nowakowskiego, chcąc dojrzeć ofiarę.

– Skoro czujesz taką potrzebę... – Z ust lekarza wyleciał kłęb białego papierosowego dymu, ale nie przesunął się, by mogła zobaczyć dziewczynę lepiej.

– Nie rozumiem. – Przeszła z nogi na nogę i popatrzyła na niego uważnie. Nie znali się dobrze. Wiedziała o nim tyle, że zastępował doktora Białego na urlopie i że uważany był za bezpośredniego. Do wszystkich walił na „ty” niezależnie od tego, czy znał kogoś całe życie czy pierwszy raz widział na oczy. Kilka razy z nim pracowała, ale już dawno temu i współpraca ograniczała się głównie do przesyłania raportów z sekcji.

– Wszystko opiszę w dokumentacji. Obiecuję niczego nie pominąć. – Zrobił znak krzyża na piersi i uśmiechnął się lubieżnie. – Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak piękne kobiety garną się do tak brzydkiej roboty... – Pokręcił głową z dezaprobatą i rzucił niedopałek na ziemię.

– I mówi to facet, który zawodowo kroci trupy. – Parsknęła mu w twarz i wreszcie go wyminęła.

– Grabisz sobie, Nowakowski – rzucił do niego komendant Michalik, puszczając oko. – Jeszcze jedna taka odzywka i Olga skuje cię w kajdanki, i rzuci na glebę.

– Wielu wiele by za to dało... – Staszek przeciągnął to zdanie, jakby wygłaszał niezwykle filozoficzną myśl.

– Coś mnie ominęło? – Usłyszeli szybki oddech Mirka Zagórskiego. – Przyjechałem najszybciej jak się dało. Co jest? – Spojrzył na leżące na ziemi zwłoki. – O matko! – Jego ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz. – Co jej się stało?

– Lisy – powiedział Nowakowski, jakby to jedno słowo miało wszystko wyjaśnić.

Olga przykucnęła i przyjrzała się uważnie ciału ofiary.

– Młoda kobieta rasy białej, na oko jakieś osiemnaście, może dwadzieścia lat. Ładna, zadbana... – Przerwała na chwilę nagrywanie na dyktafon i obejrzała paznokcie u rąk i nóg dziewczyny. Były lśniące i różowe. – Jakies ślady pod paznokciami? – zwróciła się do Nowakowskiego i Michalika.

Przecząco pokręcili głowami.

– Przynajmniej na pierwszy rzut oka ich nie widać. Zabrudzenia na dłoni, jak i na całym ciele, powstały raczej z powodu naniesienia ziemi przez leśne zwierzęta – wyjaśnił Staszek. – Nie wydaje mi się, żeby walczyła.

– To co? Ogłuszył ją, a potem udusił, gdy była nieprzytomna? – zapytała. – Zazwyczaj śmierć przez uduszenie pojawia się podczas świadomej walki ofiary z oprawcą.

– Zazwyczaj – przytaknął Mirek.

Olga zaczęła na nowo nagrywać.

– Ofiara wygląda na dziewczynę z dobrego domu, długie, blond włosy, pomalowane paznokcie, nieskazitelna cera. Jest naga i ma wydepilowane ciało. – Przerwała ponownie. – Znaleźliście ubrania?

I znów tylko przeczące kręcenie głowami. Wróciła więc do swoich czynności, a Michalik z Nowakowskim odeszli w głąb parku.

– Ofiara ma zamknięte oczy, co rzadko się zdarza, ale może to być efekt uduszenia, gdy była nieprzytomna.

– A może zabójca – wtrącił Mirek – opuścił jej powieki, kiedy już ją zabił?

– Gdyby tak się stało, o czym by to świadczyło?

– O różnych rzeczach: o odwzorowaniu zaplanowanego scenariusza, o stosunku emocjonalnym do ofiary, o poczuciu winy, bo nie mógł znieść, że na niego patrzyła...?

– Tak... – przyznała. – Jej ciało jest podgryzione przez leśne zwierzęta. Widać częściowe ślady rozpadu tkanek, zwłaszcza w miejscach ugryzienia.

– A to co? – Mirek zmrużył oczy, dostrzegając pod liśćmi coś błyszczącego. Podszedł i delikatnie odsunął je dłonią. – Kiedy będą technicy? – zawołał w stronę Michalika.

– Co?

– Technicy, kiedy będą? – powtórzył pytanie, zastanawiając się, co tak szalenie ciekawego teraz omawiają komendant z lekarzem.

– Powinni być dwie godziny temu. – Michalik rozłożył ręce.

– Co znalazłeś? – Olga podeszła do Mirka i kucnęła. – Koraliki? – Zrobiła zdjęcie komórką, a potem włożyła lateksowe rękawiczki i podniosła przedmiot. Dopiero teraz zobaczyli przyczepiony mały krzyżyk.

– Różaniec – wyszeptał Mirek, spoglądając na pobłyskujące w promieniach słońca paciorki. – Myślisz, że to jej? W sensie, że morderca go zostawił?

– Nie wiem, ale przeszyły mi ciarki na plecach. Technicy muszą przeszukać wszystko w promieniu trzydziestu metrów. Leśne zwierzęta mogły roznieść inne przedmioty, które były przy ciele. – Wstała i rozejrzała się bacznie dookoła. – Tam jest jakiś dom, widzisz? – Wskazała ręką na majaczącą za drzewami fasadę budynku. – Trzeba przesłuchać mieszkańców, może coś widzieli.

Poza tym jednym, daleko w gęstwinie drzew, w pobliżu nie było żadnego innego obiektu. Ponieważ w bursie nikt obecnie nie mieszkał, teren parku stanowił idealne miejsce do pozostawienia zwłok. Olga zaczęła się zastanawiać, czy za-

bójca wybrał je z tego właśnie powodu czy może śmierć dziewczyny ma jednak jakiś związek z odnalezionymi niedawno szkieletami.

– Mam teraz iść? – Mirek wyrwał ją z zamyślenia.

– Co? Nie. Pójdziemy razem. O, i wreszcie przybyli technicy. – Uniosła brodę w kierunku rozstawiających się dookoła zwłok trzech mężczyzn i jednej kobiety. Ubrani byli w białe kombinezony, które dokładnie opinały ich ciało, łącznie z butami i głową. Na twarzach nosili maseczki. Poczuli się jak nieproszony gość, który w buciorach pełnych błota wszedł do czyjś wysprzątanego mieszkania.

– Olga, działaj. Ja spadam na chatę. – Masywna postać komendanta Michalika pojawiła się nagle na wprost niej. Komendanta... Ciągle czuła się jakoś dziwnie, kiedy tak o nim myślała. Musiała jednak przyznać, że Kawecki dobrze wybrał swojego następcę.

– A prokurator? – spytała.

– Przyszedł, zobaczył i poszedł. Będzie się z tobą kontaktował – odpowiedział, jakby to była oczywista oczywistość. Choć miała wrażenie, że Artur chce jak najszybciej uciąć ten temat.

– To dobrze – powiedziała pod nosem. Taką współpracę właśnie lubiła. Najgorzej, gdy prokuratorzy zbyt dosłownie brali przepisy określające ich zwierzchnictwo nad organami dochodzeniowymi i zdawało im się, że mogą nimi rządzić. – Kogo nam przydzielono?

– Kowalika – odparł, zapalając papierosa.

Nie uszło jej uwadze, że Michalik wyraźnie się spiął. Zastanawiała się nawet, czy go nie wypytać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Choć może to tylko jej wyrwywający się do działania instynkt śledczej podsuwał takie myśli?

– Kowalika? – postanowiła spróbować. – To chyba twój stary kumpel, tak? – Zarzuciła haczyk i czekała.

Artur Michalik zacisnął szczęki i zmrużył znacząco oczy. Wypuścił wstrzymywany w płucach papierosowy dym, ale nie przyniosło mu to widocznej ulgi. Rzucił więc niedopałek na ziemię i przycisnął go butem.

– Coś koło tego – rzucił enigmatycznie.

– Ale wiesz, że znajdujemy się na miejscu zbrodni i nie wolno tak... postępować. – Pokręciła w powietrzu ręką, jakby chciała wyłowić z niego odpowiednie słowa, ale po chwili poddała się i wskazała tylko na leżące na ziemi zgniecione papierosa.

– Skąd pewność, że to miejsce zbrodni?

– Uważasz, że została tu tylko przyniesiona? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Jesteś tu od tego, by to sprawdzić – ewidentnie się zdenerwował. – Rób, co masz robić, i nie baw się w Sarnecką, jasne?

– Dobra – odburknęła na tę udaną próbę ustawienia jej do pionu. – W takim razie jak znajdą na rzekomym miejscu zbrodni niedopałka z twoim DNA, to zrobię, co do mnie należy, i przyjdę cię aresztować – zażartowała dla rozładowania atmosfery.

– Może już dawno ktoś powinien to zrobić – wymamrotał, odchodząc.

– Co mu jest? – zapytał Mirek, gdy Olga stała w osłupieniu, odprowadzając Michalika wzrokiem. Najwyraźniej coś leżało mu na wątrobie, a jego znajomość z prokuratorem Kowalikiem intrygowała ją coraz bardziej.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Dajmy technikom pracować i sprawdźmy tamten dom w oddali.

Nie chcieli wychodzić bramą. Zamierzali zbadać, czy któreś z przęsł płotu nie ma dziury lub nie zostało rozebrane. Dałoby im to kolejną możliwą drogę, którą mógł przedostać się tu zabójca. Postanowili zacząć dokładnie na wprost, w miejscu, gdzie stykały się działki bursy i posesji, do której zmierzali. Ale płot, który je rozdzielał, okazał się nienaruszony.

– Fajny ogródek – podzielił się spostrzeżeniem Mirek, patrząc na zadrzewioną posiadłość przed nimi.

– No... – przyznała mu rację. – Ale chyba jeszcze nie do końca zagospodarowany. Widzisz te rozkopane zagony?

– Może sadzą owocówki, teraz ponoć najlepszy czas.

– Mówisz? – zaciekała się. Nigdy nie miała ręki do roślin, ale skoro stała się dumną właścicielką domu z ogrodem, to może wypadałoby zainteresować się tematem. – Dawaj, idziemy wzdłuż płotu. Jak nie będzie dziury, to wyjdziemy bramą – zaordynowała, podnosząc ostrożnie nogi. Teren był nierówny i usiany otwartymi studzienkami. Chwila nieuwagi i nieszczęście gotowe. Tysiące kolorowych liści na ziemi nie ułatwiało im tej przechadzki. Musieli najpierw czujnie odgarniać je na bok stopami, a dopiero potem postawić krok.

– Czekaj. – Mirek schylił się i podniósł z ziemi dwa duże kije. – Masz! – Podał jeden Oldze. – Będzie wygodniej sprawdzać, co pod nogami. To musiało być kiedyś supermiejsce, ale teraz trzeba uważać, żeby podczas spaceru nie zostać kaleką.

– Dzięki. Jak się czuje Otylia?

– Eh... – westchnął tylko i przeszył powietrze dłonią.

– Aż tak ciężko?

– Ciągłe wymiotuje – odparł. – To już czwarty miesiąc, powinna czuć się lepiej, ale nic nie wskazuje, by miało to nastąpić.

– Będzie dobrze. – Poklepała go po ramieniu. – Ja wiem, że czasem nie jest łatwo, ale to małeństwo, które przyjdzie na świat, wszystko wam wynagrodzi. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. Nie chciała go straszyć, doskonale wiedziała, jak ciężko może być kobiecie w zagrożonej ciąży. Będzie teraz trudniej prowadzić dochodzenia, kiedy na komendzie został już tylko jeden informatyk. – Patrz! – krzyknęła, spoglądając przed siebie. – Tam leży zwalone drzewo. Przygniata całe przęsło płotu. Jest przejście!

Przyspieszyli kroku, by już po chwili znaleźć się po drugiej stronie ogrodzenia.

– A te chaszczki przed nami to co to? – zapytał, patrząc na olbrzymią niezagospodarowaną przestrzeń porośniętą dziką roślinnością.

– To ponoć teren starego basenu. Kawecki przychodził tu jako kilkuletni chłopak. Mówił, że to było najlepsze miejsce w Jeleniej. Wtedy jeszcze w Sobieszowie.

– A, to stąd te wgłębienia jak po wyschniętych jeziorkach – zauważył, kiedy ruszyli w kierunku osamotnionego domostwa. – Drzewa też tu są niezłe. Ogromne!

– Tak, generalnie to jest fajna okolica. Czasem spacerujemy tu z Nabojem, ale od drugiej strony – wyjaśniła.

Podeszli do bordowego budynku, posadowionego bokiem do działki bursy. Od frontu wyglądał niczym prawdziwa rezydencja, licząca co najmniej trzysta metrów kwadratowych. Rozłożysty ogród graniczył z parkiem. Zdziwili się, gdyż furtka od kamiennego ogrodzenia, ozdobionego metalowymi lianami, była otwarta. Nie znaleźli przy niej żadnego domofonu. Weszli więc na teren posesji.

– Na podjeździe stoi jedno auto, ale miejsc jest kilka. Możemy dziś nie mieć szczęścia. – Olga zerknęła w stronę parkingu wyłożonego betonową kostką, znajdującą się tuż za bramą.

– Zobaczymy – odpowiedział jej Mirek, gdy podeszli do drzwi. Zapukał.

Szczekanie psa wypełniło przestrzeń, po chwili usłyszeli zbliżające się kroki.

– Tak? – zapytała niepewnie młoda kobieta, która nogą przytrzymała brzoego kundla. Pies zaszczekał jeszcze raz, po czym wpadł na ścianę. – Cicho, Ciastek – upomniała czworonoga.

– Nic mu się nie stało? – Mirka zbiło to z tropu.

– Nie, on jest ślepy. A państwo to kto?

– Komisarz Olga Balicka i podkomisarz Mirosław Zagórski, Komenda Miejska Policji. – Wyciągnęli odznaki i pokazali gospodyni. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Coś się stało? – wystraszyła się. Wyszła na podwórko i zamknęła za sobą drzwi. – Chodzi o mojego ojca? Coś mu się stało?

– Nie. Spokojnie. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z pani ojcem. – Balicka spojrzała na kobietę, na oko trzydziestoletnią. Miała brązowe, nierówno ścięte włosy do ramion. Trochę jakby każde pasmo ucięto na innej długości. Zdziwiło ją to. – Chcieliśmy zapytać, czy w ciągu ostatnich dwóch dni, zwłaszcza wieczorową porą lub w nocy, nie widziała pani, czy coś podejrzanego nie działo się w okolicy.

– Podejrzanego? – Brwi kobiety przybliżyły się do siebie, a między nimi pojawiła się głęboka zmarszczka. – Ale w jakim sensie? Chodzi wam o złodziei?

– Pani okna wychodzą na teren starej bursy – wyjaśnił Mirosław. – Może słyszała pani jakieś głosy albo widziała światła w nocy? Może coś zwróciło pani uwagę?

Pokręciła przecząco głową.

– Tam często coś się dzieje. Może teraz już nie, ale zanim rozpoczęli remont, to miejsce często odwiedzali żule lub młodzi, którzy spotykają się na piwo czy coś mocniejszego. Kiedyś kilka razy w tygodniu słyszałam stamtąd przekleństwa, odgłosy uderzania jakby metalem o metal lub krzyki i śmiechy nastolatków. Zdarzało się też, że wspinali się po tych starych, na wpół rozebranych, metalowych schodach i urządzali sobie w akademiku urbex.

– Co urządzali? – Balicka pierwszy raz usłyszała to słowo.

– No, urbex – powtórzyła kobieta i splótła ręce pod piersiami. – To taka forma wycieczek po opuszczonych, zaniedbanych budynkach. Ostatnio bardzo popularna. Ale odkąd trwa remont bursy, to nic takiego się nie dzieje. Jest dużo spokojniej.

– Mieszka pani sama? – dopytywał Zagórski. – Może ktoś z domowników coś słyszał?

– To bardzo ważne – dopowiedziała pani komisarz, widząc zniecierpliwienie w oczach rozmówcy.

– Mieszkam sama z córką, która ma pięć lat, i wątpię, żeby coś widziała. Co się właściwie stało? Kogoś zabili? – Zdawała się coraz bardziej spięta.

– Mamo... – Delikatny i cichy głosik doszedł ich zza drzwi. Klamka kilkakrotnie poruszyła się, ale drzwi nie ustąpiły. Dziecko zaczęło płakać. Kobieta podeszła i wypuściła dziewczynkę. Mała wdrapała jej się na ręce, przywierając mocno do ramion matki.

– Jestem głodna, mamusiu. Zrobisz mi coś do jedziona? – Spojrzała na rodzicielkę wielkimi, niebieskimi oczkami, na które spadały blond loczki.

– Tak, skarbie, już idziemy. – Rzuciła przeproszające spojrzenie policjantom.

– Gdyby pani sobie coś przypomniała albo zobaczyła coś niepokojącego, proszę zadzwonić. – Balicka podała jej swoją wizytówkę.

– Dobrze, do widzenia – pożegnała się i zniknęła za drzwiami.

Kiedy weszła do kuchni, posadziła córkę na drewnianym blacie i westchnęła głęboko. Jej przygarbione plecy i smutne oczy nie pozostawiały wątpliwości, że nie czuła się rewelacyjnie. Mimo to spróbowała się uśmiechnąć i nie przenosić negatywnych emocji na dziecko.

– Co byś zjadła, kochanie? Może zrobić ci budyń? – Spojrzała na małą z wy-czekiwaniem.

Dziewczynka wyciągnęła do niej drobną, bladą rączkę i pogłaskała ją po policzku.

– Nie martw się, mamusiu. Ta pani nie cierpiała długo i poszła prosto do nieba – powiedziała niewinnym, dziecięcym głosem.

Na ciele Mileny Rogalskiej pojawiła się gęsia skórka, a po plecach przebiegł zimny dreszcz. Stało się to, czego obawiała się najbardziej.

Trzydzieści lat wcześniej

Popatrzyła na niego! Popatrzyła, przytrzymała to spojrzenie, a kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. I ten jeden niewielki ruch sprawił mu niezmierną radość! Kochał się w Lili od zawsze. Odkąd tylko sięgał pamięcią, czyli od jakichś dwóch lat, bo właśnie wtedy zaczął się na poważnie interesować dziewczynami. Wcześniej był niedorostkiem, któremu w głowie jedynie koledzy i granie w piłkę na podwórku. Choć gdyby się teraz zastanowił, to nie wie, po cholereę chodził na te mecze, kiedy i tak nikt nie chciał go wybierać do drużyny. Chyba że brakowało chłopaków do stworzenia dwóch drużyn. Wtedy okazywał się niezastąpiony. Na ogół zachowywał się raczej nieporadnie, a sport, choć bardzo lubił, nie wychodził mu za dobrze. Nie tak jak Robertowi, Zbyszkowi czy Kubie. Mieszkali na jednym podwórku i znali się od dzieciaka. Był od nich młodszy o dwa lata i może to też miało wpływ na jego wyniki sportowe, ale pewnie to tylko wymówka. Mama zawsze mu wpajała, że dziewczyna powinna się zakochać w jego dobrym sercu, a nie wysportowanym ciele, bo ono i tak kiedyś sflaczeje. Ciekawe, że zawsze, kiedy to powtarzała, zerknęła kątem oka na ojca siedzącego na kanapie z pilotem do telewizora podpartym o wystający brzuch, okrągły jak piłka lekarska. Ten widok i słowa wypowiedane do syna nie przeszkadzały jej w nakładaniu im na talerze kolejnego kawałka własnoręcznie zrobionego ciasta. Ale matka to matka, każda kocha swoje dzieci.

Ale Lila nie była jego matką. Była ideałem, cudowną starszą koleżanką z liceum. Właściwie – już kobietą. Tak, kobietą... A on czuł się prawie jak mężczyzna. Miał siedemnaście lat, ale ze względu na wzrost oraz posturę zawsze wyglądał na starszego.

– Halo! Ziemia do Perszinga... – Usłyszał jej dźwięczny głos docierający z od dali, choć stała przecież zupełnie blisko. Potrząsnęła go za ramię, chcąc mu przywrócić świadomość. – Hej, co jest?

– Nic, nic – powiedział zawstydzony, kiedy zobaczył, że w ich stronę zmierza ciemnooki, postawny brunet. Teraz jeszcze bardziej niż przed chwilą będzie musiał ukrywać swoje prawdziwe uczucia.

– Co tam, mała? – Robert podszedł do dziewczyny, przytulając ją od tyłu i ostentacyjnie klepiąc w pośladek.

Lila rozejrzała się dookoła po szkolnym korytarzu, po czym zganiła go wzrokiem.

– Zwariowałeś? – zrugła go. – Chcesz, żeby dyro na mnie naskoczył, że źle się prowadzę? Za chwilę mam z nim matkę i jak mnie przez twoje zachowanie weźmie do tablicy, to zobaczysz! – Pogroziła mu palcem.

– Oj tam, oj tam. Nie odważy się. Mój stary prowadzi jego sprawę rozwodową. Ponoć miękka pipa z niego. – Parsknął.

– Kurde, Robert, weź się ucisz. – Odepchnęła go i poszła w stronę klasy.

– Niezła jest, co, Perszing? Może kiedyś ty też będziesz miał taką dupcię. – Obliznął się z uśmiechem. – Albo chociaż taką. – Brodą wskazał przechodzącą koło nich Grubą Kaśkę, koleżankę z klasy Perszinga. Taki przydomek otrzymała pierwszego dnia szkoły i taki już z nią pozostał, chociaż przez te niemal dwa lata znacznie schudła. Chrapliwy śmiech Roberta rozległ się po szkolnym korytarzu. Dziewczyna spojrzała na nich zawstydzona i przyśpieszyła kroku. – Do boju! – Robert popchnął Perszinga w plecy i zniknął.

Perszing. To też była tylko ksywka. Niekiedy zastanawiał się, czy koledzy pamiętają jeszcze jego prawdziwe imię. Ostatnimi czasy nawet rodzice zwracali się do niego po przydomku. Wydawało im się, że otrzymał je w ramach uznania za sług na jakimś meczu, na którym popisał się szybką akcją. Po części mieli rację. To faktycznie zdarzyło się na meczu. Kuba powiedział wtedy do niego: „Ty to, kurwa, jesteś prawdziwy perszing”, gdy z palcem w tyłku siedemnaście razy z rzędu odbierał mu piłkę i kopał bramki. To stało się jeszcze w podstawówce. W siódmej klasie, o ile dobrze pamiętał. To znaczy on był w siódmej klasie, a jego kumple z podwórka chodzili już do szkół średnich. Dlatego coraz częściej pozwalali sobie na przeklinanie.

Usłyszał ostry dźwięk dzwonka i spłoszony pobiegł w kierunku schodów. Jak zwykle spóźnił się na WF i profesor Juźwik uzna, że znów robi wszystko, żeby nie ćwiczyć.

Salon był obszerny i urządzony w klasycznym, eleganckim stylu. Trochę zbyt klasycznym i zbyt eleganckim jak na gust Olgi, ale przecież nie ona tu mieszkała. Jej nowy dom wydał jej się nagle malutki i ubogi niczym chatka na drzewie. Podczas gdy rezydencja, w której siedzieli z Mirkiem, ociekała luksusem. Mahoniowe, masywne meble, dębowy parkiet, grube, wzorzyste dywany – nie zdziwiłyby się, gdyby okazały się perskie, granitowe blaty i kryształowe żyrandole. To wszystko sprawiało, że czuła się tu trochę jak w zamczysku, a trochę jak w muzeum, w którym nie można dotykać żadnego eksponatu. Rozejrzała się uważnie po podłodze i sprzętach i naszła ją nagle myśl, że właściciele nie chcieli zapraszać ich, dopóki firma sprzątająca nie zapewni pomieszczeniom błysku bijącego po oczach.

Do pokoju weszło dwoje młodych ludzi, co jeszcze bardziej przykuło uwagę Olgi. Sądząc po wyglądzie, nie mieli jeszcze czterdziestu lat. Dziwne... Biorąc pod uwagę wnętrze, spodziewałaby się raczej pary bogatych starsuszków. Gospodarze mieli na sobie dżinsy i białe podkoszulki, które nijak nie współgrały z otoczeniem, ale Olga podejrzewała, że chodziło o symbol jedności ich przekonań w rozmowach z policją. Zastanawiała się, czego gospodarze się boją lub co chcą ukryć.

– Dzień dobry – pan domu odezwał się pierwszy. – Dziękujemy, że zechcieli państwo dostosować się do wyznaczonej godziny.

Nie potrafiła go rozgryźć. Zachowanie w ogóle nie pasowało do wyglądu. Mężczyzna był sztywny i oficjalny, ale mimo to raczej przyjacielski. Co prawda, cisnęła jej się na usta riposta w stylu: to żaden problem, policjanci i tak nie mają nigdy nic do roboty, a życia prywatnego nie prowadzą, ale ugryzła się w język, bo bardzo ciekawiło ją, dokąd to wszystko prowadzi.

– Jasne – odpowiedziała tylko, kątem oka spoglądając na Mirka.

– Czy nie będą mieli państwo nic przeciwko, żebyśmy tę rozmowę odbyli w obecności adwokata? – gospodarz zadał pytanie, trzymając żonę za rękę. Jego głos był łagodny, ale stanowczy.

– Oczywiście, to żaden problem – odparła Olga, która jeszcze bardziej nie mogła się doczekać dalszej części spotkania. Po co tym ludziom adwokat?

Kobieta o ciemnoblonde włosach spiętych w luźną kitkę zdawała się zdenerwowana. Do salonu wszedł mężczyzna w garniturze z brązową, skórzaną teczką.

– Dzień dobry, nazywam się Kazimierz Kuśnierz i jestem adwokatem państwa Agnieszki i Mariusza Pilczyckich. Będę się przysłuchiwał i w razie potrzeby zabiorę głos, ale nie będę przeszkadzał. Proszę... – Wyciągnął do policjantów rękę. – Mogą państwo zacząć zadawać pytania.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem – wyznała zgodnie z prawdą Balicka. – Przyszliśmy tu, by porozmawiać z państwa synem, który dziś rano znalazł zwłoki młodej kobiety na terenie starej bursy szkolnej – zwróciła się bezpośrednio do rodziców chłopaka.

– To niestety nie będzie możliwe – pośpiesznie odpowiedział mecenas Kuśnierz. Ten sam, który przed chwilą oznajmił, że nie będzie się wtrącał.

– A dlaczego? – zapytał wprost Zagórski.

– Syn państwa Pilczyckich ma zaledwie sześć lat i nie może być przesłuchiwany.

– Zgodnie z prawem może – nie pozwoliła mu dokończyć Balicka. – Przepis artykułu 171, paragraf 3 Kodeksu postępowania cywilnego zakłada, że w przesłuchaniu osoby, która nie ukończyła piętnastego roku życia, w miarę możliwości powinni uczestniczyć jej przedstawiciel ustawowy lub opiekun faktyczny, chyba że dobro postępowania stoi temu na przeszkodzie. Pan z pewnością jest tego świadomy – mówiła jednym ciągiem. – Ale oczywiście zgadzamy się na uczestniczenie rodziców w przesłuchaniu, adwokata również, chociaż dla dziecka może to być większy stres z takiego zamieszania niż podczas normalnej rozmowy.

– Myśleliśmy, że państwa syn to nastolatek – dodał Zagórski. – Oczywiście możemy dla komfortu chłopca porozmawiać z nim w jego pokoju, wśród rzeczy, przy których dobrze się czuje. Nawet bawiąc się jego ulubionymi zabawkami – zaproponował.

– Nie to miałem na myśli – doprecyzował adwokat. – Syn państwa Pilczyckich, Jaś, cierpi na ciężką postać autyzmu. Żyje w swoim świecie i praktycznie nie ma możliwości, żeby z nim porozmawiać.

Policjanci spojrzeli zaskoczeni na siebie.

– Przykro mi – powiedziała Olga, patrząc prosto w oczy matki Jasia. Musiało jej być ciężko wychowywać tak chore dziecko. Na ułamek sekundy przypomniała sobie chwilę, kiedy dowiedziała się, że jej córka też może urodzić się chora. – Może coś źle zrozumieliśmy. Może państwo byli razem na spacerze z synem i mogliby udzielić nam kilku informacji. – W myślach przeklęła Michalika, że wprowadził ją w błąd.

– Niestety, syn był sam – potwierdził ojciec.

– Pan wybaczy, ale sześciolatek z głębokim autyzmem sam na spacerze z czworonogiem? – Balicka zdziwiła się, bo teren bursy oddalony był o jakieś trzysta metrów od domu Pilczyckich i wcale nie leżał w linii prostej.

– Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze to samo! – Kobieta rozplakała się i ukryła twarz w dłoniach. Mariusz Pilczycki ścisnął ją mocniej za rękę, spoglądając bezradnie na mecenasa.

– Proszę. – Ten ostatni wyciągnął z teczki jakieś kartki formatu A4 w foliowych koszulkach, podniósł się z fotela i wręczył je policjantom. – Tu są wszystkie potrzebne państwu dokumenty. Zaświadczenie psychiatryczne o stanie zdrowia Jana Pilczyckiego, raporty z odwiedzin opieki społecznej i kuratora oraz dokumentacja z ostatnich pięciu miesięcy z wizyt psychologa i oligofrenopedagoga u Jasia.

Olga przyjmowała poszczególne dokumenty, coraz szerzej otwierając oczy. Nie miała pojęcia, o co chodzi tym ludziom. Czego się bali? Zrobiło jej się ich żal, rozumiała, że musi ich uspokoić.

– Proszę to zabrać – powiedziała do mecenasa, po czym zwróciła się do rodziców chłopca: – Nie jesteśmy tu po to, by w jakikolwiek sposób państwu zaszkodzić. Nie wiem, co się dzieje, ale martwi mnie przerażenie w waszych oczach. Przyszliśmy tylko po to, by porozmawiać z chłopcem. Myśleliśmy, że jest dużo starszy i może zauważył coś na miejscu zbrodni. Przepraszamy, jeżeli państwa wystraszyliśmy swoją wizytą. – Przerwała i czekała na ich reakcję.

Po twarzy Mariusza Pilczyckiego niespodziewanie popłynęły łzy. Kobieta zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie. Widać było, że ewidentnie jej ulżyło.

– Czy możemy jakoś państwu pomóc? – Mirosław również przejął się sytuacją. Nie wyobrażał sobie nawet, jak ciężko musi być tym ludziom. Przez głowę przeleciała mu niepokojąca myśl: a co, jeżeli i moje dziecko urodzi się z autyzmem?

– Przepraszam – wyszeptła Agnieszka Pilczycka i zwróciła się do Olgi: – Jest pani mamą?

– Tak, jestem.

– Więc wie pani, że każda matka kocha swoje dziecko najbardziej na świecie. – Jej spojrzenie było głębokie, a oczy zaszklone.

Co prawda, Olga kochała Zuzię ponad wszystko, ale wracając wspomnieniami do swojego dzieciństwa, nie była taka skłonna do generalizacji.

– Rozumiem, co ma pani na myśli – odrzekła wymijająco. – Oddałabym życie za moją córkę.

– My za Jasia też. Robimy wszystko, by mu pomóc, ale nie zmienia to faktu, że pewnych rzeczy po prostu nie przeskoczymy. Nasz synek często ucieka. Robi to

nie dlatego, że źle mu w domu, ale dlatego, że taki już jest. Często też krzyczy bez powodu, a może nawet wydziera się wniebogłosy. Nie ma z nim kontaktu werbalnego, nie lubi się przytulać i nigdy nie powie nam, że nas kocha. – To zdanie wypowiedziała z dużo głębszym smutkiem. – Żyje w swoim świecie, do którego trudno dotrzeć.

Wydziera... Ucieka... Olga już chyba wiedziała, dlaczego Pilczyccy rozmawiali w obecności adwokata i czego się tak bali. Westchnęła głęboko, pochyliła się w ich stronę i oparła łokcie o kolana.

– Boicie się, że wam go odbierzemy, tak? To o to chodzi?

– Nie mają państwo takiego prawa – zaczął swoją formułkę adwokat, ale nie udało mu się skończyć.

– Tak – odparł wprost Mariusz Pilczycki. – Ludzie nie rozumieją choroby naszego syna. Wydaje im się, że go katujemy, że dlatego całymi dniami krzyczy, dlatego ucieka czy godzinami się kiwa. Kiedy mieszkaliśmy w Warszawie, potrafili wzywać do nas codziennie policję. Pewnego razu odebrano nam Jasia i umieszczono w pieczy zastępczej. To były najdłuższe dwa dni w naszym życiu. Oszczędzę państwu szczegółów, ale po tym fakcie dostaliśmy nadzór kuratora i jesteśmy na cenzurowanym. Postanowiliśmy zmienić otoczenie. Przeprowadzka wydawała się jedynym słusznym rozwiązaniem. Chcieliśmy zacząć od nowa. Mamy pieniądze, więc w nowym mieście zaczęliśmy wspierać datkami lokalne pomysły, kulturę i sztukę. Wiedzą państwo, żeby ludzie się od nas odczepili. Kupiliśmy większy dom z dużym ogrodem, by krzyki Jasia nie niepokoiły sąsiadów. Ale stało się to, co się stało. Jaś uciekł i znalazł się w złym miejscu i czasie. Nie wiem nawet, czy był świadomy tego, co widział, czy do gamy swoich zaburzeń będzie musiał dołożyć jeszcze traumę? Nie wiem. Podobno zaczął głośno piszczeć nad zwłokami, ale on często piszczy. W każdym razie to zwróciło uwagę robotników, którzy wzięli go na ręce i zanieśli na podjazd bursy. Tam ich znaleźliśmy. – Mariusz Pilczycki zadumał się.

– Rozumiem. I bardzo mi przykro. Jeszcze raz podkreślę, że nie mamy zamiaru działać przeciwko państwu. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci młodej dziewczyny i wszelkie nasze działania ukierunkowane są tylko na to, by znaleźć zabójcę.

– Jak długo Jaś był poza domem? – zapytał Zagórski. – I o której to było godzinie?

– Nie wiemy, o której wyszedł – z westchnieniem wyznał ojciec – ale my wstaliśmy o siódmej i wtedy zorientowaliśmy się, że go nie ma. Nie było też Kafła, naszego psa. Jaś bardzo go kocha i prawie wszystko robią razem.

– O której go państwo znaleźli? – dopytała Balicka.

– Koło ósmej.

– To sporo czasu. Być może mógł coś widzieć... – Pani komisarz wymówiła te słowa jakby do siebie. – Ale skoro z chłopcem nie ma kontaktu, to nic nam nie powie. – Spojrzała na Mirka. – Dziękujemy za poświęcony czas. Będziemy już szli. – Podnieśli się z miejsca.

– Proszę poczekać – zatrzymała ich Agnieszka Pilczycka. Popatrzyła pytająco na męża, a on przytaknął jej, jakby doskonale wiedział, o czym myśli. Olga poczuła coś na kształt radości, że w tak trudnej sytuacji ich relacja i miłość są nadal silne. – Jeżeli chcecie, możecie przyjść jutro poznać Jasia. O jedenastej przychodzi do niego pani psycholog, ma z nim bardzo dobry kontakt. Być może będzie umiała jakoś pomóc, dowiedzieć się czegoś, na czym wam zależy.

– Dziękujemy, ale dlaczego...? – Olga nie rozumiała tej nagłej zmiany akcji.

– Tamta dziewczyna na pewno też miała matkę, która ją kochała i która czeka na jakieś wieści. A poza tym – spojrzała Oldze w oczy – wiem, że nie chcecie nam zaszkodzić.

Myślał o tym, żeby odebrać dzieci wcześniej i побыć z nimi sam na sam, ale gdy zadzwonił do Elwiry, okazało się, że razem z Leonem są już z nimi w drodze na basen, a na później wykupili bilety do parku trampolin.

– No, wiesz, myślałam że będziecie chcieli побыć z Olgą sam na sam – jego szwagierka powiedziała to z udawanym oburzeniem.

Potem przykładowie go zrugala za tak długą nieobecność i wyraziła swoje zdanie, że pieniądze są w życiu ważne, ale przecież nie najważniejsze, i że powinien rzucić tę robotę w cholerę. Zaśmiał się do słuchawki, oznajmiając jej, że coraz bardziej przypomina mu żonę.

– Ja nie wiem, czy ten Leon da radę wytrzymać z takim wybuchowym charakterem – zażartował.

– Ty dajesz radę, to i Leon da – odpowiedziała, śmiejąc się. – Kończę, bo właśnie wychodzi z Olą ze stacji benzynowej. Papatki. – I połączenie zostało przerwane.

Mógł jej powiedzieć, że Olgi i tak nie ma, bo dostała wezwanie. Przeszło mu przez głowę, żeby dołączyć do Elwiry, Leona i dzieciaków i bawić się razem z nimi, ale z drugiej strony, czy powinien przeszkadzać dopiero rozkwitającej miłości? Może po prostu wykorzysta ten czas inaczej? Wyjdzie z psem na spacer, zrobi zakupy i ugotuje coś na obiad, skoro ma tyle czasu? Westchnął i spojrzął na Naboja ze strapioną miną.

– No i co my teraz zrobimy, stary druhu? Dwa porzucone samce, zdane jedynie na własne towarzystwo...

Pies przekręcił głowę na bok, szczerknął, zamerdął, po czym pobiegł do przedpokoju i chwycił w pysk czerwoną smycz.

– Aha, czyli ty się za bardzo nie martwisz faktem, że zostaliśmy sami, co? – Kornel podszedł do czworonoga, potarł mu sierść na głowie, poklepał po zadku i zaczął wkładać buty. – No dobra, jak spacer, to spacer.

Szli aleją prowadzącą na cieplickie wały. Pomimo soboty i pięknej pogody nie mijali zbyt wielu przechodniów. Słońce świeciło wysoko na horyzoncie, wiatr zwiewał masami liście z drzew, które szeleściły pod stopami. Strumień płynący z lewej strony alei zdawał się bardziej wartki niż zwykle. Przez chwilę Kornela kusilo, żeby pójść w drugą stronę. Przejść chodnikiem koło starej bursy, sprawdzić, co się dzieje. Zastanawiał się, co tam znaleźli. Kto tym razem okazał się ofiarą? Czy technicy już skończyli? Który medyk przyjechał na miejsce i kto bę-

dzie nadzorował śledztwo z ramienia prokuratury? Cholera, może to prawda, co mówią w firmie. Glina zawsze pozostanie gliną. To nie robota, ale stan umysłu. Zdołał się opanować i skierować myśli na inny tor. Skoro postanowił odejść z policji, musi być konsekwentny, nawet jeżeli ciągnęło go do starego.

Przystanął na chwilę, bo obraz przed oczami wydał mu się nagle nierzeczywisty i groźny. Co jest?! W oddali na drzewie dostrzegł wiszącą postać. A przynajmniej jego mózg podsunął mu taką scenę, kierując się schematami.

– Nabój! – przywołał psa do siebie, zmrużył oczy, osłonił je ręką od rażącego słońca. Serce biło mu szybko, kiedy zaczął biec w tamtym kierunku ile sił w nogach.

Dopiero po kilkudziesięciu metrach przystanął i pojął, że to, co wydawało mu się wisielcem, jest w istocie kobietą próbującą popełnić samobójstwo. Stała na palcach na ogromnym głazie przy drzewie. Głowę przełożyła przez pętlę. Sznur, już lekko napięty, przerzuciła przez konar. Ale Kornel spostrzegł, że się wahała. Tkwiła w tym decydującym momencie, kiedy już wszystko gotowe, wystarczy tylko zrobić krok do przodu. Ten jeden, mały, ostateczny krok, który zakończy wszystko.

– Stój! – krzyknął i znów rzucił się biegiem w jej kierunku.

Desperatka spojrzała na niego przerażona. Nie spodziewała się, że ktoś będzie chciał jej przeszkodzić. Specjalnie wybrała to miejsce, bo niewielu ludzi spaceruje tą drogą, jednak na pewno ktoś by ją znalazł i zawiadomił męża. Nie chciała, by jej ciało zgniło na drzewie, podżerane przez dzikie zwierzęta. Wpadła w popłoch. Wiedziała, że musi szybko podjąć decyzję. Jeżeli teraz tego nie zrobi, prawdopodobnie ten człowiek jej na to nie pozwoli. Zamknęła oczy, z trudem opanowała drżące ręce. Zaciśnęła je na sznurze na szyi.

– Idę do ciebie, mój mały – wymówiła niemal bezgłośnie, po czym podniosła nogę.

– Nie! – Usłyszała jeszcze głośne wołanie mężczyzny.

Podbiegł do niej najszybciej, jak potrafił. Wspiął się na kamień i chwycił jej ciało w objęcia. Pies szczekał zajadle, skacząc wokół. Kobieta nie ważyła dużo, jednak skała porośnięta była mchem. I to na nim Kornel pośliznął się i zjechał, wypuszczając ją z rąk. Zaraz po tym, jak zderzył się z ziemią, niedoszła samobójczyni upadła na niego. Gałąź, przez którą przerzuciła sznur, złamała się i poturłała tuż obok. Kornel zerwał się i zaczął pośpiesznie luzować zaciśnięty sznur. Jeżeli ta desperatka na krótko straciła przytomność, to teraz już była świadoma.

– Nie, nie! – krzyczała. Jej twarz oblewały łzy, a ciało drżało. – Zostaw mnie! – Uderzała w niego zaciśniętymi ze złości pięściami. – Zostaw mnie! Ja chcę

umrzeć, rozumiesz! Chcę umrzeć i zobaczyć znowu swojego syna!

Po czym wpadła w bezgłośną rozpacz, przerywaną tylko haustami łapanego powietrza po pojawiających się w płaczu bezdechach.

Poważnie? O Boże, to straszne – wymówiła łagodnie, po czym pocałowała go delikatnie w czoło.

Leżeli już w łóżku i opowiadali sobie o trudach dzisiejszego dnia. Dzieci spały smacznie w swoich łóżeczkach. Jej wilgotny całus wzbudził w nim namiętne odzucia, choć wolałby, żeby złożyła go na ustach.

– Tak – przyznał. – Zawiozłem ją do szpitala, zadzwoniłem do męża. Przyjechał bardzo szybko. Wyszli razem do domu.

– Nie zawieźli jej do Bolesławca? – zdziwiła się Olga.

– W sensie do psychiatrika?

– Yhm.

– Też myślałem, że tak będzie. Jak do tej pory wszystkich po próbach samobójczych tam kierowali, ale nie. Kobieta powiedziała tylko, że to był wypadek, że wcale nie chce się zabić, a mąż obiecał się nią zająć. Fizycznie nic jej się nie stało, więc wypuścili ją do domu. Wiesz, jak jest na SOR-ze. Mają milion pilniejszych przypadków.

– Rozumiem... – Zamyśliła się. – Biedna, może straciła ciążę albo jej mały synek zachorował i umarł. To musi być dla matki koszmar. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

– Nie kończ – przerwał jej. – Naszym córkom nic się nigdy nie stanie. – Poglądził ją po włosach. Kochał żonę z całego serca i nie chciał nawet zakładać, że kiedyś mogłaby znaleźć się w tak tragicznej sytuacji. – Ale tu musiało chodzić o coś innego. Ona była sporo po czterdziestce, może tuż przed pięćdziesiątką, wiesz, to nie młoda mama z burzą szalejących hormonów. Dojrzała kobieta, przepełniona smutkiem i rozpaczą. Myślę, że jej syn mógł być dorosły. – Wziął ją w objęcia i mocno przytulił.

– Może jakiś wypadek samochodowy... – Historia, którą opowiedział Kornel, nie dawała jej spokoju. – Nie będę mogła teraz zasnąć.

– Ty też miałaś ciężki dzień – zauważył.

– Tak. Ale ani ciało denatki, ani choroba chłopca nie wywarły na mnie takiego wrażenia jak to, co powiedziała mi Agnieszka Pilczycka. Ta dziewczyna na pewno też miała mamę, która czeka na jakieś wieści. – W oczach zakręciła jej się łza.

– Ej, mała, co jest... – Mąż pocałował ją w policzek. – Przecież nieraz prowadziłaś takie sprawy.

– Tak, ale od kiedy urodziłam Zuzię, odczuwam je niemal jak własną stratę. Obiecasz mi coś?

– Normalnie powiedziałbym, że co tylko chcesz, ale zaczynam się obawiać, o co możesz poprosić – zażartował, by trochę ją rozluźnić.

Spojrzała na niego poważnie.

– No dobra, obiecuję. A mogę chociaż wiedzieć, do czego się zobowiązałem?

– Tak. Właśnie obiecałeś mi, że tak tej sprawy nie zostawisz. Skoro ja będę teraz zajęta śledztwem, ty masz trochę czasu wolnego. Sprawdź, czy nic im nie potrzeba.

– To znaczy? – Zaintrygowała go.

– Idź jutro do tych ludzi i spytaj, co się stało. Może da się im jakoś pomóc. Jakkolwiek. Gdybyśmy to my stracili dziecko, chciałabym, żeby ktoś wyciągnął do nas rękę. I nie mów mi nawet, że nie wiesz, gdzie mieszkają. Znam cię i wiem, że masz sposoby, by się tego dowiedzieć, o ile już tego nie zrobiłeś.

Początkowo zamierzał zaprotestować, ale w sumie było w tej prośbie coś, co sprawiło, że pomyślał o sobie i Oldze jako o dobrych ludziach, a odrobina samozadowolenia jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zwłaszcza że może przynieść coś dobrego dla innych.

– Mówiłem ci już, jak bardzo cię kocham?

Zachichotała i wtuliła się w niego.

Katarzyna Sarnecka siedziała wtulona w welurowy uszak i czytała. Jej nogi otulał miękki, kwiecisty koc, a z kubka na małym stoliczku obok ulatywała aromatyczna para kofeinowego napoju. Ten weekend spędzała sama. Dawid rozpracowywał jakąś przestępczą szajkę w Poznaniu i mieli się zobaczyć dopiero za tydzień, o ile oczywiście dostanie w pracy pozwolenie. To nigdy nie było pewne na sto procent. Upiła łyk i już miała przewrócić stronę, kiedy gdzieś z komody dał się słyszeć sygnał przychodzącej wiadomości. Zastanowiła się, czy chce jej się wstawać. Nie chciało, wróciła więc do książki. Kim jesteś? – taki nosiła tytuł. Wciągnęła ją, choć była zwykłym romansem z wątkiem kryminalnym. A może właśnie dlatego? Poza tym główna bohaterka, pani psycholog, na co dzień pracowała w szpitalu MSWiA, a to dodatkowo sprawiało, że mogła się z nią utożsamiać. Przeczytała kilka kolejnych stron i znów usłyszała telefon. Tym razem ktoś nie ograniczył się do wiadomości. Ewidentnie chciał porozmawiać, westchnęła więc głęboko, odrzuciła koc i leniwym krokiem powędrowała po aparat, z nadzieją, że kimkolwiek jest dzwoniący, da za wygraną szybciej, niż ona zdąży odebrać. Dawid ustawiony był pod innym dzwonkiem, wiedziała więc, że to nie on.

– No, nareszcie! Co jest? – naskoczyła na nią Olga, jakby nie kontaktowały się co najmniej od miesiąca.

– No, nic – odparła zdziwiona. – Relaksuję się.

– Czyli nie czytałaś mojej wiadomości – oburzyła się w taki sposób, że Kaśka nie potrafiła odgadnąć, czy na poważnie czy po prostu się z niej nabija.

Sarnecka spojrzała szybko na monitor, weszła w WhatsApp i otworzyła nieodebraną wiadomość od Olgi.

– No tak, przeczytałam – powiedziała zgodnie z prawdą. – Jedziemy porozmawiać z autystycznym chłopcem, który znalazł zwłoki, i mam się szybko ubierać... Co?! – wykrzyknęła, kiedy treść w końcu do niej dotarła.

– No, chyba nie zostawisz mnie z tym samej? – zapytała łagodniej, po czym zaczęła dobijać się dzwonkiem do drzwi. – Pani Sarnecka, proszę otworzyć, policja! – żartowała.

– Ale z ciebie wariatka. – Kaśka zaśmiała się i wpuściła ją do środka.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Jutro wygrasz w totka dziewięć milionów! – Uniosła wysoko brew i wyszczerzyła się do przyjaciółki.

– Ooooo! – Olga wzniosła ręce do nieba. – Warto było przyjechać! A teraz się ubieraj. No, dawaj, dawaj. Mały czeka na nas o jedenastej. A od ciebie z tego Jezowa to szmat drogi.

Po dziesięciu minutach wyjechały z osiedla.

– No, to opowiadaj, co to za sprawa? – zapytała Kasia, zamykając drzwi volva. – O matko, a co tu się wydarzyło? – Gwizdnęła przeciągle, podkreślając zdziwienie.

– Jak będziesz samotną matką z dwójką dzieci, psem i kotem, to też będziesz miała taki szajson w aucie.

– Samotną matką? – Przyjaciółka wyraziła zdziwienie.

– Tak się nazywam w tygodniach, kiedy Kornel przebywa w Niemczech. – Zatrzymała się na skrzyżowaniu przy znaku stop i rozejrzała na dwie strony. – A co do sprawy, to wczoraj dostałam wezwanie. Na terenie starej bursy w Sobieszowie znaleziono zwłoki młodej kobiety. Blondynka, długowłosa, ładna, nawet bardzo. Leżała bez ubrań, torebki czy jakichkolwiek dokumentów.

– Nie wiecie, kim jest? To znaczy, kim była?

– Jeszcze nie. Mirek sprawdza dzisiaj rejestr zaginionych, ale jeżeli była dorosła i mieszkała sama, a to przecież możliwe, pewnie nikt nie zorientował się jeszcze, że zniknęła.

– Rozumiem. Coś szczególnego znaleźliście na miejscu? Niestandardowe ułożenie ciała? Narzędzie zbrodni? Jak umarła? – zaczęła wypytywać, zdając sobie sprawę z tego, że potrzebuje tych informacji.

– I ty chcesz odejść z policji? – Zaśmiała się Olga. – Mnie nie oszukasz. Masz ten sam głód, który czujemy wszyscy, gdy pojawia się nowa sprawa.

– To nie takie proste – powiedziała ciszej, spoglądając na lewą dłoń. Miała tylko cztery palce. Po ostatniej sprawie, kiedy psychopata Arkadiusz Niedzielski po prostu odciął jej mały palec, żeby wysłać Dawidowi, nie była pewna, czy dalej chce współpracować z organami ścigania. Co będzie, gdy następnym razem ktoś skrzywdzi ją jeszcze bardziej? Czy nie lepiej otworzyć własną praktykę psychologiczną i przyjmować „normalnych” ludzi?

– Okej, po prostu nie podejmuj pochopnych decyzji. No i najważniejsze, ja naprawdę cię potrzebuję. Nie muszę chyba mówić, że wszyscy odchodzą i czuję się sama jak palec?

– Ej... Naprawdę chcesz pogrywać na emocjach z psychologiem? – Spojrzała na nią z ukosa i się roześmiała. – Wróćmy do sprawy.

– Dziewczyna została uduszona, ale najpierw uderzona w głowę – zdawała sprawozdanie. – Nie znaleźliśmy narzędzia, którym ją uderzono. Aktu uduszenia dokonano prawdopodobnie gołymi rękoma. Na szyi widać siniaki. Nie ma za to śladu od sznura czy czegoś takiego.

– Została zgwałcona?

– Raczej nie, choć dopiero po sekcji zyskamy pewność na sto procent. Prawdopodobnie nie odbyła też stosunku płciowego.

– Hm... Dlaczego była naga? – głośno myślała Katarzyna. – Znaleźliście gdzieś jej ubrania?

– Nie. Mimo że technicy przeszukali cały teren. Za to Mirek wygrzebał w niedalekiej odległości od ofiary różaniec.

– Różaniec? – Zmrużyła oczy, myśląc intensywnie. – Zbrodnia na tle religijnym? Jakiś rytuał?

– Albo kolejny psychol dorabiający sobie ideologię do swoich okrutnych czynów – odpowiedziała Olga. – Istnieje jeszcze możliwość, że różaniec nie należał ani do niej, ani do sprawcy. Może po prostu ktoś go zgubił na spacerze, choć to raczej teren niespacerowy, a jedyni goście to nieproszeni, łobuzujący nastolatki wie czy okoliczne żule.

– Trzeba sprawdzić, czy dziewczyna była religijna – podsunęła pomysł Sarnecka. – To znaczy, jak już ustalicie, kim była. Ale jeżeli ten różaniec miałby coś znaczyć, zabójca umieściłby go na ofierze. Włożyłby go w jej dłoń lub położył bezpośrednio przy ciele.

– Mogło tak być. Niestety zwłoki leżały w lesie prawdopodobnie koło dwóch dni, a przynajmniej tyle minęło od śmierci do chwili, gdy je znaleźliśmy. Ten teren jest ogrodzony, ale niektóre przęsła płotu są zmiążdżone przez drzewa, więc łatwo wchodzi tam leśne zwierzęta. Zakładamy taką możliwość, że przesunęły różaniec dwa metry od ciała, kiedy się nim zainteresowały.

– O cholera! – Katarzyna zrobiła skrzywioną minę. – To znaczy, że ją podjadły?

– Yhm... Myślisz, że to przypadek, że zwłoki porzucono akurat tam?

– Chodzi ci o to, że ostatnio znaleziono tam ludzkie szkielety? Na dwoje babka wróżyła – odpowiedziała, kiedy Olga potwierdziła skinieniem głowy. – Wiem coś o tych kościach? Do ilu osób należały? Jakiej były płci? Jak ci ludzie zginęli? Może to po prostu nieformalny grób z dawnych czasów.

– Wiem tylko, że były stare, podobno coś koło dwudziestu, trzydziestu lat. Nie interesowałam się tym wcześniej, bo spraw z tak odległą datą nie bierzemy. Ale będę musiała sprawdzić, czy są już dostępne jakieś raporty z oględzin. Generalnie

na takie rzeczy bardzo długo się czeka. Niewielu jest specjalistów od badania starych kości, a i im chyba nie bardzo się już spieszy – stwierdziła. – Akademik zamknięto w 1992 roku i od tego czasu niszczał. Gdyby się tak zastanović, to świetne miejsce do ukrywania ciał. Możliwe więc, że to zupełnie różne historie.

– No nie, superdzielnicę wybrałaś sobie na nowy dom – zażartowała.

– Dorastałam na „Pekinie”, nic mnie nie przestraszy. – Puściła oko do przyjaciółki. – Jesteśmy na miejscu.

Wyszły z auta, spoglądając na okazałą rezydencję. Zadzwończy z domofonu przy furtce i usłyszały ciche burczenie oznajmiające, że drzwi zostały otwarte.

– Dzień dobry. – Pani domu stanęła w progu, uśmiechając się przyjaźnie, choć na widok Sarneckiej nieco się zmieszła.

– Dzień dobry, pani Agnieszko – przywitała się Olga. – Przedstawiam moją przyjaciółkę Katarzynę Sarnecką. Jest psychologiem klinicznym i współpracuje z nami przy śledztwach.

Początkowe napięcie na twarzy Agnieszki Pilczyckiej zelzało.

– Ach, dobrze. Zapraszam. – Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła je do środka.

– Nie wiem tylko, czy tyle nowych osób nie będzie dla Jasia przebodźcowaniem. On nie przepada za nowymi sytuacjami. Bardzo ważna w jego życiu jest rutyna, stałe godziny codziennych czynności, jasność i przewidywalność zdarzeń. Inaczej trudno mu się odnaleźć.

– Proszę się nie martwić – powiedziała łagodnie Sarnecka. – Nie zrobię niczego, co byłoby złe dla pani synka. Jeżeli uważa pani, że tylko jedna z nas powinna go poznać, nie ma problemu.

– Pani Agnieszko, pomyślałam, że lepiej dla Jasia, jeżeli porozmawia z nim ktoś, kto ma kwalifikacje. Ja poczekam na dole, dobrze? – zapytała Olga.

– W porządku – Pilczycka niepewnie się uśmiechnęła. – Ale wspominałam już, że Jaś nie mówi, prawda?

– Tak, ale przecież sama pani wie, że rozmowa to nie tylko słowa.

– Jest może psycholog, która na co dzień pracuje z Jasiem? – zainteresowała się Sarnecka. – Chciałabym z nią omówić parę aspektów, zanim poznam chłopca.

– Oczywiście, zaraz ją zawołam, a potem pójdzie z nią pani do mego syna.

Kornel Murecki przyglądał się regularnemu sześciannemu płaskim dachem. To był zbudowany w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku dom jednorodzinny. Od tamtego czasu raczej niewiele zmieniło się w jego wyglądzie. Z pewnością wymieniono okna i drzwi, a fasada z ciemnoszarego baranka, tak modnego w tamtych czasach, pociemniała jeszcze bardziej. Znacząco odbiegał od współczesnych kanonów architektonicznego piękna. Mimo to nie wyglądał ani na zaniedbany, ani na niepasujący do otoczenia. Przy tej ulicy niemal każdy budynek przypominał sąsiedni. Jedynie po ogrodzeniu i ogrodzie można było wnioskować o preferencjach, stylu czy zamożności mieszkańców. A ci spod numeru trzystaście wydawali się być poukładanymi, średniozamożnymi ludźmi ceniącymi prostotę i elegancję. Tak przynajmniej świadczyło o nich podwórko. Dywan nieodgarniętych liści na posesji świadczył natomiast o chwilowym zaniedbaniu wcześniej skrupulatnie wykonywanych obowiązków. To z kolei podsunęło Kornelowi myśl, że wspomniana przez kobietę tragedia mogła zdarzyć się w bliskiej perspektywie czasowej.

Nacisnął na klamkę furtki, która otworzyła się bezdźwięcznie. W oknie na parterze spostrzegł poruszającą się lekko firankę. Niewątpliwie ktoś go obserwował. Zanim postanowił odwiedzić Kalinę i Patryka Rokoszyńców, zadzwonił do nich na numer spisany wczoraj z karty informacyjnej, którą pomagał wypełnić kobiecie w szpitalu. Odebrał jej mąż i niechętnie się zgodził, jednak Kornel wyczuł, że nie odmówi wizyty komuś, komu zawdzięcza życie żony. Nowe, przeciwwłamaniowe drzwi ze wstawką z hartowanego szkła otworzyły się, zanim zdążył zapukać.

– Dzień dobry – Kornel wymówił te słowa zbyt energicznie, po czym skarcił się w myślach. Przychodzi w gości do rodziny w żałobie. Wypadałoby zachować spokój i powściągliwość.

– Dzień dobry – przywitał się po cichu Patryk Rokoszyń. – Proszę, niech pan wejdzie.

Idąc korytarzem, Kornel rozglądał się wnikliwie. Dom, choć z zewnątrz w starym stylu, w środku prezentował funkcjonalną nowoczesność. Nie nazwałby go przesadnie eleganckim, raczej ładnym i przytulnym, takim, w którym mieszka kochająca się, współczesna rodzina. W kuchni, gdzie meble ustawiono w literę L, była spora przestrzeń do gotowania. Szafki z jasnej, matowej płyty i chyba naturalny, drewniany blat dobrze ze sobą współgrały. Murecki złapał się na tym, że żałuje, iż u siebie wybrali jednak materiał imitujący drewno. Zaraz jednak wrócił

do rzeczywistości. Bo rzeczywistość malowała się przed nim pełna rozpacz i ciemności. Kalina Rokoszyń siedziała ubrana na czarno na równie czarnej kanapie. Gdyby nie jej twarz, blada i smutna, jej postać całkowicie zlewałaby się z welurem. W rękach trzymała kubek z parującym napojem. Po zapachu poznał, że to nie kawa, raczej jakieś ziółko, które mąż zrobił jej na uspokojenie. Kornel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ta kobieta nie przebywa tu z własnej woli. Trochę jakby wykonywała polecenie, wiedząc, że wyższe dobro tego wymaga. A może po prostu czuła się w obowiązku mu podziękować.

– Kawy? – Patryk Rokoszyń wyrwał go z zamyślenia. W przeciwieństwie do żony trzymał się dużo lepiej. Postura jego ciała była prosta i formalna. Jedyne mizerna twarz zdradzała, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

– Jasne, poproszę. – Nie, żeby szczególnie jej pragnął, ale wydawało mu się, że pozwoli im to spędzić ze sobą więcej czasu. Miał spore doświadczenie w przesłuchiowaniu rodzin ofiar i wiedział, że może potrwać, zanim się otworzą. Co prawda, nie chciał ich przesłuchiwać. Ale jak im pomóc, skoro nawet się nie domyślał, co się wydarzyło? Inna sprawa, że od kiedy odszedł z policji, brakowało mu pracy w terenie, z poszkodowanymi ludźmi. Niechętnie przyznał sam przed sobą, że choć współczuje tym rodzicom z całego serca, to czuje lekki dreszcz na myśl o odkrywaniu ich historii.

– Jak się pani czuje, pani Kalino? – zapytał, siadając koło kobiety.

Spojrzała na niego, a pod powiekami zaczęły jej się gromadzić łzy. Odniosł wrażenie, jakby właśnie wezbrał w niej potok miliona niewypowiedzianych słów. Zrozumiał, że intensywnie nad czymś myśli, ale powstrzymuje się przed zwierzeniem. Mógł mieć jedynie nadzieję, że nie planuje właśnie kolejnej próby samobójczej.

– Żona źle znosi ucieczkę z domu naszego syna. – Patryk Rokoszyń podał Kornelowi kubek z kawą i umieścił się naprzeciw niego w fotelu.

– Ucieczkę? – Murecki ewidentnie się zmieszał. Nie wiedział, jak zareagować. Wydawało mu się, że Kalina Rokoszyń lekko drgnęła na słowa męża, ale potem przybrała ten sam wyraz twarzy, który miała od początku. – Przepraszam, myślałem... – Zastanawiał się, czy powinien to mówić. Czy faktycznie, kiedy wiozł tę kobietę do szpitala, usłyszał, że jej syn nie żyje? Czy że po prostu go nie ma i za nim tęskni? W tym momencie był tak zbity z tropu, że nie mógł sobie przypomnieć.

– Myślał pan, że straciliśmy dziecko – pomógł mu dokończyć pan domu. – Kiedy ucieka niemal dorosły syn i w liście pożegnalnym pisze, że nie chce nas

więcej widzieć, ma plan na karierę za granicą i życzy nam szczęścia, to faktycznie trochę tak, jakbyśmy go stracili – podsumował zwięźle.

– Rozumiem i przykro mi. – Kornel odzyskał rezon. – Może mógłbym jakoś pomóc? Czy zgłosili państwo zaginięcie na policję?

– To nie zaginięcie, tylko ucieczka – podkreślił ojciec chłopaka. – A dokładniej, wyjazd syna do pracy.

– Jeżeli wasz syn jest nieletni, to zaginięcie, i trzeba zacząć go szukać. Mogę pomóc, mam kontakty w policji. – Kalina Rokoszyn znowu podniosła na niego wzrok. Może pojawiła się w niej iskierka nadziei? – Jak ma na imię pani syn? – zwrócił się bezpośrednio do niej. Coś mu tutaj nie pasowało. Dobry dom, wydawałoby się, porządna rodzina, matka załamana zniknięciem dziecka, a ojciec jakby robił wszystko, by to bagatelizować. Ale może to wcale nie takie dziwne, może to normalne ludzkie reakcje? Jak by to nazwała Sarnecka? Wyparciem? Facet nie dopuszcza myśli, że dziecku było w domu źle lub że może grozić mu niebezpieczeństwo.

– Tomek – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Tomasz to może formalnie jeszcze dziecko, ale jest bardzo dorosły jak na swój wiek. Od dwóch lat systematycznie pracuje – przekonywał Rokoszyn. – I faktycznie mówił nam od dawna, że dla niego najlepiej by było rzucić szkołę i wyjechać do Niemiec do pracy. Poznał w necie jakichś kolegów montujących panele słoneczne i pytał, czy mógłby na miesiąc wyjechać, dorobić. Oczywiście się nie zgodziliśmy, więc uciekł.

Kornel zauważył, że po twarzy kobiety wreszcie popłynęły łzy. Dałby sobie też głowę uciąć, że ma na ten temat zupełnie inne zdanie. Była załamana i kompletnie rozbita. Ale milczała.

– Zapytam jeszcze raz, czy zgłosili państwo zaginięcie?

– Przecież on niedługo wróci – upierał się Patryk Rokoszyn. – Zobaczysz, jak ciężko jest samemu, i przyjedzie tu z podkulonym ogonem. Minął dopiero tydzień.

– Może tak być, ale naprawdę powinien pan to zgłosić. – Spojrzał na mężczyznę z naganą, bo jego zachowanie zaczęło go mierzwić. – Pana żona niemal popełniła samobójstwo z tego powodu, więc proszę się zainteresować, co dzieje się w pana domu, i odpowiednio reagować – zrugął go. Kobieta nie wytrzymała i wybiegła z płaczem z pokoju. Wiedział, że nie powinien tego mówić przy niej, ale był zły na faceta. Ktoś powinien nim w końcu potrząsnąć. I dziwne, że nie obudził się po tym, jak jego żona założyła sobie na szyję pętlę. – Wiele lat pracowałem w policji. Jutro przyślę do państwa funkcjonariusza, który przyjmie zgłosze-

nie o zaginięciu Tomka i przeszuka dom. Może natrafi na coś, co wskaże adres lub chociaż miasto wyjazdu syna. Mam też kontakty w Niemczech, mogę podpytać. Będę potrzebował jego zdjęcia. – Patrzył na gospodarza, a ten wydawał mu się coraz bardziej zmieszany. Zmieszany i...? Przestraszony?

– Panie Patryku, zapytam wprost, bo i tak zostaliśmy sami. Czy jest coś, czego pan mi nie mówi? – Ciągle zapominał, że nie jest już gliną. Nawet gdyby coś takiego było, to dlaczego ten człowiek miałby wtajemniczać w to zupełnie obcego faceta? – Naprawdę chcę pomóc – dodał łagodniej. – Odszedłem z policji dopiero dwa miesiące temu, ale wciąż mogę wiele zdziałać. Odnoszę wrażenie, że nie mówią mi państwo wszystkiego.

Głośny dźwięk telefonu dobiegł z kuchennego blatu, ale Patryk Rokoszyn nie poszedł odebrać. Siedział naprzeciw Kornela z wystraszoną miną. Jego żona też się nie zjawiała. Czy tak reagują rodzice, których dziecko uciekło z domu? Czy nie powinni pędzić do komórki w nadziei, że dzwoni ich ukochany syn? Być może arogancki, być może zbuntowany, ale jednak syn, który może potrzebować pomocy... To wszystko wydało się Kornelowi bardzo dziwne.

– Proszę już iść. Nie mam nic więcej do powiedzenia – odparł pan domu i spuścił wzrok na podłogę.

— — —

Patryk Rokoszyn upewnił się, że wścibski przybysz opuścił ich podwórko. Odprowadził go wzrokiem do końca ulicy, a kiedy postać mężczyzny zniknęła za zakrętem, poszedł na górę do żony. Siedziała w pokoju Tomka, przytulając do piersi jego ulubioną bluzę. Potrzebowała czuć jego zapach, jego obecność. Nie miała już siły płakać. Spojrzała na niego nieobecny, martwym wzrokiem, pozbawionym wszelkiej nadziei.

– Źle robimy – oznajmiła w końcu. – Jutro powiem prawdę. Powiem prawdę temu policjantowi, który tu przyjdzie – wykrzyczała mu w twarz ostatkiem sił, jakie się w niej jeszcze kryły.

– Nie! – wrzasnęła, po czym rzucił się do jej stóp. – Błagam cię, nie – płakał. – Nic nie mów, bo stracę też Blanę.

Milena Rogalska czuła, że marznie. Cały dzień miała dreszcze. Właściwie od wczoraj była niespokojna, ale dopiero dziś zaczęło się to objawiać fizycznie. Może to tylko przeziębienie, pocieszała się w myślach. Nieustannie próbowała przekonać samą siebie, że to, co usłyszała wczoraj z ust córki, kiedy pożegnała policjantów, to tylko dziecięca zabawa. Zasłyszane w internecie zdanie, które miała bezrefleksyjnie powtórzyła. Jednak z minuty na minutę do jej świadomości niestrudzenie wdzierало się pytanie: a co, jeżeli to prawda? Co, jeżeli Tamara odziedziczyła dar po babci? Milena go nie miała i szczerze mówiąc, całe dzieciństwo wstydziła się za swoją matkę. Dzieciaki ze szkoły i podwórka nazywały ją wiedźmą, a ją samą pomiotem szatana. Szydliły z niej, wyśmiewały się, robiły znak krzyża, kiedy szła ulicą. Nikt nie rozumiał, że jej matka – Miriam Rogalska – urodziła się z darem, którego nie posiadali zwykli śmiertelnicy. Ona czuła. Wyczuwała dobrą i złą energię ludzi. Orientowała się, kto był śmiertelnie chory i ile zostało mu czasu oraz jaki los spotka niektóre osoby. Nie wszystkie. Niektóre. Właściwie Milena nigdy nie dowiedziała się, dlaczego jej matka potrafi widzieć przyszłość tylko wybranych. Ponoć umiała kontaktować się też z duchami, ale jako dziecko. Milena tak bardzo wstydziła się matki, że nigdy nie chciała poznać tajników jej specyficznych umiejętności. Kochała ją, ale nie mogła jej znieść. Dopiero kiedy Miriam Rogalska została poproszona o pomoc w odnalezieniu zaginionego chłopca, syna lokalnego biznesmena, sąsiedzi spojrzeli na nią przychylniej. A kiedy wskazała policji miejsce, w którym ukryli go porywacze, na krótki czas stała się nawet lokalną bohaterką. Bardzo krótki. Ludzie szybko zapominają, że zawdzięczają coś komuś. Już po paru tygodniach pojawiły się plotki, że skoro Miriam wiedziała, gdzie przetrzymywano chłopaka, to na pewno maczała palce w tej sprawie. Oczywiście nic takiego jej nie udowodniono, ale przecież i bez tego wystarczyło, by znowu popadła w niełaskę.

Milena nie lubiła swojego dzieciństwa. Przez głupotę i zawiść oraz z powodu matki była wyśmiewana i poniżana. Kiedy dorosła i poszła na studia medyczne, spojrzała na Miriam innymi oczami. Stało się dla niej jasne, że mamę opanowała choroba. Na pierwszym roku studiów nie potrafiła jeszcze określić, czy to schizofrenia czy inne zaburzenie, ale wiedziała, że kiedy przyjdzie moment wyboru specjalizacji, z pewnością postawi na psychiatrię. Ten moment jednak nie nadszedł. Na drugim roku zaszła w nieplanowaną ciążę i przerwała studia. Po dwóch miesiącach poroniła, ale nie miała siły wracać. Potrzebowała odpoczynku. Oddechu, który pozwoliłby jej nabrać sił i zdystansować się od przytłaczającego świata.

Wyjechała do Hiszpanii jako au pair i została na Costa Brava przez pięć lat. To tam poznała Hectora. Miłość jej życia. Człowieka mądrego i dobrego, który świata poza nią nie widział. Przyjechał za nią do Polski, pobrali się, urodziła córkę. Matka zaproponowała dla niej imię – Tamara przypadła wszystkim do gustu. Milena doskonale pamięta smutne i radosne zarazem oczy matki, gdy pierwszy raz wzięła wnuczkę na ręce.

– Ona ma dar, kochanie – powiedziała z przejęciem. – Nie bój się tego. Kochaj ją najmocniej na świecie i ciesz się chwilami, które możecie spędzić we trójkę.

Ta sytuacja szczególnie zapadła jej w pamięć, bo chociaż matka nie powiedziała nic złego, po jej twarzy domyśliła się pojawiającej się przed nią wizji. Złej wizji. Nigdy wcześniej Milena nie widziała w oczach mamy łez, aż do wtedy... Bała się zapytać, ile mają czasu.

Pół roku później Hector i Miriam zginęli w wypadku samochodowym. Milena została sama z niemowlęciem. Jej jedynym krewnym był ojciec, dobry i spokojny człowiek, który po śmierci żony odciął się zupełnie od ludzi. Przeniósł do chaty w górach i wiódł tam życie samotnika, stroniąc od wszelkiego kontaktu.

– Mamusiu, przytulisz się do mnie? – Usłyszała cichy głosik Tamary, która wgramoliła się na wysokie łóżko i nakryła kolorową kołderką.

– Oczywiście, kochanie. – Podeszła, pogłaskała ją po główce i pocałowała w policzek. – Śpij słodko, mój aniołku.

Dziewczynka chwyciła ją obiema rączkami i przyciągnęła do siebie.

– Wiem, że myślisz teraz o babci i jest ci smutno – wyszeptła jej do ucha.

Milena zamarła, zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Poczowała, że temperatura w pokoju córki spada do okolic zera.

– Nie smuć się, mamusiu. Wszystko będzie dobrze. – Dziewczynka pocałowała ją w czoło i uśmiechnęła się niewinnie.

Milena nie wiedziała, co powinna w tej chwili zrobić. Jej ciało zdawało się dziwnie bezwolne, a mięśnie bolały ją jak przy grypie. Dotknęła ręką czoła i z ulgą stwierdziła, że ma gorączkę. To pewnie dlatego tak dziwnie się czuła i takie głupoty przychodziły jej do głowy.

– No pewnie, że będzie dobrze, mój kwiatuśku. A teraz śpij słodko. – Uśmiechnęła się do córki i wyszła z pokoju.

Dałaby sobie rękę uciąć, że kiedy wychodziła z łazienki, córka rozmawiała z kimś w swojej sypialni.

– Przyszłyście! – Zza zamkniętych drzwi dobiegał jej uradowany głosik. – To dobrze, czekałam na was.

Muszę przyznać, że spokój to cudowne uczucie. Poranki, kiedy nie pędzę na złamanie karku, szykując dziewczynki i zawożąc jedną do szkoły, a drugą do żłobka, są po prostu cudowne! – Olga wychyliła się zza kuchennej wyspy i dała buziaka mężowi.

– A fuj – zniesmaczyła się Ola, która przy stole pochłaniała właśnie trzecią kanpkę z nutellą. Zakryła przy tym ostentacyjnie oczy małej Zuzi, która pałaszowała kaszkę na swoim krzeselku do karmienia.

– Dobra, dobra, pogadamy za parę lat. – Zaśmiał się Kornel, zerkając na córki.

– Że niby będę całowała chłopaka za parę lat? – Zganiła go wzrokiem pierwszodna. – Nigdy! To obrzydliwe!

Olga się roześmiała. Pierwszy raz od dwóch tygodni nie musiała zrywać się wcześniej, by wyprowadzić psa, przygotować Olę i Zuzię, zrobić im pierwsze i spakować drugie śniadanie, i jeszcze jakimś cudem przed wyjściem o siódmej trzydzieści z domu zadbać o swą aparycję.

– Jak dobrze jest mieć cię w domu. – Przytuliła się do Kornela.

– Tato, zawieziesz nas dzisiaj? – spytała z nadzieją Ola.

– Pewnie, że tak! Jakbym mógł nie zawieźć moich księżniczek. A po południu pójdziemy na basen, co wy na to?

– Super! – Ola klasnęła w ręce z radością. – Pokażę ci, czego się ostatnio nauczyłam. Przewrotu w tył bez zatykania nosa! Zobaczysz!

Zuzia, choć pewnie niewiele jeszcze z tego rozumiała, zaczęła klaskać starszej siostrze i podskakiwać na swoim krzeselku.

– No dobrze, to ja lecę do pracy. – Olga zrobiła rundkę wokół stołu, całując dziewczynki w policzki, a potem cmoknęła męża w usta i znów usłyszała to głośne:

– Fuj!

Zaśmiała się w myślach i zeszła do auta. Mocny powiew ciepłego jak na październik powietrza poderwał liście z podjazdu. Jesień była wyjątkowo piękna. Po kiepskim wrześnie październik okazał się prawdziwym babim latem. Wsiadła do samochodu, odpaliła silnik i wrzuciła jedynkę. Matko, jak cudownie nie musieć się śpieszyć w poniedziałek!, pomyślała i z westchnieniem oparła głowę na główku. Cieszyła się, że Kornel znalazł w Niemczech pracę, która go pasjonowała i dawała im komfort finansowy, ale te rozłąki nie należały do najprzyjem-

niejszych. W aucie rozbrzmiał dźwięk przychodzącego połączenia. Kliknęła przycisk na kierownicy łączący ją z rozmówcą.

– Cześć, Mirek, co taki ranny ptaszek z ciebie?

– Hej. Strasznie pizgało w nocy i spać przez to nie mogłem, więc przyjechałem do roboty wcześniej – odpowiedział kolega, po czym od razu przeszedł do rzeczy: – Dzwonię poinformować cię, że przełożono sekcję zwłok na ósmą rano. Wiem, że chciałaś wziąć w niej udział. Więc musisz się śpieszyć.

– O... A wiemy dlaczego? – zdziwiła się.

– Podobno prokurator Kowalik zainteresował się szkieletami znalezionymi dwa miesiące temu w bursie i chce zrobić telekonferencję z udziałem antropologa sądowego.

– Dziś?

– No. Ten antropolog mieszka w Poznaniu. Do niego właśnie wysłano kości. Ponoć już je zbadał i może rzucić jakieś ciekawe światło na sprawę. Myślę, że Kowalik chce wiedzieć, czy te informacje nadają się jako powód, by rozpocząć śledztwo, czy raczej by przekazać szczątki do muzeum.

– Okej. – Zamyśliła się na chwilę. – Ja też chętnie posłucham. Ostatecznie znaleziono je w miejscu zostawienia naszego ciała, więc powinnam być na tej tele, no nie? O której będzie?

– O dwunastej.

– Dobra, pogadam z Kowalikiem podczas sekcji.

– Widzimy się więc w południe w prokuraturze.

– Jasne, cześć!

Z roztargnienia zaryła kołem o zbyt duży krawężnik. Założyła, że opona jest cała, bo nie miała czasu sprawdzać. Kliknęła przycisk zamykający auto i pognąła do budynku prosektorium, znajdującego się tuż przy szpitalu. Silne podmuchy wiatru uderzały w nią, nie pozwalając złapać powietrza. Z trudem otworzyła drzwi do przedsionka budynku i zamknęła je za sobą.

– Chyba idzie jakiś halny – zauważyła, strzepując liście z cienkiego, brązowego płaszcza.

– W naszych górach to raczej fen – poprawił ją ktoś o sztywnym głosie.

O ile w ogóle można tak go określić. Był po prostu formalny, niemal akademicki. Mężczyzna zdecydowanie nie miał zamiaru flirtować, a jedynie uświadomić ją o błędzie i wyedukować. A przynajmniej takie odniosła wrażenie po tym jednym jedynym wypowiedzianym przez prokuratora Kowalika zdaniu. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Fen? – zapytała. Oczywiście, że wiedziała, że halny wieje w Tatrach, a nie w Karkonoszach, ale przecież tak się potocznie mówiło. Postanowiła wykorzystać temat meteorologii do nawiązania pozazawodowej rozmowy. Odkąd zobaczyła specyficzną reakcję Michalika na to nazwisko, człowiek je noszący zaczął interesować ją również prywatnie.

– Tak, fen. Charakterystyczny dla Karkonoszy wiatr przewalowy, mający cechy fenów alpejskich. Widziała dziś pani chmurę organiczną w górach? Mam na myśli taką puchową pierzynę z chmur otulającą zbocza. Ja widziałem, piękna! – Rozpromienił się, choć jego oczy pozostały smutne.

– Muszę się przyjrzyć, kiedy stąd wyjdziemy. – Uśmiechnęła się. – Dostałam sprawę dziewczyny z Sobieszowa, nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli stanę na sekcji?

– W żadnym wypadku. Spodziewam się, że moja kariera nie będzie przez to zagrożona.

Olga zmrużyła oczy. Ewidentnie posłużył się właśnie jakimś skrótem myślowym, ale ona nie pojmowała, o co mu chodziło. Nie wiedziała też, czy może pozwolić sobie z nim na żarty czy to raczej służbista. Ich wcześniejsze zawodowe ścieżki nie przecinały się często. Musiała wydawać się zmieszana, bo mężczyzna szybko zareagował.

– Proszę wybaczyć tę drobną uszczypliwość, pani Olgo – zreflektował się prokurator, po czym podał jej rękę na przywitanie. – Po prostu odnoszę wrażenie, że wzmożona rotacja w jeleniogórskiej prokuraturze ma ostatnio duży związek z panią. – Uniósł kącik ust i lewą brew, nie puszczając jej dłoni.

No, fakt. Człowiek nie jest bezludną wyspą, jak mawiała jej wychowawczyni, kiedy Olga coś nawywijała. O ile ona nie znała dobrze wszystkich w palestrze, o tyle oni na bank o niej sporo słyszeli. Najpierw za sprawą Adama Pawłowskiego oraz ich burzliwego „związku”, a potem Kaliny Talarek. Przez chwilę zawstydziła się myślą, że na podstawie ostatnich dwóch lat jej życia można by nakręcić całkiem niezły, brazylijski serial. Ale wstyd nie był wpisany w jej naturę, więc konsternacja nie trwała długo.

– Dla przyjaciół jestem aniołem. – Uśmiechnęła się zawadiacko do prokuratora. – A przecież my nie mamy powodów, by być wrogami?

Zaśmiał się na cały głos, czym mocno ją zdziwił. Ale uznała, że lody zostały przełamane.

– To co? Wchodzimy? – I Kowalik otworzył drzwi do części głównej budynku.

Lekarz medycyny sądowej Staszek Nowakowski wzdrygnął się na jej widok, za to na spotkanie z prokuratorem Kowalikiem wyraźnie ucieszył.

– Brydź dzisiaj u mnie o dwudziestej? Ostatnio cię nie było. Jak, do cholery, grać w grę dla czworga, gdy jednego brakuje?

– Musiałem coś załatwić, dziś będę. – Prokurator uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu. – Jak denatka? Spieszę się. Mam pełno roboty.

– No, to zaczynajmy. – Nowakowski włożył nylonowe rękawiczki i podszedł do ciała, jednak ewidentnie coś mu nie pasowało. – No nie, żeby kobieta, która nie jest prokuratorem, coś takiego oglądała, to mi się nie mieści w głowie. – Skrzywił się. – Mała, tam, w rogu sali stoi krzesło, siadaj sobie – rzucił do Olgi i już po sekundzie tego pożałował.

– Jak to się mówiło za dzieciaka? Mała to jest twoja pała – wyrecytowała znaną rymowanąkę z podwórka. – Skończ już udawać takiego męskiego szowinistę i rób swoje – zganiła go. Odkąd znowu zaczęła pracować w pojedynkę, czuła się jak podczas pierwszych lat w policji. Wtedy też musiała walczyć o swoje i udowodniać wszystkim, że nie jest popychadłem ani tępą blondynką niepotrafiącą kojarzyć faktów. Nie obrażając blondynek oczywiście.

Prokurator zaśmiał się pod nosem i prawdopodobnie przekazał gestem jakieś niewerbalne polecenie, bo Nowakowski od razu wziął się do roboty.

– No dobra. Zanim przyszlście, oczyściłem ciało i je umyłem. Pobrałem też parę wydzielin lub lepkich substancji do badania, ale to pewnie ślina zwierząt, nie przywiązywałbym do tego zbyt dużej wagi. Wysłałem do laboratorium.

Przez następne trzy godziny skrupulatnie badał denatkę. Najpierw poddając ją oględzinom zewnętrznym, a następnie otwierając trzy jamy ciała: czaszkę, klatkę piersiową i jamę brzuszną. Wyciągał i ważył narządy, pobierał wycinki do badań, a potem zaszył wszystko razem z mózgiem w jamie brzusznej. Przed zamknięciem czaszki włożył do niej sztuczny wypełniacz. Olga musiała przyznać, że znał się na swojej robocie. Wszystkie czynności wykonywał sprawnie i szybko, na dyktafon nagrywając swoje spostrzeżenia. Kiedy nie pajacował, wzbudzał szacunek profesjonalizmem. Co chwila rzucał tylko zdawkowe: narząd zdrowy, mała torbiel w lewej piersi, obrzęk wewnątrzczaszkowy... Po trzech godzinach wiedział już wszystko o denatce oprócz jej imienia i nazwiska. A szkoda, bo to by im bardzo pomogło.

– I to by było na tyle – podsumował. – Pobrane materiały wyślę do badań histopatologicznych, toksykologicznych i biochemicznych. Pełny raport napiszę, gdy będą wyniki. Wcześniej dostaniecie skrócony, ale myślę, że też wystarczy.

– Sprawa wydaje ci się tak oczywista? – zaczępnie zapytał prokurator, który pocierał nogą o nogę. Trzy godziny stania przyprawiły go o skurcz mięśni prawej łydki.

Miał już swoje lata, ale przecież nie był dziadkiem. Olga zaczęła się zastanawiać nad jego wiekiem. Skoro są z Michalikiem znajomymi, to być może i rocznikiem zbliżeni. Czterdzieści siedem? Osiem? Ale prokurator prezentował się od komendanta o wiele lepiej. Gdyby miała strzelać, powiedziałyby, że jest ledwo po czterdziestce. Ciemnowłosa, elegancko przystrzyżony, ubrany w granatowy garnitur i dokładnie wypastowane, na czarno, połyskujące buty. Faceci z palestry zawsze wiedzieli, jak się prezentować.

– Nie mam żadnych wątpliwości – odpowiedział zdecydowanym głosem Staszek. – Moim zdaniem do śmierci doszło w wyniku uduszenia. Nastąpiła nagle utrata oddechu i zatrzymanie akcji serca. Krtań jest praktycznie zmiażdżona. Obstawiałbym silnego mężczyznę lub kogoś działającego w złości. Wcześniejszy uraz głowy, choć spowodował podskórny krwiak i zapewne czasowe omdlenie, nie należał do śmiertelnych. I tak, ewidentnie nastąpił, gdy kobieta jeszcze żyła. Co ciekawe, jestem pewny, że pomiędzy tymi zdarzeniami musiało minąć kilka dni, bo rozpoczął się już proces gojenia rany.

– Ile dokładnie? – wtrąciła Olga.

– Mogę podać w przybliżeniu – do dwóch dni.

– Poza ranami zadanyymi przez zwierzęta nie ma znaków świadczących o znęcaniu się nad dziewczyną? – Wolała być pewna, czy uderzenie w głowę było jedynym.

– Nic takiego nie zaobserwowałem, a zwierzęta dobrały się do niej po śmierci. Krew zdążyła opaść, dając typowe plamy opadowe, dlatego nie widać siniaków, a podgryzienia nie są krwawe.

– Została zgwałcona? – zabrał głos prokurator.

– Nie, ale była aktywna seksualnie. Bynajmniej, nie dziewica. Nigdy nie rozdziła.

– Jak myślisz, zabójca przyniósł ją na to miejsce czy dokonał tam zbrodni?

– Na dwoje babka wróżyła. Miała ziemię i liście na ciele i we włosach. Mogły być rezultatem szamotaniny, choć pod paznokciami brak śladów walki. Może jednak obstawiałbym przyniesienie. Tym bardziej że nie zauważyłem otarć, które świadczyłyby o próbie uwolnienia się od oprawcy i poderwania z ziemi. Bardzo więc prawdopodobne, że ziemię naniosły zwierzęta.

– A czas śmierci? – Olga zadała najbardziej nasuwające się w tej chwili pytanie.

– Biorąc pod uwagę opuchliznę, rozpad tkanek wewnętrznych oraz rozwój złożonych w ciele larw, tak jak podejrzewałem, najprawdopodobniej noc ze środy na czwartek. Może wczesnoporanne czwartkowe godziny.

– Dzięki, Staszek. – Prokurator wyciągnął rękę do lekarza, a ten ściągnął rękawiczkę i potrząsnął nią lekko.

– Pamiętaj, dziś o dwudziestej. – Spojrzał na niego groźnie, nie luzując uścisku.

– Dobra, wiem, wiem.

– Do widzenia – pożegnała się oficjalnie Olga. Staszek Nowakowski skinął tylko głową.

Kiedy wyszli, prokurator Kowalik odprowadził ją do auta.

– Słuchaj, Olga – rozpoczął w zamyśleniu. – Rób swoje i informuj mnie na bieżąco. Masz moje pełne poparcie na złapanie tego skurwysyna. Jak będziesz potrzebowała dokumentów, niech Żaneta powiadomi mnie bezzwłocznie i od razu wszystko dostaniecie.

Spojrzała na niego nieufnie. Skąd wiedział, że Żaneta jest w jej zespole? Czyżby Michalik zdał mu relację, jak Olga pracuje, kiedy wybierał ją do prowadzenia tego śledztwa? I to bezwarunkowe poparcie... Do tej pory tylko prokurator Dołęga zgadzał się na wszystko, co wymyśliła, ale on robił to ewidentnie z egoistycznych pobudek – dla świętego spokoju. Kowalikowi natomiast bezsprzecznie zależało na odnalezieniu sprawcy. Miał silną osobowość i był pewny siebie, a do tego zorientowany na sukces.

– Idziesz teraz na telekonferencję? – zapytała go jak kumpla. Skoro on mówił jej po imieniu, to przecież ona nie będzie zwracać się do niego per pan.

Zaskoczyła go. Było to widać po wyrazie jego twarzy, ale szybko przybrał maskę obojętności.

– Tak – przyznał bez wahania. – Spotkanie z antropologiem sądowym Mariuszem Młotem. Chcesz być obecna?

– Pewnie. Ciekawią mnie te znaleziska. Przecież to kolejne ciała na tym terenie. Choć dzieli je duża rozpiętość czasowa.

– To zapraszam. – Jeżeli wolał być na spotkaniu sam, to nie dał tego po sobie poznać.

– Wezwę Mirosława Zagórskiego, jeżeli to nie problem. Pracujemy razem, tym sposobem nie stracę potem ani chwili na zdawanie mu relacji – uargumentowała konieczność uczestniczenia Mirka.

– Jasne. Skombinuję krzesła – rzucił humorystycznie, choć się nie uśmiechnął.

Mariusz Młot wydawał się być młodym, szczupłym, żeby nie powiedzieć wychudzonym, i energicznym facetem. Olgę zastanowiło, jak to możliwe, że człowiek, który wyglądał na trzydzieści lat, może być jednym z najlepszych w Polsce antropologów sądowych. Szybko wygooglowała jego postać w Internecie i ze zdziwieniem przeczytała, że ma czterdzieści dwa lata. Dwadzieścia lat temu skończył z wyróżnieniem i w trybie skróconym biologię na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, a potem wyjechał do Hiszpanii, gdzie przez kilka lat studiował antropologię kryminalną na jakiejś policyjnej uczelni, której nazwy za nic nie potrafiłaby wymówić. Od dziesięciu lat mieszka i pracuje w Poznaniu.

– Swój człowiek. – Szturchnął ją w ramię Mirek, widząc, że mężczyzna wyswietlający się na białej płachcie na ścianie też jest łysy.

Musiała przyznać, że Robert Kowalik zadbał o warunki spotkania. Rzutnik, kawa, ustawienie krzesel w półkole, tak by kamera w laptopie, z którego szło połączenie przez Teams, mogła uchwycić każdego, kto zechce zadać pytanie. Postarał się, rzekłaby, nad wyraz. Zastanowiło ją wręcz, dlaczego jest taki miły. Jakoś nie licowało to z jej wiedzą co do „ludzi prawa”.

– Dzień dobry, panie Mariuszu – zaczął prokurator. – Są dziś z nami komisarz Olga Balicka i podkomisarz Mirosław Zagórski. Będą się przysłuchiwali rozmowie w celach dydaktycznych. Nieczęsto zdarza nam się okazja, by podszkolić się z tej dziedziny.

– Miło mi – kurtuazyjnie odpowiedział antropolog. – Mam tylko pół godziny, więc jeżeli możemy przejść do rzeczy, byłbym wdzięczny.

– Jasne – rzucił pośpiesznie Kowalik, choć ewidentnie nie spodobało mu się, że to specjalista wyznacza warunki spotkania.

– Dostałem od państwa trzy szkielety. Bardzo nie lubię działać pod presją czasu i nie podoba mi się, że byłem w tej sprawie pośpieszany – poskarżył się. – Ale do rzeczy. Nie ulega wątpliwości, że są to szkielety ludzkie. Na podstawie analizy kości, klimatu oraz przysłanej próbki ziemi, w której leżały, mogę określić ich wiek na mniej więcej trzydzieści lat. Plus minus dwa lata. Oczywiście mówię tu o czasie, jaki upłynął od śmierci. Nie o tym, ile lat w tamtej chwili mieli zmarli.

Olga zauważyła napięcie na twarzy prokuratora. Prywatne, źle skrywane przejęcie, świadczące o zaangażowaniu emocjonalnym. Ewidentnie nie pozostawał obojętny wobec tej sprawy. I co to znaczy, że antropolog był pośpieszany?

Czyżby Kowalik użył swoich wpływów po sobotnim znalezieniu zwłok i zmusił eksperta do szybszego zbadania czekających na swoją kolej szkieletów?

– Mieli? – zapytał. – Jest pan pewien, że to mężczyźni? – W jego oczach dało się widzieć wyczekiwanie.

Olga musiała przyznać, że i ją ta historia wciągnęła. Postanowiła zrobić mały eksperyment, by sprawdzić, jak mocno w tej sprawie tkwi prokurator.

– A da się określić, ile mieli lat w chwili śmierci? – zapytała pośpiesznie, unie-
możliwiając ekspertowi odpowiedź na poprzednie pytanie. – Bardzo mnie to cie-
kawi, jak to w ogóle możliwe – wytłumaczyła swoje wejście w słowo.

– To stosunkowo proste, przynajmniej w przybliżeniu – zaczął tłumaczyć an-
tropolog. – Na podstawie badania punktów kostnienia, czyli obserwacji, jak łączą
się ze sobą poszczególne elementy kości, zwłaszcza czaszki. Najłatwiej jest usta-
lić wiek dziecka, z uwagi na występujące ciemniaczko oraz tworzące się po jego
zaniku szwy czaszkowe. Jeżeli zmarły był w zaawansowanym wieku, dajmy na to
koło siedemdziesiątki, to tutaj margines błędu będzie spory, nawet dziesięcio-
piętnastoletni.

– A nasze szkielety? – Olgę zafascynował ten wykład. Nigdy wcześniej nie
uczestniczyła w śledztwie ani nie prowadziła takiego, w którym ofiara nie miała
już ciała, a jedynie sam szkielet.

– To okazało się dosyć łatwe. – Specjalista dał do zrozumienia, że ofiary były
młode.

– Dzieci? – z przejęciem wtrącił pytanie Mirek, który do tej pory jedynie się
przysłuchiwał.

– Dzieci nie, te osoby liczyły w chwili śmierci koło osiemnastu lat. Plus minus.
Nie jestem w stanie określić, czy osiągnęły już pełnoletność czy oczekiwały tego
wzniosłego wydarzenia za kilka miesięcy – przyznał. – Ale wracając do pytania
pana prokuratora – zwrócił się do Kowalika, a ten momentalnie wyprostował się
na krześle – to były kobiety.

– Dziewczyny... – powiedział pod nosem i znów się przygarbił.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. – Twarz Mariusza Młota pochyliła się w ich
kierunku.

– Dziewczyny – powtórzył głośniejszym głosem prokurator. – Dzieci nawet. Jestem w takim
wieku, że mogłyby to być moje córki – wyjaśnił swoje poruszenie.

– No cóż, biologicznie były to na dziewięćdziesiąt sześć procent kobiety. – An-
tropolog spojrział wymownie na zegarek na przegubie ręki. – Młode, zdrowe i za-
pewne zdolne do prokreacji.

– Dlaczego nie na sto? – zaniepokoił się Mirek.

– Aby mieć sto procent pewności, trzeba by przeprowadzić badanie DNA – oświadczył specjalista. – Nie dostałem takiego zlecenia. Ale wydaje mi się, że w tym przypadku nie ma takiej potrzeby, ponieważ morfologiczne uwarunkowania w budowie zewnętrznych struktur kostnych są tu bardzo widoczne. Kości świetnie się zachowały. Przeanalizowałem wygląd każdej z nich. Może państwo nie wiecie, ale kości mężczyzny i kobiety różnią się znacznie od siebie i nie chodzi tylko o szerszą miednicę. Płeć można też odczytać z zębów czy nawet kości piętowej. Tylko cztery procent kości w ciele nie wykazuje dymorfizmu płciowego.

– Jak zginęły? – prokurator Kowalik zadał w końcu to najważniejsze w ich pracy pytanie. – Da się to w ogóle określić?

– W przypadku jednej osoby mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że był to tępy uraz głowy. Kości czaszki są przedziurawione i jestem pewny, że doszło do masywnego krwotoku wewnątrzczaszkowego, a w konsekwencji do śmierci. Co do dwóch pozostałych nie potrafię tego stwierdzić. Kości są całe.

– A więc mogły zostać na przykład uduszone? – dociekała Olga, a Mirek i prokurator spojrzeli na nią jednocześnie. Obaj wiedzieli, do czego zmierza.

– Uważasz, że te sprawy są połączone? – wołał upewnić się Mirek.

– To samo miejsce, ten sam typ ofiary, czyli młoda kobieta, i również uderzenie w głowę... Ja tylko pytam... – Spojrzała na antropologa, oczekując wyjaśnień.

– Mogły – potwierdził – ale równie dobrze mogły się otruć grzybami czy podciąć sobie żyły. Nie wykażemy tego po tylu latach, dysponując jedynie kośćmi.

– Czy można stworzyć portrety ofiar? – zapytał trzeźwo Mirek. – Słyszałem o różnych metodach ustalania wyglądu twarzy po kościach czaszki. Od komputerowych do tworzenia plastycznych modeli.

– Tak. Mamy różne możliwości. Rysunek, rekonstrukcję komputerową albo tak jak pan wspominał, plastyczną. Oczywiście to nigdy nie będzie odwzorowanie w stu procentach prawdziwego wyglądu tych kobiet. Nie znamy choćby koloru ich oczu czy włosów. Ale przyjmując specyficzne parametry określone dla poszczególnych typów antropologicznych, płeć i wiek w chwili śmierci, można ustalić grubość tkanek miękkich w różnych punktach antropometrycznych. Rysunek powstanie na podstawie zdjęcia czaszki i będzie płaski. Model komputerowy da nam obraz trójwymiarowy, ale model plastyczny będzie najdokładniejszy i najbardziej realny. Niestety jest to bardzo droga opcja, a sama praca nad nim zajmuje nawet dwieście godzin. Wątpię, żeby prokuratura chciała to zlecić. Przepraszam, muszę już państwa pożegnać. Mam za chwilę ważne spotkanie i po prostu nie

mogę na nim nie być. Gdybyście chcieli mi zadać jeszcze jakieś pytania, proszę o maila, postaram się co prędzej odpowiedzieć. Oczywiście prześlę też mailem raport ze wszystkimi ustaleniami.

– Dziękujemy. Odezwę się do pana – pożegnał się w zamyśleniu prokurator Kowalik i rozłączył się szybciej, niż Olga i Mirek zdążyli powiedzieć „do widzenia”.

– I co sądzisz? – Olga wolała kuć żelazo póki gorące.

– Nie wiem. Muszę to przedyskutować z górą – uchylił się prokurator.

– Od chwili śmierci minęło około trzydziestu lat – przypomniał Mirek. – Sprawa jest przedawniona.

– Plus minus dwa – doprecyzowała Olga. – Czyli mogło to się wydarzyć dwadzieścia osiem lat temu, a to znaczy, że dopiero za dwa lata się przedawni.

– Yhm. Albo minęły już trzydzieści dwa lata i jest dawno po ptakach – polemizował. – W każdym razie jeżeli się do tego bierzemy, przejrzę rejestr osób zaginionych z tamtych lat. Być może dane zostały wprowadzone z akt do komputerów. Ale muszę się najpierw upewnić, czy ktoś dokonywał takiej cyfrowej archiwizacji.

– To ja sprawdzę akta prowadzonych spraw między rokiem dziewięćdziesiątym a dziewięćdziesiątym czwartym.

– Nie macie swojej roboty? – przerwał im prokurator. Ewidentnie targały nim uczucia, których nie chciał pokazać. Jego ciało było napięte, a twarz ledwo skrywała emocje.

– To co? Udawać, że tej sprawy nie ma? – zachnęła się Olga.

– Na razie róbcie swoje. Przyjdę do was jutro na spotkanie grupy i omówimy, co dalej. Ale szczerze wątpię, żeby po takim czasie ktoś nam zezwolił na wszczęcie postępowania. – Otworzył im drzwi, wymownie wypraszając ich ze swojego gabinetu.

Wyrzął przez okno, żeby upewnić się, czy opuścili budynek. Gdy tylko zobaczył, jak przechodzą przez ulicę i wsiadają do Olgi samochodu, wykręcił numer antropologa.

– Panie Mariuszu, przepraszam, to zajmie tylko chwilkę – powiedział pośpieszenie, zdając sobie sprawę z napiętego grafiku specjalisty. – Musi mi pan pomóc...

W małej konferencyjnej rozejrzała się dookoła, po czym zrobiła głośny, teatralny wdech i wydech, mający sygnalizować nowy początek. Na razie siedziała sama, ale za chwilę zejdzie się tu cały zespół dochodzeniowo-śledczy. Ponieważ ani Kornel, ani Otylia nie będą wchodzić w jego skład, Olga wiedziała, że zakończył się pewien rozdział w jej zawodowej karierze, a teraz rozpocznie się kolejny. Była gotowa. Zmiany są przecież w życiu nieuniknione i tylko ten, kto pozytywnie je przyjmie, ma szansę dostrzec ich plusy. Powtarzała sobie tę regułkę jak mantrę, choć gdyby ją zapytać, nadal widziała więcej minusów tej sytuacji.

– Można? – Ruda czupryna Kuby Zdanowicza falowała przy uchylonych drzwiach, a jego bystre, niebieskie oczy spoglądały na nią wyczekiwaniu.

Dwudziestoosmiolatek posiadał dyplom magistra informatyki. Jak sam mówił, siedzenie przy komputerach strasznie go zużyło i nie ma pojęcia, dlaczego wybrał akurat takie studia. Chyba po prostu poszedł za kolegami. Skończył je bez wyróżnienia, bo nauka nie była jego pasją. Chwytał za to całkiem sprawnie przekazywane przez wykładowców informacje, dlatego zaliczanie przedmiotów nigdy nie stanowiło dla niego problemu. Ot, tak, po prostu przebujał się przez te pięć lat. Dopiero kiedy wstąpił do czynnej służby, zauważył, że z powodu braków kadrowych jego umiejętności informatyczne przydają się w śledztwach. I wtedy poczuł, że jest tam, gdzie chce być. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Odkrył w sobie pasję, która napędzała go do działania. Przez ostatni rok dużo pracował z Otylią. Nauczyła go więcej niż studia, choć musiał przyznać, że bez nich nie wiedziałby, o czym informatyczka mówi. Teraz, gdy ona była na zwolnieniu lekarskim, to on pomagał kolegom w technicznych aspektach.

– Chodź, Kuba, siadaj – Olga zaprosiła go, wskazując ręką, by zajął któreś z krzeseł.

– Przepraszam, przepraszam. – Żaneta Żużyńska weszła do sali, prowadząc wózek gastronomiczny, trzymając pod pachą teczkę z dokumentami. Kiedy rozstawiła na stole kubki oraz termos z kawą, przy czterech miejscach położyła skesrowane dla każdego akta. Jeden komplet zostawiła przy swoim laptopie.

– Jesteś niezastąpiona, dziękuję – powiedziała Olga, zauważając niesamowitą przemianę w dziewczynie. Nie wiedziała, co spowodowało, że Żaneta postanowiła wyglądać dziś zupełnie inaczej. Radośniej i bardziej dziewczęco. Pierwszy raz w życiu widziała ją w dżinsach i białym bawełnianym T-shircie zamiast w spodniach na kant i golfie. Żaneta pozwoliła sobie na luz, a to nie zdarzało się często. Właściwie nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

– Obecny! – pośpiesznie zaanonsował się Mirek, który właśnie wszedł do sali i zajął miejsce jako ostatni. A przynajmniej tak mu się wydawało, choć zdziwiła go jedna teczka więcej na stole. Może to dla Kasi Sarneckiej? Miał szczerą nadzieję, że dołączy do grupy.

– No dobrze, moi drodzy. Zaczynamy – przejęła inicjatywę Olę. – Oficjalnie prowadzimy sprawę o zabójstwo młodej kobiety. Nie znamy jej personaliów. Ciało zostało znalezione w parku przy starej bursie w Sobieszowie. Dziewczyna miała około osiemnastu do dwudziestu lat. – Kuba Zdanowicz siedzący naprzeciwko niej otworzył akta i zmarszczył się na widok fotografii z miejsca zbrodni. Nie odłożył ich jednak, za to z zaciekawieniem zerkał na raporty, starając się jednocześnie nie przegapić danych od Olgi. – Znalaziona bez ubrań, dokumentów czy innych rzeczy osobistych. Mirek – zawiesiła głos i spojrzała na kolegę – jest odpowiedzialny za sprawdzenie jej w rejestrze osób zaginionych. Dziś rano razem z prokuratorem Kowalikiem uczestniczyłam w sekcji zwłok. Uraz głowy nie był śmiertelny, miał tylko ogłuszyć ofiarę. Do śmierci doszło z powodu uduszenia. Zabójca zrobił to najprawdopodobniej ręcznie, w rękawiczkach, nie zostawiając żadnych śladów własnych.

– Czyli wiedział, co robi. Działał z premedytacją, z bezpośrednim zamiarem pozbawienia jej życia – skwitował Kuba.

– Tak – przyznała mu rację.

– A nieoficjalnie? – Dojrzały kobiecy głos dobiegł ich od drzwi. Odwrócili się i zobaczyli policjantkę w umundurowaniu. Dojrzała blondynka, raczej niska, z lekką nadwagą, patrzyła na nich bystrymi oczami. Bez makijażu, przerzedzone włosy do ramion związała w kitkę, zapewne nie miała żadnej ochoty, by swym wyglądem sprawiać komukolwiek przyjemność.

– Aspirant Chmurzyńska, jak mniemam? – Olga uśmiechnęła się, choć poczuła pewien rodzaj niepokoju. Kobieta musiała przysłuchiwać się jej wypowiedzi od początku. Jak to możliwe, że jej nie zauważyli? I dlaczego pani aspirant wcześniej jej nie przerwała?

– Aspirant Maria Chmurzyńska – potwierdziła i skinęła głową z szacunkiem.

– Zapraszam. – Wskazała wolne miejsce, przy którym leżały akta sprawy.

Mirek posłał Oldze oskarżycielskie spojrzenie: kto to jest i dlaczego nic mi o niej nie powiedziałaś? Puściła do niego oko i uśmiechnęła się pod nosem.

– Potem ci wytłumaczę – wyszeptwała szybko do niego.

– Nieoficjalnie podejrzewacie seryjnego mordercę, tak? – Maria Chmurzyńska nie bawiła się w konwenanse. To, co myślała, waliła prosto z mostu. Jej też ta sprawa nie wydawała się jednostkowym przypadkiem.

– Seryjnego? – Jakub Zdanowicz zakrzuszył się łykiem kawy. – Na jakiej podstawie? – Popatrzył wyczekująco na swoją przełożoną.

– Może zacznijmy od początku... – Olga głośno wypuściła wstrzymywane przez chwilę powietrze. Zastanowiło ją, czy bezpośredniość aspirant Chmurzyńskiej nie narobi im w przyszłości problemów. W swoim gronie mogą nie owijać w bawełnę, pytanie, jak ta kobieta zachowa się przy innych. – Nasza ofiara została znaleziona w miejscu, gdzie jak zapewne wiecie, dwa miesiące temu znaleziono trzy szkielety. – Zebrani pokiwali głowami. – W teczkach macie dane od antropologa sądowego, jakie udało mu się ustalić na podstawie oględzin kości.

Kuba, Maria i Żaneta zaczęły przeglądać akta z zainteresowaniem.

– W mordę jeża – wymamrotał Kuba, czym rozbawił Olę. Lubiała go, bo w przeciwieństwie do innych młodych kolegów był nieco starej daty. A może to po prostu taka cecha wszystkich informatyków. Nie od dziś wiadomo, że to specyficzni ludzie.

– No, no! – Zagwizdała głośno Maria, uderzając jednocześnie otwartą dłonią w stół. – Nieźle! Wszystkie ofiary były młodymi kobietami, około osiemnastu lat. Przy czym jedna z nich zmarła na skutek urazu głowy. Przyczyna śmierci dwóch pozostałych nie jest znana. Co więcej, margines błędu w określaniu czasu zgonu to dwa lata. A to dobre. – Niemal zacierała ręce, ciesząc się z uczestniczenia w tym śledztwie.

– Co masz na myśli? – przerwał jej Mirosław, który do tej pory nie wiedział, dlaczego policjantka została przydzielona do ich grupy dochodzeniowo-śledczej. Nie znał jej, a to oznaczało, że nie pracowała w ich komendzie. Będzie musiał poważnie porozmawiać z Olgą. Do tej pory myślał, że nie mają przed sobą tajemnic. Przynajmniej przy prowadzeniu śledztwa.

– No, jak to co? – Popatrzyła na nich jak na tępaków. Po czym przyszło jej do głowy, że może ją sprawdzają. Może chcą wiedzieć, co myśli, by utwierdzić się, że nadaje się do tej grupy. – To chyba oczywiste – zaczęła wyjaśnienia. – Jeżeli nie mamy pewności, że te kobiety zginęły razem i we trzy zostały zakopane w tym miejscu, to równie prawdopodobne jest, że trzydzieści lat temu na tym terenie działał seryjny morderca, który w określonym odstępie czasu, dajmy na to co rok, mordował dziewczynę odpowiadającą określonemu typowi i zakopywał ją tam, gdzie pozostała.

Olga zakłęła po cichu, bo do tej pory nie wzięła pod uwagę takiej możliwości. Z góry założyła, że te dziewczyny zginęły razem, ale przecież wcale nie musiało tak być...

– Masz rację – przyznała.

– Cholera! – wycedził przez zęby Mirek. – Jeżeli tak było, to teraz możemy mieć naśladowcę. A to oznacza, że będą kolejne morderstwa.

– Albo po trzydziestu latach ten sam zwyrodnialec postanowił zrobić to znowu – głośno myślała Olga. – Ale to i tak oznacza to samo.

– Tylko że Tomasz Rokoszyn nie pasuje do typu ofiar – wtrąciła trzeźwo Chmurzyńska.

– Kto? – Kuba nie miał pojęcia, o kim rozmawiają.

– Jestem wam winna wyjaśnienie. – Olga, potrzebując rozchodzić gromadzące się w niej emocje, zaczęła spacerować po sali. – Kornel, mój mąż, a jeszcze do niedawna nasz kolega z wydziału, uratował dwa dni temu kobietę, która przy wałach prowadzących z Sobieszowa do Cieplic próbowała powiesić się na drzewie. Na szczęście przeżyła i fizycznie jest w dobrym stanie. Psychicznie to niestety wrak człowieka. W chwili zdarzenia krzyczała, że chce umrzeć, by dołączyć do swojego syna. Dlatego Kornel myślał, że jej syn umarł, ale kiedy poszedł z wizytą do jej domu, okazało się, że młody Rokoszyn po prostu uciekł lub jak to określił jego ojciec, wyjechał do pracy za granicę, zostawiając list z wyjaśnieniami.

– Ile lat ma chłopak? – zapytał Mirek, drapiąc się po łysej, swędzącej głowie. Skóra zawsze go tam swędziała, kiedy intensywnie myślał.

– Szesnaście – odpowiedziała pośpiesznie Maria.

– Rodzice nie zgłosili jego zaginięcia sami. Zrobili to dopiero za namową Kornela. Do domu państwa Rokoszynów została oddelegowana aspirant Chmurzyńska w celu zebrania zeznań. Dlatego zależało mi na tym, żeby przyszła dziś do nas, a być może dołączyła też do naszego śledztwa, jeżeli okaże się, że te sprawy są powiązane – skończyła.

– A dlaczego miałyby być? – zdziwił się Kuba. – Mówiłaś, że okazało się, że chłopak wyjechał do pracy, tak?

– Po pierwsze dlatego, że mieszkał blisko miejsca, w którym znaleziono nasze zwłoki. Po drugie, chociaż nie jest młodą kobietą, to jednak jego wiek jest zbliżony do naszej ofiary. Po trzecie, coś mi tu śmierdzi. To mało prawdopodobne, żeby na tak małej powierzchni kwadratowej, w tak mocno okrojonym czasie działo się tyle złych rzeczy. Co gorsza, nie wiem, czy powinniśmy wierzyć w zeznania ojca – powiedziała w końcu to, co naprawdę myślała.

– Chodzi ci o to, że matka twierdziła, że on nie żyje? – Mirkowi też wydawało się to dziwne.

– Dokładnie tak. Jaka matka usiłuje się zabić, wymawiając takie słowa, jeżeli wie, że syn tylko uciekł z domu do pracy w Niemczech?

– Też mi się wydaje, że ona wie coś więcej – weszła w rozmowę Maria. – Myślę, że trzeba przesłuchać ją z dala od męża, ale nie wolno zastraszać. Kiedy byłam u nich, siedzieli razem na kanapie, a Patryk Rokoszyn niemal odpowiadał za panią Kalinę, jakby bał się, że powie coś, czego nie powinna.

– Też tak sądzę. Dlatego proponuję, żebyś razem z Mirkiem ściągnęła na komendę Patryka Rokoszyna i tutaj go przesłuchała, a ja z Kubą pójdziemy do ich domu porozmawiać z panią Kaliną.

– Dobra. Mam tu notatki z mojej dzisiejszej wizyty u nich. – Maria wyciągnęła z kieszeni pomietą kartkę, na której nabazgrała swoje spostrzeżenia. – Oczywiście zgłosiłam zaginięcie gdzie trzeba. Ale wiecie, jak to bywa z tymi nastolatkami. Nie on pierwszy ucieka z domu i takich spraw jest sporo. Większość uciekinierów sama wraca, jak poczuje głód.

– Oby tak było – Olga głośno wyraziła życzenie. – Oby Tomek Rokoszyn nie był następną ofiarą tego zabójcy. Ale musimy być czujni. Poza tym przyda nam się dodatkowa para rąk przy śledztwie. – Spojrzała na Marię Chmurzyńską. – Witamy w zespole.

Już wcześniej ustaliła z jej komendantem oddelegowanie pani aspirant do swojej grupy. Miała przeczucie, że te dwie sprawy się łączą. Jak tylko dowiedziała się od Kornela, kogo wysłali do przyjęcia zgłoszenia, od razu zadzwoniła do jej przełożonego. Zastanawiająco chętnie na to przystał. Jakby niemal ucieszył się na chwilę oddechu we własnym komisariacie. To jeszcze bardziej utwierdziło Olę w przekonaniu, że sprawa Tomasza trafiła we właściwe ręce. Maria słynęła z zaangażowania i ciętego języka, a to mogło się nie podobać wielu ceniącym spokój i hierarchię przełożonym. Podobno potrafiła bez ogródek wytknąć nieróbstwo i lenistwo nawet najwyżej postawionym. To pewnie dlatego w wieku około pięćdziesięciu lat była nadal aspirantem. Brak awansu jako karę za niesubordynację często stosowano w firmie.

– Oczywiście to wszystko, o czym teraz dyskutowaliśmy, to tylko nasza robocza hipoteza. Równie dobrze zabójstwo N.N., szkielety i zniknięcie Tomasza Rokoszyna mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego. Mówię to, bo nie chciałabym, aby nasze założenia przesłoniły trzeźwość umysłu. Na razie za mało zebraliśmy danych, by trzymać się jednego założenia. – Olga usiadła na swoim miejscu. – Mirrek, dowiedziałeś się czegoś dziś rano?

– Wrzuciłem zdjęcie i dane dziewczyny do systemu, ale w ostatnich dwóch tygodniach nie przyjęto w Jeleniej Górze żadnego zgłoszenia o zaginięciu, które odpowiadałoby jej opisowi.

– No, nic dziwnego – skwitowała Chmurzyńska z kwaśną miną. – Jak widać, tutaj nawet szesnastolatków nie zgłaszają, a co dopiero dorosłe kobiety.

– Na razie nie wiemy, czy była dorosła – sprostował. – Całkiem możliwe, że też miała szesnaście lat, tylko wyglądała na więcej. – Rozłożył bezradnie ręce. – Znalazłem dwa zgłoszenia ucieczki dziewczyn powyżej piętnastego roku życia w powiecie, ale rysopis nie odpowiada.

– Poszerzysz obszar poszukiwań? – spytał Kuba, spoglądając wyczekująco na kolebę.

– Tak, już to zleciłem. Sprawdzamy teraz zgłoszenia z całego województwa. Przesłałem też jej dane do komend w Czechach w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od nas. Mieszkamy blisko granicy i nigdzie nie jest powiedziane, że dziewczyna była Polką. To trochę potrwa. Myślę, że porównując informacje z tylu miejsc, zejdzie nam z dwadzieścia cztery godziny. O ile w ogóle ktoś ją zgłosił jako zaginioną. W najgorszym dla nas scenariuszu kobieta to cudzoziemka, pełnoletnia i mieszkała sama. W takim wypadku mogą minąć długie tygodnie, nim odkryjemy jej personalia. Niestety nie miała żadnych znaków szczególnych typu niestandardowy tatuaż czy złoty ząb. Ale nie traćmy nadziei.

– To trochę jak szukanie igły w stogu siana. A i tak może się okazać, że dziewczyna przyjechała do chłopaka prosto z Trójmiasta, i nic nie znajdziemy – postraszył Kuba. – Skoro przy zwłokach nie znaleziono telefonu ani żadnego elektronicznego sprzętu, jakie jest moje zadanie?

– Sprawdzisz logowania komórki Tomasza Rokoszyna. Ponoć zabrał ją ze sobą. Jeżeli faktycznie wyjechał do pracy, nie powinien mieć powodu, by jej nie używać. – Przekazała mu kartkę zapisaną przez Marię, upewniając się wcześniej, że jest na niej numer telefonu uciekiniera. – Żaneta – zwróciła się do asystentki, która dziś siedziała zupełnie cicho, kompletnie nie biorąc udziału w omawianiu spraw. – Zadbaj o nakazy. Myślę, że rodzice dobrowolnie zgodzą się na przeszukanie pokoju syna, ale wolę mieć nakaz na zabranie sprzętu elektronicznego. Maria, zadzwoń, proszę, jutro koło dziewiątej do Patryka Rokoszyna, do pracy. Zaproponuj, że zabierzesz go na komendę w celu spisania zeznania i odwieziesz z powrotem. Przyciśnij go, ale tak, żeby nie mógł nam niczego zarzucić.

– Jasne – przytaknęła policjantka.

– Gdybyś w międzyczasie dowiedziała się czegoś o zaginionym, dzwoń o każdej porze. To samo Mirek. – Spojrzała na kolebę. Skinął tylko głową.

– Kuba, jutro spotykamy się o dziewiątej przed domem Rokoszynów. Adres masz w notatce. Bądź punktualnie, nie chcę, żeby mąż zadzwonił do niej wystra-

szony telefonem Marii i zakazał jej nas wpuszczać. Zastanawiam się, czy nie podać terenu bursy nocnej obserwacji, co myślicie?

– Spodziewasz się kolejnego ciała – bardziej oznajmił, niż zapytał Mirek.

– Jeżeli to seryjny, a to miejsce jest dla niego ważne, wołałabym nie obudzić się jutro z ręką w nocniku.

– Można wysłać patrol raz na godzinę, ale raczej nikt teraz nie przyklepie całonocnego siedzenia w chaszczach – zawyrokowała Chmurzyńska. – Zbyt mało mamy dowodów świadczących o seryjnym. Właściwie wcale nie mamy.

– Racja – zgodziła się Olga, zamykając teczkę z dokumentami. – Zadzwoń do chłopaków z najbliższego komisariatu i poproszę o nocny patrol. Jutro powinniśmy dostać całociowy raport z sekcji, a jak dopisze nam szczęście, to i raport techników. – I pamiętajcie, że oficjalnie nie prowadzimy sprawy szkieletów, choć Mirek przegląda archiwa sprzed trzydziestu lat pod kątem zaginięć naszych trzech dziewczyn. Jutro o jedenastej spotykamy się grupą z prokuratorem Kowalikiem, więc się nie wysypcie. Chyba że oficjalnie otworzy śledztwo w tej sprawie i da nam zielone światło.

– Musiałoby mu bardzo zależeć – stwierdziła bez pardonu aspirant Chmurzyńska.

– Co masz na myśli? – Olga spojrzała na nią z ukosa.

– Robert potrafi być zawziętym skurwysynem, gdy na czymś mu zależy. Ale w innych wypadkach... – Machnęła tylko ręką.

Olga zanotowała w pamięci, by w bardziej sprzyjających okolicznościach zapytać nową koleżankę o jej relacje z prokuratorem. Intuicja podpowiadała jej, że może go znać dużo lepiej od niej. Właściwie są chyba w przybliżonym wieku, a Jelenia Góra to bardzo małe miasto.

– Skoro mamy podejrzenia o seryjnego, może dobrze, gdyby Katarzyna Sarnecka do nas dołączyła? – zasugerował Mirek.

– Tak, byłoby dobrze – odpowiedziała. – Zobaczę, co da się zrobić. Na razie pomaga nam z nieletnim, autystycznym świadkiem. Na pewno wpadnie, gdy się czegoś dowie. Żaneta, przygotuj jej komplet dokumentów, proszę, i wyślij mailem.

– Oczywiście.

Już z podwórka czuła aromatyczny zapach pieczeni dochodzący z uchylonego kuchennego okna. Uśmiechnęła się do siebie, czując na sercu błogie ciepło. Ona! Kobieta, która jeszcze dwa lata temu zarzekała się, że nie potrzebuje rodziny, męża ani domu z ogródkiem. Która nie dopuszczała do siebie nikogo emocjonalnie, a od mężczyzn wymagała tylko dobrej zabawy. Pokręciła z niedowierzaniem głową, myśląc, jak wiele może się zmienić w życiu w tak krótkim czasie. Może dla każdego przychodzi kiedyś ten moment, kiedy nie chce już być sam. Może to jest właśnie dojrzałość? Ten czas, kiedy wpuszczamy do swojego życia drugiego człowieka, kiedy stajemy się za niego odpowiedzialni i troszczymy się o niego równie mocno jak o siebie? Ale jeżeli tak, to w jej przypadku dojrzałość nie przyszła razem z Kornelem. Przyszła razem z dzieckiem. To w chwili, kiedy dowiedziała się o ciąży, postanowiła, że od teraz nie ona jest w życiu najważniejsza.

– Hej, mała... – Jego ciepły głos był o sekundę szybszy niż czuły dotyk, kiedy pochylając się nad nią w przedpokoju, pocałował ją w usta.

– Cześć, mężu – powiedziała z dumą, poklepując go po pośladkach. – No, jak tam, obiad gotowy? – Postawiła ciała parodiowała typ macho wracającego do domu po ciężkiej pracy i wymagającego natychmiastowej obsługi.

– No, no... myślę, że nawet gdybyś zmieniła płeć, byłabyś całkiem przyznojna! – Kornel zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.

– Fuuuj! – krzyknęła Ola, która właśnie zbiegła po schodach i zobaczyła, jak się całują. – No, błagam! – Zakryła oczy rękoma.

– No już, już – uspokoiła ją Olga, a Kornel, udając goryla, rzucił się na córkę i zaczął ją gilgotać po brzuchu.

– Ładnie to tak podglądać dorosłych? Ładnie? – Dziewczynka śmiała przy tym wniebogłosy.

– Zuzia śpi? – zapytała Olga, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– Tak – odpowiedziała pasierbica, kiedy udało jej się wydostać z uścisku ojca. – I to nawet w swoim pokoju – oznajmiła, po czym dodała z dumą: – I to ja ją tam uspiłam!

– Oho! Chyba ktoś tu będzie siostrą roku – doceniła Olga. – Leć umyć łapki, moja bohaterko, za pięć minut obiad.

Przez następne trzy godziny Olga i Kornel starali się nie poruszać tematów związanych ze śledztwem. Kiedy kilka miesięcy temu Ola zaczęła z nimi mieszkać, ustalili, że w domu mogą rozmawiać o pracy, dopiero kiedy dziewczynka za-

śnie. Nie chcieli, żeby dolatywały do niej choćby strzępki wiadomości o brutalnych i krwawych poczynaniach przestępców. Ani nawet o zasadach funkcjonowania policji czy prokuratury. Niech jak najdłużej myśli, że świat jest piękny i pełen dobrych ludzi. Ma jeszcze czas na poznanie prawdziwej rzeczywistości. Z zadowoleniem stwierdzili też, że również im przerwa oddzielająca życie prywatne od zawodowego robi dobrze. Do tej pory żyli prowadzonym śledztwem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet nie wiedzieli, że można inaczej. Okazało się, że przy odrobinie dyscypliny nie jest to takie trudne.

Ale jak to mówią, natury nie oszukasz. Dlatego kiedy tylko nieletni członkowie rodziny pograżyli się we śnie, Olga obgadała z mężem wszystko, co dziś ustaliła z zespołem. Mimo to nie poczuła ulgi. Coś ciągle męczyło ją i nie pozwalało zasnąć. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Co rusz było jej za gorąco albo za zimno. W pewnym momencie chciała obudzić Kornela i zaproponować mu jakiś wspólny seans filmowy czy coś w tym stylu. Nie wybiła jeszcze północ i nieraz o tej porze oglądali filmy lub grali w planszówki dla dorosłych. Ale kiedy zobaczyła, jak pograżony we śnie mamrocze coś pod nosem, zdała sobie sprawę, że dzień z dziećmi musiał go wykończyć, i nie miała sumienia pozbawiać go odpoczynku.

Nagle usłyszała jakiś hałas na podwórku. Coś jakby przewracanie kosza na śmieci. Usiadła na łóżku wystraszona i nasłuchiwała. Zaczęła się zastanawiać, czy Kornel zamknął drzwi na klucz, kiedy wrócił z Nabojem z wieczornego spaceru. Odwinęła kołdrę i podeszła do okna, chowając się za zasłoną. Odsunęła ją nieco i wyjrzała, ale nikogo nie zauważyła. Kosz faktycznie leżał przewrócony na jezdni. Pomyślała, że to sprawka lisa lub dzika. Sąsiedzi radzili im, żeby jakoś zabezpieczyć śmietniki, bo o tej porze roku często podchodzą pod dom leśne zwierzęta. Nie posłuchała. Kiedy zostawała sama z dziećmi, jakoś nie miała czasu ogarniać tak przyziemnych spraw. Musi to zlecić Kornelowi, skoro chwilowo nie pracuje.

Zerknęła w stronę łóżka. Jej mąż nic sobie nie robił z nocnych hałasów i dalej chrapał w najlepsze. Jednak Olga teraz zupełnie straciła szansę na sen. Wyszła z sypialni i zeszła na parter, do salonu z otwartą kuchnią. Zapaliła światło i pstryknęła włącznik czajnika bezprzewodowego. Napije się gorącej herbaty z sokiem malinowym i cytryną. Zaciągnęła poły szlafroka, czując, że na dole jest nieco chłodniej niż na piętrze. Kiedy nalewała wrzątku do kubka, Nabój leniwie podniósł łeb i spojrzał na swoją panią ze zdziwieniem.

– No, co mam zrobić, jak spać nie mogę? – zapytała go, pozbawiona innego rozmówcy.

Pies popatrzył na nią z politowaniem, po czym zrzucając śpiącą na jego boku Lufę, wstał z posłania i podszedł do Olgi. Kocica okazała niezadowolenie, odfukując i odwracając się tyłem do nich.

– No, chodź, mój piesku, chodź. – Wzięła go w objęcia i pogłaskała po głowie. – Tylko ty w tym domu jesteś w stanie poświęcić swój komfort snu, żeby mi towarzyszyć, tak? – zapytała chyba zbyt energicznie, bo Nabój jakby nagle ożył.

Zamerdał i pobiegł do przedpokoju. Kiedy wrócił, trzymał w pysku smycz, dając znać swojej pani, że chętnie potowarzyszy jej w bezsenności podczas nocnego spaceru.

– No i masz babo placek – powiedziała do siebie, spoglądając to na czworonoga, to na parującą w jej kubku herbatę. – A możemy, jak wypiję?

Pies usiadł posłusznie na znak, że poczeka, ale smyczy nie odłożył. Spoglądał na Olgę wyczekiwaniu, jakby potrafił liczyć upijane przez nią łyki i nie mógł się doczekać ostatniego.

– No dobra – oznajmiła, kończąc pić. – Tylko zarzucę jakąś długą kurtkę, żeby nie zmarzła, gdy mnie będziesz przeczołgiwał przez okoliczne pola.

Napisała Kornelowi na kartce, że wychodzi z psem na spacer. Nie chciała go budzić, ale wolała, żeby miał jakąś informację, gdyby się obudził i zaczął jej szukać.

Noc nie była zimna. Olga zdziwiła się, kiedy idąc w kierunku, w którym ciągnął ją Nabój, na twarzy poczuła ciepłe, lepkie powietrze. Październik w tym roku zdawał się wyjątkowo łaskawy. Drzewa szumiały w podmuchach wiatru. Olga spojrzała w górę i z nostalgią stwierdziła, że ponad połowa liści opadła już na ziemię. Niedługo znów przyjdzie zima. Czas leciał zdecydowanie za szybko. Przez chwilę postąpiła w zamyśleniu. Jednak mocne szarpnięcie wyrwało ją z tego stanu. Nabój szczechnął i pogonił jak szalony. Nie dała rady go utrzymać.

– Nabój! – starała się krzyzczeć tak, żeby nie pobudzić sąsiadów, ściszym, choć stanowczym głosem. Rozejrzała się dookoła i ze zdziwieniem odkryła, że po lewej stronie drogi nie ma żadnych domów, a po prawej wyrósł przed nią bordowy budynek należący do Mileny Rogalskiej. Poczuła na plecach zimny dreszcz. Jak to się stało, że znalazła się akurat blisko bursy szkolnej?

– Nabój! – krzyknęła jeszcze raz. Szczekanie psa dobiegło ją z oddali i zrozumiała, że nie ma sensu dalej wołać. Zapewne wyczuł jakąś sarnę i jego zwierzęca natura zagórowała nad posłuszeństwem człowiekowi. Zniknął w gęstwinie porastającej teren starego basenu.

Wokoło panowały egipskie ciemności. Nawet jeżeli na niebie świecił księżyc, to w tym momencie całkowicie zakrywały go chmury. Powiewy wiatru stały się

silniejsze, a liście zaszeleściły głośniej. Wyciągnęła telefon i włączyła latarkę. Poświeciła po zaroślach przed sobą. Zastanowiła się, czy nie przejść przez płot na teren bursy. Ewidentnie coś ciągnęło ją w tamtym kierunku. Może kiedy stanie w miejscu, gdzie znaleziono dziewczynę, coś istotnego przyjdzie jej do głowy? Aparat zasygnalizował rozładowującą się baterię. Cholera, zakłęta w myślach. Pamiętała, że teren był raczej płaski, ale usiany licznymi głębokimi studzienkami. Zawczasu wyszukała długi, gruby kij, który posłuży jej do sprawdzania podłoża, kiedy komórka całkiem się rozładuje.

– Nabój! – zawołała owczarka, słysząc gdzieś blisko jego powarkiwanie.

Kiedy odnalazła powalone przez drzewo przęsło, rozgraniczające tereny staro basenu i dawnej bursy, przeszła na drugą stronę.

– Nabój! – obróciła się i przywołała go ponownie. Jednak pies się nie pojawił.

Spojrzała w bok, w kierunku najbliższego domu. Czy z pokoiów na piętrze było widać, co działo się w parku? Lekka poświata ciepłego światła sączyła się przez szybę. To pewnie sypialnia, uznała. Ona też zostawia Zuzi małą lampkę w kształcie motylka włożoną do gniazdka. Nagle stanęła jak wryta. Zamarła, bo dostrzegła w oknie obserwującą ją postać. Poczowała przyspieszający puls na skroni i nagły ucisk w żołądku. Zrobiło jej się gorąco. Strach? Powtarzała sobie w myślach, że nie ma się czego bać. Nawet jeżeli ktoś przygląda się jej z okna, to przecież nic takiego. Starła się wyostrzyć wzrok, ale gałęzie i panująca wokół ciemność nie ułatwiały jej zidentyfikowania postaci. Tym bardziej że w pokoju światło nagle zgasło. Szła dalej, starając się uspokoić nerwy. Czy dobrze robi, spacerując tu sama? Gdzie jest Nabój? Może powinni po prostu wrócić do domu? Nagle zobaczyła w oddali przesuwaną się czarną plamę. Po raz drugi tej nocy zastygła w bezruchu, zastanawiając się, czy to człowiek, zwierzę czy tylko wytwór jej wybujałej wyobraźni. Skierowała wąty snop światła w tamtym kierunku.

– Halo? Jest tam kto? – zawołała.

Przez chwilę zdawało jej się, że wokoło zapanowała grobowa cisza. Nawet liście przestały spadać z drzew. Nikogo nie było. Wypuściła z ulgą wstrzymywane w płucach powietrze. Wyobraźnia płatała jej figle. Zaczęła pomału przybliżać się do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, i wtedy się zmaterializował. Ubrany na czarno mężczyzna poderwał się i zaczął uciekać.

– Stój, policja! – Niewiele myśląc, rzuciła się za nim w pogoń. Był szybki, ale nie tak szybki jak ona. I przez chwilę wydawało jej się, że będzie w stanie go złapać. Poczowała, jak podnosi się jej poziom adrenaliny, ciepło ogarnia cały organizm, a oddech się rwie. Miękkie i śliskie liście pod stopami utrudniały bieg, ale przecież uciekinier biegł po tym samym podłożu.

– Stój, bo strzelam! – krzyknęła, choć zdawała sobie sprawę, że nie wzięła ze sobą broni. Miała po prostu nadzieję, że to go wystraszy i postanowi się zatrzymać. Nic z tego. Nagle Olga poczuła, że od strony jej pleców coś przelatuje z dużą prędkością. Dopiero po chwili jej mózg rozpoznał owczarka. Pies wyprzedził ją bez problemu i rzucił się na uciekającego mężczyznę. Powalił go tak nieszczęśliwie, że ten, upadając, musiał chyba uderzyć się o drzewo, bo Olga usłyszała tępy odgłos. Drab krzyknął z bólu i w tym samym momencie Olga poczuła, jak sama upada. Nieszczęśliwie trafiła nogą na pustkę nad odsłoniętą studzienką. I też krzyknęła, bardziej ze strachu i dezorientacji niż z bólu. Choć i ból dotarł do niej po chwili. Silny, ostry i nieustępujący.

– Kurwa mać! – zaklęła, uświadamiając sobie beznadziejność sytuacji. Wiedziała, że to opóźni ją w dotarciu do mężczyzny. Zanim była w stanie sprawdzić, czy nie złamała nogi, i wydostać się z betonowego wgłębienia, pies znalazł się przy niej i ciągnął ją zębami za kurtkę. Niestety, jego chwilowe odejście od leżącego człowieka wystarczyło, by ten zniknął.

Katarzyna Sarnecka czuła, że jest coraz bliżej porozumienia się z małym Jankiem. Wydawało jej się nawet, że pomimo nieufności i trzymania dystansu wobec obcych ją zaakceptował z zupełną łatwością. Oczywiście miała na to swoje triki, jak choćby upodobnienie się wizualnie do mamy chłopca, czyli osoby, którą kochał i której ufał bezgranicznie. Dlatego Sarnecka przychodziła do niego bez makijażu, w dżinsach i białej koszulce. Dokładnie tak, jak chodziła po domu Agnieszka Pilczycka. Nawet włosy zamiast upiąć w luźny kok, związała w koński ogon. Nie wiedziała, czy uda jej się wyciągnąć z chłopca konkretne, przydatne dla śledztwa informacje, ponieważ moment znalezienia zamordowanej był dla niego sporym przeżyciem – Jaś miał typowe objawy stresu pourazowego. Moczył się w nocy, krzyczał, stawał w miejscu, kiedy na spacerze zbliżali się do terenu bursy, oraz wyrzucił ze swojego pokoju wszystkie książki z obrazkami przedstawiającymi las lub gęsty park. Aby dowiedzieć się, czy tylko o zwłoki chodziło czy może chłopczyk widział coś więcej, będzie musiała skonfrontować go z jego lękami. Jeżeli zrobi to w odpowiedni, możliwy do akceptacji przez niego sposób, to pomoże mu również uporać się z tą traumą.

– Jasiu, poczytamy razem? – zapytała, siadając obok niego na miękkim, puchatym dywanie. – Popatrz, przyniosłam ci prezent. – Podała chłopcu książkę przedstawiającą wszystkie rodzaje zawodów i ich cechy. Myślała, że ten temat go zrelaksuje i jej wizyty nie będą mu się kojarzyły tylko z przerażającym sobotnim wydarzeniem. W niedzielę poświęciła pracy z nim około pięciu godzin. Tyle samo w poniedziałek. Nie wiedziała, ile zjedzie jej dzisiaj, ale najważniejsze, że chłopiec przyzwyczaił się już do jej obecności i czuł się przy niej swobodnie. Zanim w formie zabawy czy malowania obrazków postanowi wrócić w rozmowach do tamtego dnia, musi go rozluźnić, wyciszyć emocje.

Chłopczyk z ciekawością chwycił podarek i zachłannie przewracał kartki. Z powodu zbyt dużego napięcia mięśniowego szło mu dosyć niezgrabnie, ale w ogóle się tym nie przejmował. To, że nie mówił, nie znaczyło, że nie słyszał. Słyszał i rozumiał wszystko doskonale. Zdawało jej się, że jak na swój wiek jest wyjątkowo bystrym dzieckiem.

– O, popatrz. – Pani psycholog pokazała palcem jedną postać. – Piekarz piecze chleb i bułki – czytała. – Zaczyna pracę w nocy, aby wcześniej rano pieczywo było gotowe i jeszcze ciepłe i pachnące mogło być rozwieszane po okolicznych sklepach.

Jaś uśmiechnął się radośnie, pokiwał w przód i w tył parę razy i poklepał po brzuszku.

– Tak, ja też bardzo lubię pieczywo. – Uśmiechnęła się do niego. – Dziś na śniadanie jadłam pyszną bułkę – pochwaliła się.

W tym samym momencie usłyszała ciche pikanie telefonu. Spojrzała na wyświetlacz. Olga wysłała esemesa z pytaniem, jak idzie. Jaś z werwą przerzucił kolejną kartkę, dlatego pozwoliła sobie na zostawienie go z lekturą. Podeszła do okna i wystukała odpowiedź. Przez moment wymieniały się wiadomościami, ale niespodziewanie tę chwilę przerwał głośny krzyk. Przejmujący, złowieszczy i przerywany tylko łapaniem oddechu. Sarnecka wypuściła z rąk telefon i z przerażeniem spojrzała na Jasia. Podbiegła do niego, zastanawiając się, co mogło spowodować tak nagłą zmianę zachowania. Chłopiec, nie przerywając krzyku, kiwał się, klęcząc. Rękoma obejmował twarz, jakby nie chciał na coś patrzeć, jakby ten widok sprawiał mu ból i śmiertelnie go przerażał. Katarzyna rozejrzała się dookoła. Na ziemi obok leżała otwarta książka. Przyjrzała się uważniej obrazkowi przedstawiającemu kolejny zawód. To ten rysunek musiał Jasia przestraszyć. Przełknęła ślinę i poczuła przechodzący po ciele lodowaty dreszcz. Pewne elementy zaczęły jej się spinać... Ale czy to możliwe, żeby... Cholera! Jak tylko uspokoi małego, będzie musiała natychmiast zadzwonić do Olgi.

Jakub Zdanowicz zaparkował auto na jednym z miniparkingów utworzonych zapewne dla gości odwiedzających tu zamieszkałych. Parkowanie bezpośrednie przy budynkach nie było możliwe z uwagi na pas zieleni oddzielający drogę od chodnika. Dlatego takie rozwiązanie wydawało mu się całkiem łębskim pomysłem. W końcu dzielnica w Jeleniej, gdzie jakiś urzędnik nie tylko wziął wypłatę, ale i pomyślał o dobrych rozwiązaniach dla ludności. Chociaż Jakub nie mógł zakładać w stu procentach, że inicjatywa nie wyszła od samych mieszkańców. Dom Rokoszynów mieścił się mniej więcej dwadzieścia metrów na lewo od miejsca jego postoj. Informatyk wolał poczekać na Olgę w aucie, zamiast podchodzić pod budynek. Bał się, że Kalina Rokoszyn o kręcącym się pod oknami mężczyźnie powiadomi męża, a ten po telefonicznej rozmowie z aspirant Chmurzyńską zbyt szybko skojarzy fakty.

Jego przełożona się spóźniała. Ale już do tego przywykł. Nie do spóźnień samej Olgi, ale wszystkich kobiet, z jakimi miał kiedykolwiek styczność. One po prostu takie są. Zeszłej zimy czekał na dwudziestostopniowym mrozie na jedną pannę. Myślał, że szef przytrzymał ją dłużej w pracy, a ona po prostu przez trzydzieści minut malowała się w służbowej łazience. „Skarbie, przecież ja to robiłam dla ciebie”, powiedziała potem niewinnym głosem, patrząc na niego tymi kuszącymi, sarnimi oczami. Całe szczęście, że wziął wtedy rękawiczki i czapkę, wszystkie członki odmarzyłoby mu na tym mrozie. Dosłownie, wszystkie! A miałyby to opłakane skutki, zważywszy na to, jak dalej potoczyła się tamta noc. Do dziś wspomina seksowne, drapieżne ruchy dziewczyny, gdy się kochali. Brzoskwiniowy zapach skóry, jej gorący oddech na swojej twarzy... Pukanie w okno wybiło go z rozmarzenia.

– Co się tak szczerzysz jak szczerbaty do suchara? – Usłyszał pytanie Olgi, gdy opuścił szybę.

– A, takie tam... wspomnienia – wyjaśnił i wyszedł z auta. – Ty bez samochodu?

– Mieszkam w okolicy – wyjaśniła. – Kiedy stąd wyjdziemy, pojedziemy na komendę. Na dwunastą przyjeżdża Sarnecka, ponoć ma dla nas istotne informacje. No, dawaj, dawaj – ponaglała go, przyśpieszając kroku.

– Ej, to nie ja się spóźniłem – wytknął jej żartobliwie.

– Żadna zasługa, jak do roboty ma się tylko myślenie o panienkach – odgryzła się, puszczając do niego oko. – Chmurzyńska jedzie już na komendę z ojcem

chłopaka. A Mirek wziął pół dnia wolnego. Jakieś pilne sprawy, ale na dwunastą powinien zdążyć.

Weszli po schodach i stanęli przed drzwiami. Kuba przycisnął dzwonek, ale nikt im nie otworzył.

– Może jej nie ma? – zwrócił się w stronę Olgi. Ale ona zamiast odpowiedzieć, nacisnęła przycisk jeszcze raz i dodatkowo energicznie zapukała. Po dłuższej chwili usłyszeli kroki.

– Słucham? – Zniszczona rozpaczą twarz Kaliny Rokoszyń pojawiła się w szparze.

– Dzień dobry – zaczęła Olga. – Pani Kalino, nazywam się Olga Balicka i jestem komisarzem policji. – Specjalnie nie podała, jakiego wydziału. – A to mój kolega aspirant Jakub Zdanowicz. Wczoraj aspirant Maria Chmurzyńska przyjęła od państwa zgłoszenie o zaginięciu syna Tomasza. My właśnie w tej sprawie. Czy możemy wejść?

– Ale ja już wszystko powiedziałam. – Kobieta wydawała się spięta i ewidentnie rozważała, czy powinna ich wpuścić.

– Musimy przeszukać pokój Tomka – wyjaśnił Zdanowicz. – Rutynowa procedura. – Położył dłoń na otwartych drzwiach, dając do zrozumienia, że nie odpuszczi.

Pani domu bez słowa weszła do środka i wbiła wzrok w ścianę, na której wisiało zdjęcie całej rodziny. Oldze zdawało się, że ostatkami sił walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. Kiedy Jakub poszedł na górę do pokoju zaginionego, one usiadły na kanapie w salonie. Kalina Rokoszyń, choć była jeszcze młodą kobietą, z postury i spojrzenia przypominała teraz staruszkę. Zgarbiona, zmizerniała, ubrana w stare, poplamione dresy. Sprawiała wrażenie, jakby była na dużej dawce leków uspokajających, niemalże bez kontaktu z otoczeniem. W sumie to bardzo prawdopodobne, że łykała jakieś psychotropy.

– Pani Kalino... – zaczęła Olga, która z początku chciała być łagodna i taktowna, zachęcić do zwierzeń. Ale zorientowała się, że jednak musi zadziałać inaczej. – Podejrzewamy, że pani kłamie – wypaliła.

Gospodyni podniosła na nią wzrok, w którym, o dziwo, nie było przerażenia, a jedynie coś w rodzaju nadziei. Czy ona chciała, żeby odkryli jej sekret? Ale mimo tego wiele mówiącego spojrzenia Kalina Rokoszyń nadal milczała.

– Nie wiem, czy nie odzywa się pani z własnej woli, czy ktoś każe pani trzymać język za zębami. – Olga zrobiła celową przerwę, chcąc dać pole do wypowiedzi indagowanej, ale znowu zderzyła się z ciszą. I z tym dziwnym wyczekiwaniem w jej spojrzeniu. Wiedziała, że idzie dobrym tropem. Być może Kalina

Rokoszyn chciała, by prawda wyszła na jaw, ale nie mogła w tym czynnie uczestniczyć.

– Czy pani wie, gdzie znajduje się pani syn? – Pudło. Zero reakcji. – Czy boi się pani swojego męża? – Postanowiła pójść tą drogą. – Jeżeli tak, możemy pani zapewnić ochronę. – Ale znowu nie zauważyła nic, co potwierdzałoby tę teorię.

Westchnęła głośno, zastanawiając się, dlaczego matka zaginionego chłopaka milczy, choć ewidentnie jest w psychicznej rozsypce. Czego się boi? Starła się wyobrazić sobie siebie w takiej sytuacji. I jedyne, co przyszło jej na myśl, to strach przed tym, że gdyby powiedziała coś policji, jej córka by zginęła. Ale w takim wypadku musiałyby mieć kontakt z porywaczem. A może rodzice Tomka wiedzą, kto go uprowadził, i milczą dla jego dobra? Może porywacz wystosował do nich żądanie okupu lub chce skłonić ich do konkretnych działań? Nie bez powodu nie zgłosili sprawy policji, a kiedy już zmuszono ich do tego, nadal milczą lub idą w zaparte, wmawiając wszystkim, że chłopak wyjechał.

– Pani Kalino. – Położyła jej dłoń na kolanie i zauważyła, że kobieta drgnęła. – Naprawdę chcę pani pomóc. Też jestem matką – wyszeptwała.

– Mnie nie można już pomóc. Nie można! – Zaszlochała i skryła twarz w dłoniach.

– Dlaczego? – zdziwiła się Olga. – Czy pani wie, co się stało z Tomkiem? – spróbowała zapytać wprost.

– Tomek nie żyje.

— — —

W tym samym czasie na piętrze aspirant Jakub Zdanowicz przyglądał się pokojowi chłopca. Typowe pomieszczenie zajmowane przez nastolatka. Część ubrań rozrzucona po pokoju, przy łóżku walały się zużyte chusteczki higieniczne, a mata pod myszką przy komputerze zachlapana była czymś lepkiem, jakby coca-cola. Standardzik. On sam w tym wieku dokładnie tak samo dbał o swój pokój i tak samo mało chęci wykazywał, by sprzątać. Podszedł do łóżka, na którym kołtowała się czarna pościel. Zupełnie, jakby chłopak dopiero co wstał w pośpiechu i wcisnąwszy na siebie jakieś wczorajsze ubrania, zarzucił na ramię plecak i pobiegł do szkoły. Dotknął wgłębienia w materacu i poczuł, że jest ciepłe. Na chwilę go sparaliżowało, ale szybko zdał sobie sprawę, że to na pewno Kalina Rokoszyn leżała całymi dniami w łóżku syna, pragnąc poczuć jego obecność. Kiedy dzwonili, długo im nie otwierała, musiała być wtedy tutaj. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, ale nic nie wskazywało na możliwą bójkę czy napaść.

Podszedł do biurka, usiadł w gamingowym fotelu i pochwalił w duchu wybór chłopaka. Włączył znajdujący się przed nim komputer. Czekał, aż system się odpali, przeszukał szuflady biurka. Znalazł stary, rozładowany telefon i tablet z rozbitą szybą. Schował je do woreczka foliowego na dowody. Nie podejrzewał, żeby Tomek korzystał z nich regularnie, ale nastolatki lubią mieć swoje sekrety. Może o tych sprzętach rodzice nie mieli pojęcia, więc nie mogli ich sprawdzać. Czasem w takich zapasowych sprzętach kryje się całe życie ich użytkowników. To prawdziwe, a nie to przedstawiane rodzicom. Windows włączył się i na pulpicie zamrugały ikony. Skrupulatnie przeglądał jedną po drugiej. Chłopak ewidentnie interesował się motorami. Strzelanki ASG też sobie upodobał. Kuba zszedł niżej na ikonę komunikatora „Pocztuj”, ale dostęp do niego zabezpieczono hasłem. Będzie musiał zabrać cały sprzęt na komendę i na spokojnie sprawdzić. Przy ikonie poczty zamrugał znaczek nowej wiadomości. Otworzył ją. Mail od nauczyciela wysłany zbiorczo do wszystkich uczniów technikum. Zagadnienia do nauki na sprawdzian. Nacisnął na x i zaczął śledzić szybko pozostałe maile. Jego uwagę przykuła wiadomość od nadawcy o nazwie Twój Największy Wróg, otworzył ją, ale okazało się, że to tylko reklama żelu na pryszczę.

– No dalej – zachęcał samego siebie. – Przecież musi tu coś być.

Usłyszał kroki z klatki schodowej. Olga stanęła w progu z miną tak przybitą, jakiej jeszcze u niej nie widział.

– Masz coś?

– Jeszcze nie, młody miał tu kilka zabezpieczeń, musimy zabrać sprzęt do firmy.

– Standardowo – rzuciła tylko.

– Co z tobą?

– Nic. Nie mogę patrzeć na rozpacz tej kobiety. Na dodatek wciąż twierdzi, że chłopak nie żyje. Ale nie chce wydusić z siebie nic więcej. Ani prośbą, ani groźbą.

– Przecież wiesz, że większość zabójstw popełniają najbliżsi. – Odchylił się na fotelu. – Może widziała, jak jej mąż to robi?

– Nie wysuwajmy pochopnych wniosków, choć w tej sprawie ewidentnie coś śmierdzi – stwierdziła. – Cóż, odłączaj to ustrojstwo i się zbieramy.

– Czekał, została mi jeszcze jedna galeria, rzucę tylko okiem – powiedział, klikając już ikonkę. Po czym od razu zagwizdał przeciągle.

– Co jest? – Podeszła do niego zainteresowana. – Ożeż w mordę! – Otworzyła oczy ze zdziwienia. – Ile on ma lat? Szesnaście? – upewniła się.

– Ta... – odpowiedział Kuba, wpatrując się w zdjęcia, których nie spodziewał się znaleźć. – Dobra, zbieramy się.

Mirosław Zagórski czuł męczący go psychicznie dysonans. Z jednej strony był agnostykiem. Uważał bowiem, że nie ma możliwości udowodnienia istnienia lub nieistnienia Boga, Kościół zaś uważał za twór oderwany od rzeczywistości, mający na celu zniewolenie ludzi. Właściwie posądzał o to każdą religię. Dlatego zamiast chodzić na msze, wyznawał po prostu jasny i przejrzysty kodeks postępowania moralnego. Nie krzywdzić, nie zdradzać, być wiernym i oddanym partnerem. A przede wszystkim dobrym człowiekiem. To dawało mu poczucie, że jeżeli Bóg istnieje, to i tak będzie zadowolony z jego poczynań, a jeżeli nie, to on jako człowiek będzie żył w poczuciu godności i szacunku do samego siebie.

Z drugiej jednak strony Otylia, która nigdy nie wydawała mu się specjalnie religijna, prosiła go o ślub kościelny i ochrzcenie ich mającego się niedługo urodzić potomka. Przystał na to bez zastanowienia, uznając, że jest to dla niej bardzo ważne wydarzenie. W ciąży hormony robiły z nią, co chciały, i każde wydarzenie urastało do rangi podniosłego lub wręcz tragicznego. Wolał nie wdawać się z nią w filozoficzne dyskusje odnośnie do wiary, przewagi dobra czy zła na świecie ani innych bardzo chętnie ostatnio przez nią poruszanych kwestii, przerywanych jedynie często nękającymi ją konwulsjami. Przytakiwał po prostu, licząc na rychłe wypłaszczenie się jej emocji. Taką radę otrzymał od ojca i takie miał wzorce. Szczęście żony było ważne, jeżeli nie najważniejsze w małżeństwie.

Mimo to, kiedy przed chwilą usłyszał od proboszcza, że będą musieli chodzić na nauki przedmażeńskie, a także cykl szkoleń przed chrztem świętym, jak wychować dziecko w miłości do Boga, coś się w nim wzburzyło. Poczł wewnętrzny bunt. Powstrzymał się jednak przed wygłoszeniem własnego zdania na temat nauk o rodzinie dawanych przez mężczyzn, którzy tej rodziny nigdy nie mieli. A przynajmniej nie oficjalnie.

– No, przestań – zniecierpliwiła się Otylia i pociągnęła go za rękę. – Przecież się zgodziłeś. – Spojrzała na niego z wyrzutem.

Jej ciało, które przez ostatnie miesiące przed poczęciem poddawała intensywnej diecie i treningom, znów zaczynało przybierać i kiedy wykonywała jakiś gwałtowny ruch, fałdki na brzuchu lekko falowały. Ale to mu się właściwie podobało. Nie tylko dlatego, że pod warstwą ochronnego tłuszczu rosło jego wymarzone dziecko, ale dlatego, że ten widok przypominał mu dawną Otylię, w której się zakochał. Zresztą jego mama ciągle powtarzała, że kochanego ciała nigdy dość, ale narzeczona nie chciała jej słuchać. Katowała się tymi dietami, by zyskać, jak to mówiła, większą pewność siebie. Musiał przyznać, że faktycznie ją

zyskiwała. Oby jej nie straciła teraz, kiedy nie może już tak restrykcyjnie dbać o formę.

– I nadal się zgadzam, ale nie znaczy to, że mam zamiar wysłuchiwać o kalendarzykach miesięczkowych czy mierzeniu temperatury w pochwie swojej żony, kiedy będę chciał spółdzić potomka – próbował zażartować, choć ewidentnie nie trafił z tematyką.

– Jakbyś nie zauważył, jesteśmy w kościele – upomniała go i momentalnie do jej oczu napłynęły łzy.

– O mamusiu przenajświętsza... – Westchnął i przytulił ją do siebie. – Już dobrze, będę chodził, jeżeli jest to dla ciebie ważne. – Pogładził jej włosy. – Gdzie ten ksiądz poszedł? – Rozejrzał się dookoła, po czym zerknął na zegarek na przegubie ręki. Nie dano mu całego dnia na te głupoty. Na dwunastą musiał wrócić na komendę i zająć się pracą.

– Przepraszam najmocniej. – Usłyszeli wychodzącego z zakrystii kapłana. – Mam! – Uśmiechał się, trzymając zwisające koraliki w uniesionej, wyciągniętej do nich dłoni.

– Boże, on nas jeszcze na różaniec chce zapędzić – wyrwało się Mirkowi na głos, kiedy zdał sobie sprawę, że jest przecież październik, co w kościelnym kalendarzu oznaczało miesiąc różańca świętego. Nie wiedział, jak długo da jeszcze radę nie wygłaszać swojego zdania wprost do księdza, dlatego z uczuciem ulgi spostrzegł przychodzące połączenie od doktora Nowakowskiego. Pomimo swojej niechęci do tego człowieka, a raczej jego męskich, szowinistycznych poglądów, był mu wdzięczny za tak znakomite wycucie czasu.

– Najmocniej księdza przepraszam, muszę odebrać, to pilne – powiedział i chciał już wyjść z kościoła, ale Otylia złapała go za rękę. Postanowił więc się tylko odwrócić i porozmawiać w środku. – Hej, Staszek, co jest? – wymówił pytanie ściszym głosem. – Poważnie? Jesteś pewny, że chodzi o oliwę z oliwek? Aha... Okej... Na wewnętrznej stronie dłoni i na czole, tak. Halo... Staszek...?

Połączenie zostało przerwane i kiedy Mirek obrócił się do towarzyszy, mógł na spokojnie kontemplować niezadowoloną minę swojej przyszłej żony. Nic innego mu przecież nie zostało. Spokój, tylko to może go uratować...

Wtorkowe zebranie grupy dochodzeniowo-śledczej rozpoczęło się sporo po dwunastej. Olga wolała zebrać wszystkich o jednym czasie, żeby nie musieć potem powtarzać wniosków. Przy stole zasiedli ona z Kubą, Mirek, który zdążył w ostatniej chwili, ale ponoć z jakimiś newsami, Maria Chmurzyńska, wolna po przesłuchaniu Patryka Rokoszyna, i Żaneta. Nie uszło uwadze Olgi, że dziewczyna i tym razem wygląda na radosną i beztroską. W małej konferencyjnej zrobiło się gwarno i głośno, kiedy wszyscy, czekając na ostatnią mającą się pojawić Katarzynę Sarnecką, zaczęli przekonywać się, kto powinien zacząć. Jedynie prokurator Kowalik dał znać, że ma pilne sprawy w sądzie, dlatego dziś się z nimi nie spotka.

– No, z takim zaangażowaniem to sprawa będzie do jutra rozwiązana – zażartowała Olga, patrząc z dumą na członków swojego zespołu. Każdy z nich zdobył ważne dla śledztwa informacje, które chciał jak najszybciej przekazać pozostałym. Tylko Kuba siedział wpatrzony w ekran laptopa i jedynie zdawkowo odpowiadał. Olga zauważyła, że Żaneta przystanęła przy nim dłużej, podając kawę, i zapytała nawet, czy nie jest głodny. O, nie, dziewczyno! Nie rób tego!, przeleciało Oldze przez myśl. Kuba to dobry młody policjant. Jest zaangażowany w robotę i bystry, ale ona wiedziała, że niezły z niego babiarz. Miała nadzieję, że jej asystentka nie zakocha się bez wzajemności w kimś takim. Była zdecydowanie zbyt krucha i wrażliwa, żeby przetrwać jego zamiłowanie do wszystkich kobiet świata. A nie..., poprawiła się. Nie do wszystkich, tylko do tych młodych, ładnych i chętnych. Z żalem musiała przyznać, że Żaneta zaliczała się do nich.

– Przepraszam za spóźnienie. – Katarzyna Sarnecka weszła do małej konferencyjnej, roztaczając zapach drogich perfum. Jej usta lśniły czerwono, a sylwetka elegancko prezentowała się w żakiecie i obcisłych bryczesach. Zajęła miejsce przy stole i spojrzała po kolei na każdego, posyłając przyjazny uśmiech.

Nie było jej łatwo tu wrócić. Zastanawiała się nawet, czy powinna. Czy dołączając do grupy dochodzeniowo-śledczej, nie naraża się na kolejne niebezpieczeństwo i w końcu czy ta sprawa nie wciągnie jej tak mocno, że nie będzie chciała odchodzić z policji. Tego chyba bała się najbardziej. Pogodziła się już ze swoim odejściem, postawiła na spokojniejszą, wygodniejszą i lepiej płatną pracę w prywatnym gabinecie lub komercyjnej klinice, a może nawet w korporacji. A jednak coś ciągnęło ją tutaj i choć z początku starała się jedynie pomóc Oldze z autystycznym świadkiem, to teraz czuła przyjemny dreszcz. Za chwilę przekaze im informację, która może skierować śledztwo na właściwe tory. Zanim przysła

na spotkanie, pojechała jednak do domu. Nie chciała pozwolić sobie na bycie naturalną, taką, jaką musiała być przy Jasiu. Do pracy wkładała zawsze tę samą maskę. Dbła o swój wizerunek kobiety eleganckiej, niemal dostojnej, z perfekcyjnym makijażem i nienaganną prezencją. Myślała, że pozostając bardziej niedostępna, zapewni sobie większe bezpieczeństwo. W pamięci jednak wciąż przewijała te sceny, kiedy w zeszłe lato Arkadiusz Niedzielski uprowadził ją prosto sprzed komendy, a potem bez żadnych skrupułów odciął jej mały palec u ręki, by wysłać go jako ostrzeżenie jej ukochanemu. Zaciśnęła mocno powieki. Nie będę o tym myślała, to już przeszłość, tłumaczyła sobie po wielokroć.

– Witajcie, mam dziś dla was prawdziwą rewelację – wyznała i naraz wszystkie jej obawy się rozpierzchły... – Wydaje mi się, że mały Jan Pilczycki widział przy zwłokach mordercę. – Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w jej kierunku, a w pomieszczeniu nastała cisza.

– No, mów – ponagliła ją Olga. – Co udało ci się ustalić?

– Spotykałam się z chłopcem przez trzy dni. Zdobywałam jego zaufanie i sympatię. To bystry, dobry chłopak, niestety przez autyzm żyjący jedynie w swoim świecie, do którego trudno dotrzeć.

– Ale tobie się udało? I to w trzy dni? – wypaliła aspirant Chmurzyńska, nie zdając sobie sprawy, że zabrzmiało to sarkastycznie. Znała Sarnecką z corocznych wizyt, na które została skazana przez swojego komendanta dziesięć lat temu, kiedy podczas strzelaniny w parku postrzeliła śmiertelnie podejrzanego o zabójstwo. Nie to, żeby uważała ją za złego specjalistę i nieodpowiednią osobę na tym stanowisku, ale sam fakt, że jakaś obca baba, która nigdy nie uczestniczyła w pościgach, strzelaninie czy chociażby bijatyce na stadionie podczas meczu piłki nożnej, będzie oceniać jej zachowanie, uznała po prostu za chore. Co ta kobieta wiedziała o czynnej służbie czy narażaniu własnego życia? Nic!

– Mam nadzieję, że tak – przyznała pani psycholog i ze spokojem spojrzała w oczy swej polemistce – ale ten chłopiec nigdy nie potwierdzi tego słowami. To są tylko wnioski wyciągnięte z obserwacji jego zachowania. – Sarnecka nigdy nie dawała się sprowokować głupimi tekstami. Zdawała sobie sprawę, że większość policjantów tak samo nie zna się na psychologii klinicznej, jak ona na czynnościach operacyjnych.

– I co wyciągnęłaś z tych obserwacji? – Kuba zwrócił się w jej kierunku, posyłając delikatny uśmiech.

No, na Boga!, Olga przewróciła oczami. Zawsze uważała, że to dobrze, by w grupie znajdowała się podobna liczba kobiet i mężczyzn, ale teraz błagała

Opatrzność, by uchroniła ich przed miłosnymi dramami. Mirek zaśmiał się pod nosem i szturchnął ją w ramię. Ewidentnie on też wyczuł w powietrzu feromony.

– Chłopczyk ma traumę pourazową. To, co zobaczył w parku, musiało nim wstrząsnąć. Próbowaliśmy pracować z nim w terenie, podczas spacerów, ale zdecydowanie odmawiał wyjścia w miejsca zadrzewione, dlatego uznałam, że musi to mieć związek z sobotnim porankiem. Rodzice twierdzą, że wcześniej uwielbiał chodzić po parkach. Bawiliśmy się w coś w rodzaju teatru – każdą wybraną emocję przedstawialiśmy mimiką i ruchami ciała. Dużo malowaliśmy i lepiliśmy z plasteliny. Te zwykłe zabawy mogą wbrew pozorom wiele powiedzieć o lękach i przeżyciach dziecka.

– Że niby ulepił z plasteliny postać mordercy? – dopytała Chmurzyńska bez pardonowo, choć tym razem z zaciekawieniem.

– Tak, podczas artystycznych prac często uwalniamy swoje emocje i trudne doświadczenia z przeszłości.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że chłopak faktycznie ulepił mordercę? – zainteresowała się Mirek.

– Nie – odparła – ale wiele mi o nim powiedział. Oczywiście nie słowami – dała. – Kiedy podałam mu książkę z obrazkami przedstawiającymi różne zawody, jeden przeraził go tak, że zaczął krzyczeć i odrzucił ją. Gdy po jakimś czasie dałam radę go uspokoić, pobiegł do gabinetu ojca, gdzie rodzice przechowywali jego wszystkie książki z leśnymi motywami, na które od soboty nie chciał w ogóle patrzeć, i przyniósł mi jedną. Otworzył na rysunku parku i położył obok tej postaci, która go przeraziła, i przeskakiwał palcem z jednej na drugą. A teraz najlepsze! – Wyprostowała się na krześle i spojrzała na zebranych z przejęciem. – Zgadnijcie, jakim zawodem parał się mężczyzna z obrazka...

Wokoło zapanowała cisza, choć pewnie każdy chciał strzelić jakiś ekscytujący, niespotykany zawód, skoro miało to być takim zaskoczeniem. Ale powstrzymywali się, nie widząc logicznych powiązań.

– Książdz – odpowiedział pewnie Mirek, widząc, że pozostali nie połączyli jeszcze kropek.

– Wow! – Katarzyna spojrzała na kolegę z uznaniem. – Skąd wiedziałeś?

– No, tak! To przecież oczywiste – wydedukowała Olga. – Ale kiedy na terenie bursy znaleźliśmy różaniec, nie wydawało nam się to takie proste i logiczne. Dlaczego więc teraz uważasz, że nie było to przypadkowe znalezisko? – zwróciła się w stronę Mirka.

– Bo ja też się czegoś dowiedziałem – oznajmił niemal z dumą, czym przyciągnął zainteresowanie zebranych. – Omawiałem sprawę ze Staszkiem Nowakow-

skim. Powiedział, że nie może się do ciebie dodzwonić, a za chwilę zaczyna kolejną trudną sekcję i nie będzie odbierał. Chciał jak najszybciej przekazać nam wyniki badań biologicznych substancji znalezionych na skórze denatki. Wiedział, że to cenna wskazówka.

– Pojechaliśmy z Kubą do Kaliny Rokoszyń i nie mogłam rozmawiać – przyznała, spoglądając na wyświetlacz i przesuwając palcem po nieodebranych połączeniach. Robert Kowalik, Elwira i Kornel. Do nich wszystkim oddzwoniła. Ale nieodebranego połączenia od Staszka, a raczej niecierpiącego kobiet w policji szowinisty, aparat nie odnotował. Powstrzymała się jednak przed poruszeniem tematu w grupie. Za bardzo żądna była nowych informacji, by zajmować się takim palantem. – Czego się dowiedział? – zapytała z wypiekami na policzkach.

– Na skórze dziewczyny zidentyfikowano maź składającą się głównie z oliwy z oliwek.

– Z czego? – Kuba szerzej otworzył oczy. – Niby czemu ktoś miałby posmarować ją olejem?

– Nie olejem, tylko oliwą z oliwek – poprawiła go Żaneta, która do tej pory jedynie się przysłuchiwała. Jednak Kuba nadal nie rozumiał. – Moja babcia umarła w zeszłym roku – wyznała ze smutkiem. – Ale zanim to się stało, wezwała do domu księdza, a on udzielił jej sakramentu ostatniego namaszczenia – wyjaśniła. – To polega na tym, że smaruje się dłonie i czoło chorego oliwą z oliwek i odmawia specjalną modlitwę.

– Dokładnie tak – potwierdził Mirek. – Sam nie skojarzyłbym faktów, ale akurat byliśmy z Otylią w kościele. – Machnął ręką, jakby nie chciał zagłębiać się w ten temat, tylko przejść dalej. – I kiedy ksiądz usłyszał moją rozmowę z doktorem o oliwie, sam spytał, czy komuś potrzeba sakramentu namaszczenia.

– Czyli naszym mordercą jest ksiądz? – spytała wciąż niepewna Maria Chmurnyńska. Usta zwęziły jej się w dziwnym grymasie, a jasne, ledwo widoczne brwi zaszyły na siebie. W sumie by jej to nie dziwiło. Naoglądała się dokumentów o księżach pedofilach wykorzystujących niewinne dzieci czy o kościelnej mafii wyłudzającej pieniądze od schorowanych, starszych osób. Tyle że w jej okolicy nic się nigdy takiego nie działo. A przynajmniej nie było podobnego zgłoszenia. Owszem, w ciągu pięćdziesięciu lat życia napatrzyła się na to i owo, zwłaszcza za dzieciaka, kiedy pomyliwszy godziny spotkania komunijnego, zaszła na plebanię i zastała tam księdza z nagą kobietą w dziwnych pozach. Albo kiedy podczas pogrzebu jej dziadka, a była już wtedy nastolatką, ksiądz przyszedł na cmentarz kompletnie zalany i wpadł do wykopanego dla nieboszczyka grobu. Rozniosło się wtedy po sąsiadach, że proboszcz dowiedział się, że ojcem zostanie, więc trzeba

mu wybaczyć jego reakcję. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Może i racja, pomyślała, ale skoro tak, to każdy może też być mordercą...

– Musimy przyjąć taką hipotezę – zawyrokowała Olga.

– Albo ktoś po prostu chce, żebyśmy tak uważali... – wtrąciła Katarzyna. – Każdy z nas może w dzisiejszych czasach kupić różaniec i oliwę z oliwek.

– No i zamówić przez internet strój księdza – dokończyła jej myśl Żaneta.

– To prawda. – Olga się zamyśliła. – Tak czy siak musimy się dowiedzieć czegoś więcej o tym sakramencie. Dziewczyna nie żyła już od jakiegoś czasu, kiedy znalazł ją Janek. A jeżeli tak, to dlaczego morderca – roboczo zwany księdzem – przyniósł ją do parku dopiero w sobotę rano i dlaczego dał się przyłapać?

– Mógł założyć, że w weekend nie będzie robotników – jasno stwierdził Mirosław.

– A może wiedział, że będą, i chciał zostać zobaczony? Po co? By zwrócić podejrzania na księży... Ale to by znaczyło, że miał sobie tylko znany powód, żeby to zrobić – dodała pani psycholog.

– Może w przeszłości jakiś ksiądz go skrzywdził? – rozważał Kuba.

– Całkiem możliwe – skwitowała Chmurzyńska.

– Mimo wszystko to dziwne. – Katarzyna zaczęła się intensywnie zastanawiać. – Skrzywdził niewinną dziewczynę, żeby odegrać się na jakimś księdzu? To bez sensu...

– Racja – przyznała Olga. – Czyli to może być jego prawdziwa profesja. Powinniśmy odwiedzić pobliski kościół, dowiedzieć się więcej o ostatnim namaszczeniu, co symbolizuje, kiedy się je wykonuje i tym podobne. I potem zobaczymy, co dalej z tym fantem. Kasia, pojedziesz ze mną? Może te informacje pomogą ci w stworzeniu prawdopodobnego portretu psychologicznego podejrzanego? – zapytała z nadzieją.

Katarzyna chciała zaprotestować. Przychodząc tu, nie planowała uczestniczyć w śledztwie, ale teraz niechętnie przyznawała, że się wciągnęła. Jeżeli się zgodzi, to już nie będzie odwrotu.

– No, to ustalone – rzuciła Olga, nie czekając na jej odpowiedź.

– Ja potrzebuję kilku godzin na przejrzanie komputera Tomka Rokoszyńskiego. Zdążyłem się zorientować, że jest typowym nastolatkiem. – Zaśmiał się pod nosem. – Ale niepokoją mnie niektóre konwersacje na komunikatorach. Być może to postawi jego zniknięcie w zupełnie innym świetle.

– Jasne – zgodziła się Olga. – Udało ci się ustalić, co z jego telefonem?

– Nie logował się od dnia zniknięcia. Moim zdaniem telefon i karta zostały zniszczone. Ale mając jego komputer, sprawdzę media społecznościowe. Młodzi ludzie często porzucają lub niszczą telefony, żeby nie zostawić po sobie śladu, ale żyć nie mogą bez Facebooka, Instagrama czy innych platform. Jak wiadomo, da się to zrobić z każdego sprzętu z połączeniem do internetu. Ale tak jak mówiłem, potrzebuję paru godzin.

– Maria, a jak przebiegła rozmowa z ojcem Tomka?

Aspirant Chmurzyńska nabrała głośno powietrza i zrobiła zaciętą minę.

– Zamknęłam go na cztery osiem – odpowiedziała sztywno.

– Słucham? – Oczy Olgi rozszerzyły się ze zdziwienia. Pochyliła się w stronę koleżanki. Dlaczego, do cholery, ta kobieta działała sama, nie pytając jej o pozwolenie? Postanowiła się opanować i nie okazywać zdenerwowania. – A można wiedzieć, jaki był powód?

– Rzucił się na mnie – powiedziała pośpiesznie i wskazała lekkie zadrapanie na szyi. – Podczas przesłuchania. Ewidentnie nie lubi trudnych pytań. Podejrzewam, że miał jakiś udział w zniknięciu syna. Albo wie, co się z nim stało, albo sam mu coś zrobił. Na jedno wychodzi. Poza tym zastrasza swoją żonę i może, jak posiedzi trochę w kiciu, to ochłonie – argumentowała.

– Dlaczego uważasz, że mógł coś zrobić Tomkowi? – spytał Mirek. – Pytam, bo ja też coraz bardziej przychyliam się do tej teorii.

– Niespójność zeznań, brak listu pożegnalnego, o którym mówił, czy choćby esemesa na przykład z tekstem: „Tato, wyjeżdżam, nie szukajcie mnie”. Syn rozplywa się w powietrzu, nie daje żadnych znaków życia, a ten jak gdyby nigdy nic i uważa, że miesza się bez powodu. – Oddech Marii przyśpieszył, a mięśnie spięły się mocno. – Który ojciec miałby aż tak wywalone? – zadała to pytanie głośniej, niż zamierzała. Po czym w myślach sama sobie na nie odpowiedziała. Ojciec jej dziecka. On też nie zwróciłby najmniejszej uwagi, gdyby Agata zniknęła. Nie interesował się córką. Kiedy się urodziła, odszedł od nich, bo bardziej cenił sobie wolność i jak twierdził, dusił się w ich towarzystwie. Skurwysyn. Może właśnie dlatego tak emocjonalnie zareagowała na obojętność Patryka Rokoszyna. Bo czy naprawdę miała powody, żeby wsadzić go do paki na dwie doby?

– Nie wiem, który ojciec – odpowiedział spokojnie Kuba, klikając coś na swoim laptopie – ale Patryk Rokoszyn nie jest ojcem Tomasza. I myślę, że to może być motyw. – Przerwał pisanie, bo wiedział, że zwrócą się na niego oczy wszystkich. Lubił to. Ten moment, kiedy zaskakiwał zebranych podczas śledztwa.

Czuł wtedy adrenalinę. – To tylko hipoteza, ale może Rokoszyn dowiedział się, że chłopak nie jest jego, wpadł w szał i zabił go w afekcie, a żonę zastraszył?

– Jak to nie jest? – oburzyła się aspirant Chmurzyńska. – A niby po czym to wnosisz? – Chciała wypaść elokwentnie, ale wyszło śmiesznie. Miała to w dupie. Mężczyźni są beznadziejni. Sebastian też opowiadał dookoła, że nie jest ojcem Agaty. Żalodne.

– W przedpokoju domu Rokoszynów wisi zdjęcie całej rodziny. Kalina, Patryk, Tomasz i jeszcze jakaś młoda kobieta. Podejrzewam, że córka.

– No i? – Olga przysłuchiwała się uważnie.

– Wszyscy mają niebieskie oczy, tylko Tomek ma brązowe – powiedział dumny z siebie, jakby co najmniej odkrył nowy pierwiastek.

– A co to ma za znaczenie, może po babci odziedziczył – odfuknęła Maria.

– Niestety, tak się nie da. – Obrócił laptop do zebranych. Na ekranie zobaczyli kilka par niebieskich i brązowych oczu w różnych konfiguracjach dziedziczenia. – To w sumie dosyć proste – zaczął wyjaśniać. – Kolor niebieski to gen recesywny, a brązowy dominujący. Jeżeli oboje rodzice mają niebieskie oczy, to znaczy, że każde z nich otrzymało od swoich rodziców geny recesywne, i przekazując je, wszystko jedno w jakiej konfiguracji, to dalej są to tylko geny recesywne, a więc oczy niebieskie.

– Chcesz powiedzieć, że niemożliwe genetycznie jest, żeby rodzice z niebieskimi oczami spłodzili dziecko o brązowych oczach? – Olga wolała doprecyzować.

– Dokładnie tak tu piszą.

– A odwrotnie? – zapytał Mirek. – Kiedy rodzice mają oczy brązowe, to czy ich dziecko może mieć niebieskie?

– Tak – potwierdził Kuba. – Jeżeli mamy jeden gen recesywny i jeden dominujący, to zazwyczaj mamy oczy brązowe, czasem zielone, ale na pewno nie niebieskie. Ale podczas tworzenia nowego życia każde z rodziców przekazuje ze swojej puli tylko jeden gen, więc osoba o brązowych oczach może przekazać albo gen recesywny, albo dominujący. Jeżeli oboje rodzice z brązowymi oczami prześlą gen recesywny, to dziecko będzie miało niebieskie oczy – zakończył.

– Okej... – Olga zamyśliła się na chwilę. – Czyli Patryk Rokoszyn nie jest ojcem Tomasza... Co nam to daje?

– Motyw? – rzucił Kuba.

– Myślisz, że stary Rokoszyn dowiedział się, że syn nie jest jego, i zabił go w afekcie? – Maria Chmurzyńska też dopuszczała taką możliwość.

– Zaraz, zaraz! – Katarzyna próbowała się przebić. – Ale to wszystko nie jest takie proste. – Popatrzyła po zebranych. – Mnie też tak uczyli w szkole. Ale to nie do końca prawda.

– Mówisz o dziedziczeniu? – zdziwił się Kuba.

– Tak – odpowiedziała. – Za kolor oczu odpowiadają nie tylko geny, ale szereg innych czynników, jak na przykład ilość melaniny i stosunek eumelaniny do feomelaniny.

– Czego? – Maria chciała doprecyzować.

– Barwników występujących w skórze – odpowiedziała pani psycholog. – Nie pamiętam teraz dokładnie tych zasad, ale jest możliwe, żeby niebieskoocy rodzice spłodzili brązowookie dziecko, tyle że to rzadko spotykane.

– Chyba dobrze, że mamy go na stanie – Olga zwróciła się do Marii. – Damy mu dzień na zastanowienie się, a potem przesłuchamy jeszcze raz. Poczekamy też na to, co ustali Kuba. Może pan Rokoszyn, uświadamiając sobie, ile wiemy, zacznie w końcu mówić prawdę. Tymczasem wykonajmy szybko test na ojcostwo. Zebraliśmy materiał genetyczny z pokoju Tomka. Porównamy go z wymazami, które pobierzemy od pana Rokoszyna, i zobaczymy, co wyjdzie. To może być dobry trop, ale równie dobrze pudło. Po prostu musimy się chwytać wszystkiego. A zatem – wzięła głęboki oddech i spojrzała na współpracowników – czy wszyscy wiedzą, co mają robić?

– Ja sprawdzam elektronikę – stwierdził stanowczo Kuba.

– Ja zobaczę, czy są jakieś postępy w poszukiwaniach osób zaginionych i może prześledzę informacje o działających na Dolnym Śląsku seryjniakach pod kątem zbieżności z modus operandi naszego sprawcy i typologii ofiar – zaoferował Mirek.

– Dobry pomysł – przyznała Olga. – Martwi mnie ciągły brak wiedzy na temat personaliów tej dziewczyny.

– Ja w takim razie przypilnuję pobrania wymazu od Rokoszyna i przesłucham kolegów Tomasza – stwierdziła Maria.

– Bardzo dobrze – stwierdziła Olga. – My z Kasią zrobimy sobie wycieczkę do kościoła w Sobieszowie. Wybadamy tamtejszych księży. Okej? – Spojrzała na przyjaciółkę z nadzieją.

– Zgoda. – To był ten moment, w którym Katarzyna postanowiła zaangażować się w sprawę. Poczwała, że ciekawość jest silniejsza niż strach.

– Pani komisarz! – Żaneta zawołała Olę, gdy ta opuszczała salę.

Obróciła się zdziwiona. Młoda nigdy tak do niej nie mówiła, no, może na początku, kiedy nie otrzymała jeszcze polecenia służbowego, aby zwracać się do niej po imieniu. Stała więc skonsternowana przy drzwiach, przepuszczając członków zespołu. Żaneta patrzyła na nią z poważną miną. Boże! Żeby tylko i ona nie postanowiła odejść, zdążyła pomyśleć.

– Co jest, dziewczyno? Gadaj, bo tu na zawał zejde – postraszyła, gdy zostały same. – I przestań mi mówić na pani, bo cię zdegraduję – zażartowała. Żaneta była cywilem, więc formalnie nie istniała możliwość, aby Olga mogła to zrobić.

– No... To znaczy, jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć – zaczęła niepewnie. A na jej twarzy odmalował się wyraz winy.

– No, teraz to już raczej nie masz wyjścia – stwierdziła, zastanawiając się, czy chodzi o prowadzoną sprawę czy o informacje o którymś z policjantów. Może o Kubie? Młoda ewidentnie się w nim podkochiwała. Albo o Kowaliku. Nie pojawił się dziś na spotkaniu, chociaż tak zapowiadał. A przecież się znają. Tak, pewnie chodzi o prokuratora.

– No, co ten facet nawywijał, mów – zachęciła ją.

– Nic, nic. On jest cudowny, naprawdę, tylko myślę, że powinnaś wiedzieć, bo nie lubisz niespodzianek – wypowiedziała jednym tchem.

Olga pobladła nieco i przetrawiała usłyszane informacje. Czy Żaneta właśnie próbowała jej przekazać, że sypia z prokuratorem Kowalikiem? Do cholery, przecież on jest ze trzydzieści lat starszy od niej. Obliczała różnicę wieku. No, z dwadzieścia pięć na pewno. Kiedyś nawet by jej o to nie podejrzewała, ale teraz coś się w jej asystentce odmieniło. Była coraz radośniejsza i swobodniejsza. Czy taki facet może ją uszczęśliwić?

– Nie będę ci moralizować – zaczęła. – To twoje życie i przeżyjesz je, jak zechcesz, ale zastanów się dobrze, czy taki związek ma jakąś przyszłość... – rozkręcała się i nawet coraz większe zdziwienie Żanety nie dało jej do myślenia. – Przecież on jest dla ciebie za stary! – wypaliła w końcu.

– Olga! – przerwała jej z oburzeniem dziewczyna. – Ale o czym ty mówisz? Przecież on cię tylko chce zabrać do teatru, a ja zgodziłam się popilnować wam dzieci, nic więcej! – Żaneta opadła na krzesło z zażenowania. – Jak mogłaś pomyśleć, że my... że ja... – Spojrzała na nią, tym razem oskarżycielsko.

– Przepraszam! O cholera, przepraszam cię najmocniej. Sądziłam, że rozmawiamy zupełnie o kimś innym. – Olga usiadła przy niej i potarła czoło.

– O kim?

– Co?

– Nie co, tylko mów teraz, jak na spowiedzi, o kim myślałaś. Z kim, w twoim policyjnym mniemaniu, się spotykam? – Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na nią zniecierpliwiona.

– Z prokuratorem Kowalikiem.

Żaneta parsknęła śmiechem i popukała się w głowę.

– Przecież to mój wujek. No, prawie, brat męża mojej ciotki. Znam go od dziecka.

– Wujek? – powtórzyła z zaciekawieniem. – A czemu dziś się nie pojawił? – próbowała szybko zmienić temat, by uciec od tej żenującej pomyłki. – Zapowiedział, że będzie.

– Zadzwoił dziś rano i powiedział, że się postara, ale nie może obiecać. Pośliznął się na liściach, gdy wychodził z domu, i chyba złamał obojczyk. Jechał na SOR, gdy do mnie dzwonił, ale prosił o dyskrecję co do przyczyny nieobecności. Tylko że przy takim kalibrze oskarżeń chyba nie powinnam ukrywać takich drobnotek. – Zaśmiała się i zakryła dłonią szereg ładnych, białych zębów.

– Bardzo się zmieniałaś – stwierdziła z uśmiechem Olga. – Jesteś szczęśliwsza i tak cudownie dziewczęca. Nie wiem, komu lub czemu to zawdzięczamy, ale mam nadzieję, że tak już zostanie. – Pochyliła się i pocałowała dziewczynę w czoło. – Przepraszam cię za tę pomyłkę. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! – Popukała się pięścią w okolice serca. – To mówisz, że idę do teatru? – Uśmiechnęła się i uniosła jedną brew.

Mirosław Zagórski odwykł od pracowania w pojedynkę. Kiedyś, kiedy zajmował się głównie poszukiwaniem osób zaginionych, dużo czasu spędzał sam na sam z komputerem, a wypadły w teren z partnerem należały do rzadkości. Dziś nie wyobrażał sobie powrotu do tamtej rutyny. Tymczasem siedział przygarbiony przy biurku, a system w jego komputerze miał powoli zgłoszenia zaginięć młodych kobiet w ostatnim miesiącu. Oczywiście tylko tych odpowiadających rysopisowi ofiary. Promień stu pięćdziesięciu kilometrów, jaki Mirek przyjął, nie był może największy, ale zahaczał o trzy kraje, co utrudniało weryfikację. Co jakiś czas wyskakiwało nowe zdjęcie wraz z raportem zaginięcia, które z grubsza odpowiadało wyznaczonym przez niego parametrom, jednak Mirek po przyjrzeniu się stwierdzał, że żadna z kobiet nie okazywała się tą znaną przy bursie. Postanowił rozszerzyć zakres wieku od piętnastu do dwudziestu dwóch lat, ale i to nie przyniosło rezultatów. Co prawda, kilka razy zdawało mu się, że już ją ma, ale wtedy wyciągał podobiznę denatki zrobioną już po umyciu ciała, ale jeszcze przed sekcją, i przekonywał się, że to jednak nie ona. Wrócił więc do lat wyznaczonych przez Staszka Nowakowskiego, ale zmienił zakres poszukiwań na całą Polskę. Trudno, najwyżej będzie tu siedział całą noc. W domu i tak nie ma szans się wyspać, więc równie dobrze może tu siedzieć do rana. Nie ruszą z miejsca, jeżeli nie ustalą personaliów dziewczyny.

Naraz zrobiło mu się wstyd, że woli zostać w komendzie, niż wrócić do narzeczonej. Przecież obiecał być pomocnym i współodczuwającym, ale sytuacja jednak go przerosła. Otylia nie dawała mu spokoju. Ciągle czegoś wymagała, potrzebowała lub miała dla niego nowe zadania. Wiecznie źle się czuła, a przede wszystkim, i to go najbardziej męczyło, rozklejała się totalnie, gdy tylko śmiał wyrazić inne zdanie niż ona na jakikolwiek temat związany z dzieckiem. Mirek zawsze uważał, że z partnerką trzeba się zgadzać, bo wtedy życie jest łatwiejsze, ale nawet ta teoria nie zapewniła mu spokoju i wytchnienia w ostatnich tygodniach. Jego ukochana zawsze znajdowała sobie powód do zmartwień i zarzucania go absurdalnymi oskarżeniami. A to, że jej nie rozumie; a to, że to nie on nosi pod sercem dziecko, więc nie wie, jak to jest; a to, że nie współodczuwa wystarczająco jej ciężowych dolegliwości albo nie szanuje jej poglądów w kwestiach zasadniczych, takich jak religia czy wychowanie. Miał dosyć i ubolewał nad tym, ale naprawdę miał dosyć. Musiał odpocząć. Wyciągnął telefon komórkowy i wystukał szybkiego esemesa. Nie zadzwonił, bo po pierwsze, Otylia często uciniała sobie popołudniowe drzemki i nie chciał jej budzić, a po drugie, wołał nie narażać

się na telefoniczną kłótnię. Jedna krótka informacja tekstowa wystarczy. „Kochanie, muszę zostać dziś w pracy do późna – przełom w śledztwie. Nie chcę cię budzić w nocy. Widzimy się rano. Kocham i całuję”. Wysłał i poczuł ulgę.

Koło siedemnastej stwierdził, że wszystkie portrety zlewają mu się w jeden i ten sam obraz i nie widzi już żadnych różnic. Jego mózg potrzebował się przewietrzyć, choć na chwilę zająć się czymś innym niż porównywaniem fotografii identycznie wyglądających dziewczyn. Spojrzał na wyświetlacz telefonu i zobaczył tylko krótkie „OK”. Zrozumiał, że Otylia ma focha, ale to była najlepsza reakcja, na jaką w tej sytuacji mógł liczyć. Wykręcił numer do Kornela i wyciągnął się w fotelu.

– Co tam, stary druhu? – przywitał go energiczny głos kolegi.

– Czuję się właśnie tak, jak powiedziałeś – zaśmiał się pod nosem – staro!

– Rozumiem. Wkroczyłeś na drogę odpowiedzialności, nieprzespanych nocek i surrealistycznego lęku o najbliższych. Znam to doskonale.

– Na razie to wkroczyłem na drogę kłamstwa wiodącą prosto do piekła – wyrecytował tekst, który pamiętał jeszcze z podstawówki. Tak właśnie powiedział mu jeden ksiądz, kiedy Mirek okłamał go, że nie przyszedł na niedzielną mszę, bo był chory. W rzeczywistości jadł chipsy u kolegi w bloku i grał w pierwszą w swoim życiu grę komputerową polegającą na zabijaniu potworów. Uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie.

– Potrzebujesz wsparcia w grzechu? – zażartował Kornel. – Czy może wolisz pogadać na poważnie?

– Chyba jedno i drugie. Bylebyś przyniósł piwo.

– Jasna sprawa. Gdzie mam się stawić, podkomisarzu? – zapytał poważnym tonem. – I o której?

– Chcesz odwiedzić stare śmieci?

– A czy dzik sra w lesie?

Mirosław parsknął śmiechem. Już sam telefon do Kornela wprowadził go w lepszy nastrój.

– To dawaj na komendę, jak dzieci ci zasną, a Olga pozwoli – zaakcentował ostatnie dwa słowa. – Zamierzam tu spać i nic mnie nie odwiedzie od tego pomysłu.

– Będę po dziewiątej.

Gdy tylko się rozłączył, jego telefon momentalnie znów zadzwonił. Automatycznie przeciągnął w prawo na zielone pole.

– Tylko mi nie mów, że już spytałeś i nie masz dziś wychodnego – zażartował, będąc pewnym, że to Kornel.

– Dzień dobry... – Usłyszał młody kobiecy głos i z zaskoczeniem spojrzął na aparat, jakby spodziewał się zobaczyć twarz rozmówczynie. – Czy ja dobrze się dodzwoniłam? – zapytała z przejęciem. – To znaczy, czy ja się dodzwoniłam do podkomisarza Mirosława Zagórskiego?

– Tak, podkomisarz Zagórski, w czym mogę pomóc? – szczerze się zdziwił. Zazwyczaj obywatele potrzebujący pomocy nie dzwoniли bezpośrednio na jego służbowy numer, dostępny tylko dla członków zespołu oraz innych policjantów. Rozmówczynie nie brzmiała jak policjantka. Nie przedstawiła się, podając stopień służbowy, jak zrobiłaby na wstępie, gdyby nią była.

– Czy to pan szuka zaginionej młodej dziewczyny? – mówiła powoli i niepewnie.

Zastanawiał się, co powiedzieć. Co prawda, szukał danych denatki w zgłoszeniach osób zaginionych, ale nie można tego nazwać szukaniem dziewczyny. Czy ta młoda kobieta wiedziała, kim jest ofiara? I najważniejsze, czy dowiedziała się o śmierci czy będzie jej musiał oznajmić to przez telefon? A poza tym skąd ma jego numer?

– Przepraszam, jak się pani nazywa? – zapytał gwoli wyjaśnienia podstaw.

– A to ja przepraszam, to z nerwów – powiedziała pośpiesznie. – Nazywam się Joanna Szmajdzińska.

– Pani Joanno, w takim razie po kolei. O jaką dziewczynę pani pyta i skąd ma pani mój numer. Proszę tylko nie mówić, że z neta. Tam go pani nie znajdzie. – I od razu zganił się w myślach. To, że on zszedł dziś na drogę kłamstwa, nie znaczy, że inni też kłamią.

– Mój kuzyn pracuje w komendzie we Wrocławiu. Ponoć rozesłał pan portret pamięciowy młodej kobiety i szuka pan zaginionych, które do niego pasują.

– Tak, to się zgadza. Czy pani widziała ten portret i wie coś na temat tej osoby?

– Nie widziałam – przyznała. – Marek nie chciał mi go pokazać, ale powiedział, żebym skontaktowała się z Dorotą, bo ta zaginiona bardzo ją przypomina. No i ja się przeraziłam, bo od tygodnia Dorota nie odbiera ode mnie wiadomości. I oznajmiłam Markowi, że się do niego więcej nie odezwę, jak mi nie da numeru bezpośrednio do pana – wymówiła jednym tchem.

– Rozumiem, dobrze, że pani dzwoni – próbował być spokojny i rzeczowy, chociaż w środku aż się w nim gotowało na myśl, jakich zajebistych policjantów zatrudnia komisariat we Wrocławiu. – Jak się nazywa... – chciał powiedzieć „na-

zywała”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Gdyby ten alarm okazał się fałszywy, bez sensu już teraz sugerować, że kobieta nie żyje. – ...pani koleżanka?

– Dorota Ziółko.

Nic mu to nazwisko nie mówiło, ale skoro pochodziła z Wrocławia, to nie miało prawa mówić.

– Czy rodzina zgłosiła zaginięcie pani Doroty?

– Nie – odpowiedziała jakby z lekceważeniem i wyrzutem w głosie. – Jej ojciec mieszka za granicą, w Niemczech. A mama nie żyje od pięciu lat. Zginęła w wypadku samochodowym. Czy pan ją znalazł? Czy nic jej nie jest? I jak to możliwe, że pan nie wie, jak się nazywa? Miała wypadek? Leży nieprzytomna? Kuzyn nic mi nie chciał powiedzieć.

– Pani Joanno, spokojnie. Ma pani jakieś aktualne zdjęcie przyjaciółki?

– Tak, tak, oczywiście. Już panu wysyłam.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości, a na ekranie pojawiło się zdjęcie uśmiechniętej, radosnej kobiety trzymającej w objęciach zadowolonego bobasa. Mirek zamarł i na krótką chwilę stracił zdolność mówienia. To była ona. Bez dwóch zdań i bez żadnych wątpliwości Dorota Ziółko to ich denatka z bursy. Wypuścił wstrzymywane dłuższą chwilę powietrze i starał się robić to, co tak dobrze mu dziś wychodziło – kłamać.

– Pani Joanno, nie mam teraz możliwości porównać zdjęć. Zrobię to jutro, gdy przyjdę do pracy. Czy ma pani jak dojechać do Jeleniej Góry? Jeżeli nie, to ja mogę jutro przyjechać do Wrocławia i z panią porozmawiać.

– Mam, mam. Dobrze. – Dziewczyna jakby się uspokoiła. – Mogę być na dziesiątą. Proszę mi tylko wysłać adres i jutro się widzimy. Odstawię dziecko do żłobka i przyjadę.

– Okej, proszę się nie spieszyć i jechać ostrożnie. Poczekam na panią, ile będzie trzeba. – Dopadły go wyrzuty sumienia, że ją okłamał. Nie chciał jednak przekazywać złych wieści telefonicznie. Stchórzył i bił się z myślami, czy na pewno będzie to dla niej lepsze.

– Dziękuję. Jutro się widzimy. Do widzenia.

Kobieta rozłączyła się, a on zamiast poczuć ulgę, ugiął się pod ogromnym ciężarem. Spojrzał na zegarek na przegubie dłoni. Dochodziła dziewiętnasta. Gdyby powiedział jej prawdę, pewnie przyjechałaby dzisiaj, a jazda w stresie po nocy nigdy nie była dobrym pomysłem. Jeszcze raz otworzył zdjęcie Doroty. Wesołej, radosnej, cieszącej się życiem. Co za skurwysyn pozbawił ją tego wszystkiego? Czekając na Kornela, postanowił wyszukać sprawy seryjnych morderców. Może któreś akta naprowadzą go na właściwy trop.

Mysłisz, że to może być ksiądz? – Olga wrzuciła wsteczny, żeby zjechać z podjazdu przed domem.

Ponieważ kilka godzin wcześniej ani w zakrystii, ani w kościele nie znalazły żywego ducha, postanowiły przyjechać w oficjalnych godzinach urzędowania proboszcza, obwieszczonych na tablicy ogłoszeń. Do dziewiętnastej miały wystarczająco dużo czasu, by zjeść obiad w nowej, choć niewykończonej jeszcze jadalni Olgi i Kornela. Na obiedzie zjawili się też Elwira z Leonem i całe towarzystwo miło spędziło czas, zapominając o prowadzonej sprawie. Dopiero teraz, kiedy Olga i Kaśka wsiadły do auta, mogły zająć się pracą.

– Nie mam pojęcia. Teoretycznie może to być każdy, ale jeżeli to faktycznie ksiądz, to moim zdaniem chce zostać złapany.

– Albo ktoś inny chce rzucić na niego podejrzenia – przyznała jej rację Olga.

– Właśnie. Tylko że takie działanie w ogóle nie pasuje do seryjniaka – stwierdziła trzeźwo Kaśka. – Seryjni mordercy zazwyczaj są inteligentni i przynajmniej do jakiegoś czasu nie zamierzają dać się złapać.

– Z drugiej strony, często zostawiają jakiś swój znak rozpoznawczy lub bawią się z policjantami w kotka i myszkę. Może to zabawa, której jeszcze nie rozumiemy? Może sprawca celowo chce nas zaprowadzić w pewne miejsce, aby coś nam przekazać? – pytała w zamyśleniu Olga.

– Motyw? Cel jego postępowania? – podchwyciła Kaśka.

– Przeczuwam, że to jakaś zawiła układanka, rebus, którego jeszcze nie potrafimy odgadnąć. Ale uważam, że jest tu jakaś logika. I tylko idąc po śladach, dojdziemy do celu.

– Uważaj – ostrzegła ją przyjaciółka. – Jeżeli sprawca się z tobą bawi i jest inteligentny, to idąc po śladach, dojdiesz tylko tam, dokąd on cię zaprowadzi. Czy nie powinnaś być bardziej zdystansowana? Patrzyć na wszystko z oddali, a nie wykorzystywać tylko te elementy, które pasują?

– Co masz na myśli? – niemal oburzyła się Olga.

– Na przykład tego chłopaka, Tomka. Moim zdaniem on w ogóle nie pasuje do schematu. I wszystko jedno, czy śmierć tej dziewczyny była jednorazową zbrodnią, początkiem serii czy wiązała się ze znalezionymi szkieletami, to ten chłopak nie ma punktów stycznych – oświadczyła bez ogródek.

Już chciała odpowiedzieć, kiedy w samochodzie wybrzmiała Lana del Rey sygnalizująca przychodzące połączenie. Nacisnęła przycisk na kierownicy.

– Cześć, Robert – powiedziała pośpiesznie, ciesząc się, że jej rozmowa z Kaśką się przerwała. Będzie musiała przemyśleć to, co zasugerowała jej przyjaciółka. Może faktycznie zbyt łatwo zestawiała te historie. Ale teraz nie ma już odwrotu. I tak oficjalnie prowadzą oba śledztwa. – Czekaliśmy dzisiaj na ciebie. Liczę, że dostaniemy zielone światło co do naszych kościotrupów – wysunęła zuchwale.

– Trochę więcej szacunku, Olga – zgañił ją prokurator. – A światło mamy czerwone. Góra nie zgadza się na rozpoczęcie śledztwa w tej sprawie. Uznano, że uległa przedawnieniu.

– Słucham? – Naburmuszyła się i nie wiedziała nawet, czy bardziej na to, że ją zrugął, czy na wiadomość o niewszczygnięciu śledztwa.

– To, co słyszałaś – odburknął wyraźnie poirytowany. Nie była tylko pewna, czy złości się na nią. – Działajcie dalej z N.N., niech Żaneta mi raportuje. Siedzę w domu z gorączką i na razie mam zakaz wychodzenia do ludzi. Ale pracuję zdalnie, więc jak pojawi się coś pilnego, to dawaj znać.

– Z gorączką... – powtórzyła powoli. Czy Kowalik ją okłamywał? Przecież Żaneta wyraźnie powiedziała, że pośliznął się rano na liściach i złamał obojczyk. A może wdarło się jakieś zakażenie i stąd ta gorączka? Nie może przecież wszystkich podejrzewać o kłamstwo.

– Tak – odparł pośpiesznie. – Jesteśmy w kontakcie, cześć.

– No, no! – Kaśka gwizdnęła przeciągle. – Nie jest to chyba najmilszy facet na świecie, co? – Spojrzała z ukosa na przyjaciółkę, która wyraźnie nad czymś się zastanawiała.

– Jestem zaskoczona – powiedziała w końcu. – Do tej pory zależało mu, żeby prezentować się na najwyższym poziomie, ale jak już zdążyły mnie nauczyć moje cholerne życiowe doświadczenia – prokuratorzy są jacyś dziwni. Dojechaliśmy! – Zgasła silnik i wysiadły z auta.

Sobieszowski kościół należał do tych niepozornych, niebudzących na pierwszy rzut oka respektu ani podziwu. I w sumie takie przybytki bardziej się Oldze podobały. Sprawiały wrażenie, jakby były budowane dla ludzi, a nie ku chwale Pana. Z daleka nikt nie powiedziałby nawet, że to obiekt sakralny. Wyglądał raczej jak kwadratowa, dwukondygnacyjna kamienica w centrum miasta. Jedynie krzyż i dzwon na dachu przypominały o jego przeznaczeniu.

– Przechodzimy przez kościół? – spytała Kaśka, nie wiedząc, czy skrócić w lekko uchylone drzwi.

– Nie, idźmy bokiem od razu do zakrystii, proboszcz powinien już tam być.

Nie myliła się. W korytarzu czekała też grupka interesantów. Dwoje młodych z dzieckiem w wózku – zapewne w sprawie chrztu oraz trzy osoby w średnim

wieku. Dwóch mężczyzn i kobieta. Nie sprawiali wrażenia, jakby przyszli razem, a to z kolei wróżyło długi czas oczekiwania.

– Dzień dobry – przywitała się pani komisarz. – Czy proboszcz już jest?

Nie musieli jej odpowiadać, ponieważ w tym samym momencie drzwi do kancelarii otworzyły się i wyszedł z nich starszy, przygarbiony mężczyzna oraz drugi, wyglądający niemal identycznie, tyle że w sutannie. – Kto następny? – zapytał łamiącym się głosem i z zaciekawieniem spojrzął na dwie nieznane sobie kobiety.

– Komisarz Olga Balicka – zareagowała i wyciągnęła odznakę. – A to psycholog naszego wydziału magister Katarzyna Sarnecka. Czy możemy chwilę porozmawiać? Sprawa jest dosyć pilna.

Na twarzy proboszcza odmalowało się zdziwienie i zmieszanie. Ale nie strach. Sprawiał wrażenie, jakby bardziej martwił się o to, że te dwie nieznajome wiskają się w kolejkę przed wiernych, niż o to, co może od nich usłyszeć.

– Proszę dać mi chwilę – odparł. – Zadzwońię po ojca Marcina, żeby przejął moje obowiązki, a my będziemy mogli udać się na górę. – Powolnym, chwiejnym krokiem wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę telefonu.

Po kilku minutach siedzieli już w kuchni jego małego mieszkania. Proboszcz nie przyjął odmowy i poczęstował je kawą.

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać – oświadczył, kiedy postawił kubki parującego napoju na stole. – W czym mogę paniom pomóc? – Jego przeorana zmarszczkami twarz budziła współczucie i szacunek.

– Czy zna ksiądz tę dziewczynę? – Balicka położyła na stole zdjęcie twarzy N.N.

Proboszcz przyjrzał się uważnie, posmutniał i się przeżegnał.

– Ona nie żyje, prawda? – zapytał, choć była to raczej oczywistość.

– Tak. Została zamordowana. A jej ciało porzucono niedaleko kościoła. – Celowo nie ujawniała dokładnego miejsca.

– Ale jak to? Nic mi na ten temat nie wiadomo, to raczej niemożliwe... – Kręcił głową, jakby szukał w pamięci takiej informacji, ale nie mógł jej odnaleźć.

– Proszę mi wierzyć, możliwe. Osobiście widziałam zwłoki. Czy ksiądz wie, kim ona była? – Obserwowała go wnikliwie. Zero reakcji. Cholera, on naprawdę sprawiał wrażenie, jakby niczego nie kojarzył. Przecież ludzie musieli gadać. Czy sprawa znalezionych zwłok nie rozniosła się jeszcze po okolicy?

– Nie, nie wiem, kim ona była, ale będę się za nią modlił – wyszeptał. – Przepaszam, jestem zmęczony podróżą, dopiero wróciłem po tygodniowej nieobec-

ności.

– Rozumiem. A czy może nam ksiądz opowiedzieć o ostatnim namaszczeniu? – spytała Sarnecka.

– O namaszczeniu chorych? – zdziwił się. – Ale tego sakramentu udziela się jedynie za życia. Nie można go udzielić po śmierci. Więc tu nie mogę pomóc.

– Nam nie chodzi o sakrament dla tej konkretnej zmarłej, źle mnie ksiądz zinterpretował – poprawiła się. – Chcemy zrozumieć, na czym polega ten obrządek. Chociaż to ciekawe, co ksiądz mówi, bo zawsze myślałam, że można go udzielić, kiedy ktoś umrze, by zapewnić mu szybszą drogę do nieba – starała się mówić poważnym tonem, bo sama treść wydawała jej się absurdalna. Nie chciała go obrazić, ale tak to mogło zabrzmieć.

– Nie. – Proboszcz aż wyprostował się na krześle. A przynajmniej starał się to zrobić, bo jego plecy nadal wydawały się zgarbione. – Udzielamy go jedynie osobom chorym i w podeszłym wieku, które z racji swojego stanu zagrożone są śmiercią. Wiele osób mylnie odbiera namaszczenie chorych. Często mówi się potocznie „ostatnie namaszczenie”, tak jak pani to ujęła, i pewnie stąd te pomyłki. Tymczasem taki sakrament ma uzdrowić, a nie zapewnić miejsce w niebie. Ma pomóc w powrocie do zdrowia.

– Uzdrowić? – Balicka odstawiała na stół kubek.

– Tak – potwierdził. – Przywołanie mocy misterium paschalnego nad ochrzczo-
nymi wiernymi, oleje i modlitwa mają przynieść ukojenie i zdrowie.

– A czy te oleje są jakieś specjalne, czy wystarczy zwykła oliwa z oliwek z Biedronki? – Pani komisarz wydawała się wyraźnie zaciekawiona, za to ksiądz ewidentnie zirytowany pytaniem.

– Jak to – zwykły olej z Biedronki? – podniósł nieco głos. – Oleum infirmorum, zwany olejem chorych, jest poświęcany przez biskupa w Wielki Czwartek podczas mszy krzyżma świętego, wraz z olejem krzyżma i olejem katechumenów. – Wyciągnął palec wskazujący, jakby prawił im groźne kazanie.

– Ale czy sam skład takiego oleju jest identyczny z tym z półek sklepowych, czy nie? – dociekała.

– Olej chorych – tłumaczył po wzięciu głębokiego, uspokajającego oddechu – jest w większości złożony z oliwy z oliwek, ale zazwyczaj dodaje się do niego mirrę, tatarak, cynamon i kasję. Albo chociaż niektóre z nich.

– Czyli jeżeli dobrze księdza zrozumiałam – Sarnecka chciała podsumować zebrane informacje – sakramentu namaszczeniu udziela się tylko osobie żyjącej i ochrzczonej, tak?

– Dokładnie tak. – Skinął lekko głową.

– I udziela się go tylko po to, żeby ta osoba przeżyła, a nie w celu zapewnienia jej miejsca w niebie czy odpuszczenia grzechów? – Wiedziała, że się powtarza, jednak te informacje totalnie nie pasowały do ich przypadku.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Dobrze, dziękujemy za wyjaśnienie. – Olga przeczesała włosy ręką. Zamierzała już wstać, ale wpadł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. – A czy może nam ksiądz coś opowiedzieć o Kalinie i Patryku Rokoszynach?

Oczy kapłana rozszerzyły się nieco, a mięśnie spięły. Drobny, ledwo zauważalny ruch, ale jednak. Tę rodzinę musiał znać całkiem dobrze i wiele o niej wiedzieć.

– To moi parafianie. Porządni ludzie, dlaczego pani pyta?

– Tajemnica śledztwa – odparła, nie chcąc się tłumaczyć. – Czy zna ich ksiądz dobrze? Wie, jakie relacje panują w domu? Czy mają jakichś wrogów? Jakim są małżeństwem?

– Normalnym. To dobrzy ludzie. Mają wspólnego syna Tomasza i córkę Blankę. Ale to dziecko z poprzedniego związku Patryka. Żyją w zgodzie z sąsiedzami, Patryk co niedzielę chodzi do kościoła. Jego żona tylko czasem i w każde święta.

– Co niedzielę? – podchwyciła Sarnecka. – Pomimo że żona nie chodzi? Czy Patryk Rokoszyn ma jakiś powód, by tak robić?

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę. Jakby zastanawiał się, ile może powiedzieć.

– Wiara w Boga jest jego powodem. Dla niektórych to ważna część życia, moje dziecko. Daje nadzieję, odkupienie i wiarę, a to pomaga dobrze żyć.

– Rozumiem, że pan Patryk chodzi też do spowiedzi i przyjmuje sakramenty? – Balicka chciała wy badać grunt pod dalsze pytania.

– Owszem, jest porządnym katolikiem – przyznał proboszcz i potakująco pokiwał głową. – Niewielu takich mamy. Jak sięgnę pamięcią, to podczas ostatnich trzydziestu lat tylko dwa razy nie przyszedł się wyspowiadać w pierwszy piątek miesiąca. To porządna rodzina jest – zapewnił ponownie.

– Dlaczego nie przyszedł? – drażyła pani komisarz. Odstępstwa od normy zawsze miały swój powód i zazwyczaj ciekawy.

Ksiądz spojrział na nią uważnie, po czym zastanawiał się przez chwilę.

– Raz, bo wypadła mu jakaś operacja, z dziesięć lat temu. Ale wtedy przyszedł po wyjściu ze szpitala. A drugi raz to w tym roku było, w sierpniu. Powiedział, że wyjechał w delegację... – Proboszcz odchrząknął i na chwilę jego twarz przybrała

inny, nieodgadniony wyraz. – Każdy czasem kłamie. Ważne, żeby się z tego wyspowiadać i żałować za grzechy.

– Nie rozumiem – stwierdziła Balicka. – Ksiądz uważa, że nie wyjechał?

– Nigdzie nie wyjechał! – Pokręcił przecząco głową. – Oznajmił mi potem, że bał się wyznać prawdę. Że jego grzechy są tak ciężkie, że nie mógłby spojrzeć mi w oczy. Postanowił pojechać do innej parafii, gdzieś, gdzie go nie znają, i tam prosić o pokutę. Nie wiem, dokąd się udał.

– Czy ksiądz wie, jakie grzechy miał na myśli? – Puls Olgi w końcu zaczął przyspieszać. To może być przełom w sprawie zaginięcia Tomka. Grzechy przeszłości bardzo często są motywem obecnych tragedii.

– Moje dziecko... – Ksiądz popatrzył na nią z politowaniem. – Nawet gdybym wiedział, to obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi i nic by pani ode mnie nie usłyszała. Ale zostawcie to – dodał. – Grzechy zostały mu odpuszczone i nie warto do tego wracać...

– Jeszcze tylko jedno i już dajemy księdzu odpocząć. – Balicka wyciągnęła z torebki kolejne zdjęcie. Tym razem różańca. Starła się nie okazać irytacji jego wcześniejszą odpowiedzią. Grzechy odpuszczone i po sprawie! Dobre! Opanowała się jednak i wróciła do rozmowy. – Nie znam się na tym. Proszę powiedzieć, czy ten różaniec może należeć do konkretnej osoby, do konkretnego księdza?

Starzec przyjrzał się uważnie przedmiotowi na fotografii.

– Hmm... – odparł po chwili. – Wątpię, żeby należał do księdza. Nasze osobiste różańce są trwałe i solidne, zrobione zazwyczaj z drewna lub minerałów. Ten tutaj wygląda raczej na plastikowy. Takie różańce dajemy zazwyczaj w październiku dzieciom, które będą w danym roku szkolnym przystępowały do komunii świętej.

– Można je kupić wszędzie?

– Tak, praktycznie w każdym sklepie z dewocjonaliami. Ale to nie jest różaniec z naszej parafii – dodał z przekonaniem.

– Skąd ksiądz to może wiedzieć?

– Niech pani spojrzy na te paciorki. Zrobione są z przezroczystego plastiku, ale na każdym jest cienka warstwa fioletowego koloru, żeby dzieciom wydawały się ładniejsze – wyjaśnił. My już od pięciu lat zamawiamy różańce w zielonym odzieniu.

Wzrok zatrzymała dłużej na Mirku. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Od Kornela, który wrócił do domu nad ranem, wiedziała, że Mirek nieźle dał w palnik. Potrzebował resetu, zalania robaka, chociaż wcale dużo nie wypił. Maks trzy piwa. Ale w połączeniu z przeżywanym ostatnio permanentnym stresem i przepracowaniem zrobiły swoje. Całe szczęście, że wybrał na kumpla do kieliszka jej męża. Gdyby wyszedł gdzieś na miasto i zaszalał, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Siedział teraz przy stole z pochyloną głową i zapewne starał się opanować ból rozsadzający mu czaszkę. Pomimo prysznic, niewątpliwie jakichś tabletek i mocnej czarnej kawy najwyraźniej czuł się nadal koszmarnie.

– Jakoś dam radę – powiedział, podnosząc na nią wzrok. – Może wyglądam strasznie i jeszcze gorzej się czuję, ale wbrew pozorom wczoraj sporo wyjaśniliśmy. Pierwsze piwo tknąłem dopiero koło drugiej w nocy i od razu mnie siekło – przyznał skruszony.

– Dobra, pamiętaj, żeby nie siadać za kierownicę, póki nie sprawdzisz się alkoholem – odpowiedziała srogim tonem. – Może chcesz zacząć?

– Chętnie. Wydaje mi się, że ustaliliśmy personalia naszej N.N.

– O! Dawaj! – Maria Chmurzyńska z energią uderzyła ręką w stół.

– Proszę cię. – Spojrzał na nią karcąco. – Jeżeli mogłabyś nie wydawać takich dźwięków, będę wdzięczny.

– Takich? – Uderzyła w blat jeszcze raz, pozbawiając go wszelkich złudzeń.

Zmrużył tylko oczy i postanowił przejść do sedna. Od początku przeczuwał, że nie dogada się z panią aspirant. Kątem oka dostrzegł powstrzymywane śmiechy Kuby i Olgi. Jedyne Żaneta wydawała się szczerze zmartwiona jego stanem, a Kaśka Sarnecka pozostała dziwnie zamyślona i milcząca.

– Jasna sprawa – zlitowała się Chmurzyńska – przecież nie zamierzam się nad tobą znęcać.

– Wczoraj wieczorem skontaktowała się ze mną kobieta – zaczął – Joanna Szmajdzińska. Twierdziła, że od tygodnia nie ma kontaktu ze swoją przyjaciółką Dorotą Ziółko. Przesłała mi jej zdjęcie i jestem pewny, że to nasza denatka. – Spojrzał na Żanetę, a ona rozdała zebrany dokumenty. To, że miał ciężką noc, nie znaczyło, że nie przygotował się do dzisiejszego spotkania.

Ciche pomruki rozeszły się po sali błyskawicznie.

– W raporcie przeczytacie wszystko, co udało nam się z Kornelem ustalić. Wrzuciliśmy ją na bęben i wyskoczyło tyle. Kobieta, lat dziewiętnaście, zatrud-

niona w eleganckim butikiu z drogą skórzaną galanterią we Wrocławiu. W tym roku skończyła liceum, na studia się nie wybrała. Przez ostatni rok dostała dwa mandaty za przekroczenie prędkości. Właścicielem auta jest jej ojciec Szymon Ziółko. W czasach liceum była notowana za rozbój po pijaku. Sprawa została umorzona z uwagi na interwencję bogatego tatuśka i jego znajomości z prokuratorem. Tyle się dowiedzieliśmy, dzwoniąc tu i ówdzie. Właściwie to Kornel zadzwonił – przyznał zgodnie z prawdą.

– Wiemy, co robiła w Jeleniej? – zapytała Katarzyna.

– Nie, ale niedługo się dowiem. O dziesiątej ma przyjechać jej przyjaciółka. Przesłucham ją, ale identyfikację zwłok lepiej zostawmy ojcu. Na razie nie możemy ustalić jego numeru telefonu. Ponoć mieszka za granicą. Postaram się wszystkiego dowiedzieć od pani Szmajdzińskiej.

– Dobra robota – pochwaliła go Olga. – Kto następny?

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko – przerwał. – Przejrzelśmy też sprawy seryjniaków z naszego województwa. I znalazłem jeden ciekawy trop. Nie chcę zapeszać, ale to może mieć znaczenie.

– No, mów – pośpieszyła go.

W sali zapanowała kompletna cisza. Przyciągnął ich uwagę. Nie musiał nawet dawać znać asystentce. Żaneta wstała i rozdała zebranych kolejne dokumenty.

– Hieronim Włodawski – seryjny zabójca z Bolesławca. Mówi się, że dziesięć lat temu udusił trzy młode dziewczyny. Wszystkie chodziły do ostatniej klasy liceum, wszystkie były szczupłymi blondynkami. Zginęły w jednym roku, w kilku miesięcznych odstępach. Nie znały się. Wybierała uczennice z różnych szkół.

– O, w mordę – wyrwało się Kubie. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że wyszedł tuż przed zabójstwem Doroty Ziółko?

– Prawie. Wypuszczono go sześć miesięcy temu. Za dobre sprawowanie. Nie wiem, gdzie pracuje ani gdzie mieszka, ale można spróbować to ustalić. Ponieważ jest to zwolnienie warunkowe, na pewno musi meldować się u kuratora.

– Dlaczego tylko „się mówi”? – trzeźwo zapytała Kaśka. – Dlaczego nie powiedziałaś, że je zamordował, tylko że „mówi się”?

– Doskonałe pytanie – zgodziła się Maria. – Przycupnę.

– Mówi się, bo zabójstwo tylko jednej z nich zostało mu udowodnione. I tylko za to dostał wyrok. W pozostałych sprawach śledczy mieli jedynie poszlaki. Ale przy Anecie Fiołkowskiej zebrali twarde dowody. Dziewczyna walczyła. Znaleźli jego DNA pod jej paznokciami. Przy Justynie Jońskiej ponoć ktoś widział go nad zwłokami, ale kiedy przyszło do zeznań, świadek stwierdził, że nie jest pewny w stu procentach, a przy Natalii Sznajder nie zdobyli prawie nic. Ale Hieronim

Włodawski przyznał się do zabójstw współwięźniom. Ba! Chwalił się nawet. Podobno powiedział im, że to nie jedyne ofiary, a tylko te znalezione, i że kiedy wyjdzie na wolność, znów będzie zabijać. Ponoć dwie ostatnie dziewczyny, których ciał nie odnaleziono, zakopał gdzieś w lesie.

– Kurwa, jak ty jesteś taki wydadny na gazie i to w nocy, to ja tam cię przed procentami powstrzymywała nie będę – wyraziła na swój sposób uznanie Maria.

– Kumpel w straży więziennej też miał wczoraj nockę. Pogadaliśmy – wyjaśnił.

– Musimy to sprawdzić. Mirek, będziesz kontynuował ten trop? – spytała Olga.

– Jasne – przytaknął. Czuł się trochę lepiej, bo dobrze wykonał zadanie. Świadomość tego zawsze podnosiła go na duchu. Musi jeszcze przemyśleć, co powie narzeczonej. Po rozmowie z Kornelem zrozumiał, że tak się nie da żyć na dłuższą metę. Otylia powinna mieć w nim wsparcie, ale ono nie może być tylko jednokierunkowe. Będzie musiał z nią szczerze porozmawiać, gdy wróci do domu.

– Super – przerwała jego rozmyślania Olga. – Zrobiliśmy niezłe postępy. Kto następy? Kuba?

– Okej... – Informatyk przecesał dłonią swoje rudawe, lekko przydługie włosy i się uśmiechnął. – To chyba będzie dzień przełomów. Chociaż moje odkrycie nijak się ma do seryjniaka i śmierci Doroty Ziółko.

Olga westchnęła tylko i spojrzała na Kaśkę. Możliwe, że wczoraj miała rację. Wzięcie tych dwóch różnych spraw i prowadzenie jak jednej mogło im tylko pomieszać w głowach. Była coraz bardziej przekonana, że za zniknięciem Tomka Rokoszyna nie stoi morderca Doroty.

– Mów, zobaczmy, czy da się to jakoś skleić czy rozdzielały śledztwa.

– Przejrzałem komputer nastolatka i znalazłem coś, co może trzeba sprawdzić. A właściwie kilka rzeczy. Po pierwsze, zdjęcia pornograficzne kilku młodych dziewczyn.

– To raczej normalne, że w wieku dojrzewania płciowego interesujemy się seksualnością – stwierdziła Kaśka.

– Tak, ale to nie była taka pornografia z internetowych pornoli. Te zdjęcia faktycznie mu ktoś wysłał. A konkretniej dwie dziewczyny, w wieku około piętnastu lat. Alicja wysłała mu kilka nagich fotek spod prysznic jakiś pół roku temu, a Julia dwa miesiące temu. Namierzyłem też sporo ich rozmów na komunikatorach. Jeżeli chodzi o Julkę, to wypowiadała się w dość szczególny sposób i ze wstydem muszę przyznać, że nawet taki playboy jak ja musiał użyć słownika, żeby zrozumieć. – Zaśmiał się.

– Okej, ale do konkretów... Co to może mieć wspólnego z jego zniknięciem? – Maria była całkowicie nieczuła na jego męską aparycję. Nienawidziła facetów, którzy uważali się za przystojniaków.

– Jeżeli chodzi o Julkę, to sprawa się ryła, bo jak wynika z rozmów na komunikatorze, jej ojciec zobaczył te zdjęcia. Wkurzył się i zaczął wypisywać do Tomka. Kopię korespondencji macie tutaj. – Rozdał kartki zebranym. – Jak widzicie, wymiana zdań była ostra, choć zazwyczaj jednostronna. Tomek nie chciał eskalować konfliktu i się wycofywał, ale to tylko rozsierdzało starego. W ich ostatniej korespondencji z końca września ojciec Julki pogroził: „Wiem, że byłeś dziś u mnie w domu. Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę – zabiję”. Potem nie pisał już nic. Za to logowania telefonu Tomasza pokazują, że dziewczyna dzwoniła do niego jeszcze kilka razy. Za każdym razem rozmawiali po kilka, kilkanaście minut.

– Myślisz, że ojciec Julki dowiedział się o ich późniejszych spotkaniach i coś mu zrobił? – spytała wprost Olga.

– Myślę, że istnieje taka możliwość.

– Okej, masz coś jeszcze?

– Mam, ale za cholerę nie wiem, jak to interpretować. – Spojrzała na Sarnecką z nadzieją w oczach, czym przykuł jej uwagę.

– Jeżeli będę umiała, pomogę – zapewniła.

– W komputerze Tomka jest sporo wierszy i opowiadań. Wszystkie mówią o śmierci, przemijaniu, próbach samobójczych... – Zatrzymał się na chwilę, aby przyswoili informację.

– Co? To niemożliwe, żeby chciał się zabić. Rozmawiałam wczoraj z jego kolegami ze szkoły i z pracy i wszyscy zgodnie twierdzili, że był bardzo radosnym i energicznym chłopakiem. – Marię ogarnęła konsternacja. – Przecież nikt szczęśliwy nie popełnia samobójstwa, a Tomasz Rokoszyń nie miał powodów, by cierpieć, tak przynajmniej zeznawali ludzie, którzy go znali.

– I dlatego nie wiem, o co może chodzić. Spójrzcie... – Kuba podał członkom grupy po kilka wydrukowanych kartek z krótkimi opowiadaniem o śmierci i wierszami, których autorzy, jak mniemał, z pewnością cierpieli na depresję opamiętani przez myśli samobójcze.

Na kilka minut wszyscy zagłębili się w lekturze, zastanawiając się, czy Tomek był na tyle nieszczęśliwym nastolatkiem, by pragnąć zakończyć życie.

– Ja myślę, że to jest piękne – powiedziała niespodziewanie Żaneta.

– Wiersze o śmierci? – Maria się skrzywiła.

Żaneta zaczęła czytać i wszystkie twarze zwróciły się w jej kierunku:

– *W złym jarze człowiek bladej krtań nożem przecina...*

Więc cóż?

Sam przez się!... Własnoręcznie!... Mówią, że – Przyczyna!

Że – Nóż!

I mówią: „Chciał mrzeć, głupi! Słońce w twarz mu świeci...

Chciał mrzeć!” ...

A on wie, że ból z ciała wymknął się i leci!...

Leć – leć!...

– To Bolesław Leśmian i jego *Napój cienisty* – poinformowała. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę z tego, że wcale nie czytała. – Znam większość z tych wierszy, ale opowiadań nie kojarzę. Sądzę, że Tomek mógł je napisać sam – stwierdziła. – Ale to nie znaczy, że chciał się zabić. Przejawiał po prostu dużo większą wrażliwość od swoich rówieśników.

– To prawda – przyznała Kaśka. – Nastolatek, który zna taką poezję, a może i sam pisze opowiadania o śmierci, musi być bardzo wrażliwy. Czasem powoduje to poczucie bycia niezrozumianym, może nawet wyśmiewanym. Nadwrażliwi ludzie miewają problemy socjalizacyjne z uwagi na to, że często reagują zbyt silnie w stosunku do bodźca. Mówi się wtedy, że są nadreaktywni emocjonalnie. I nie chodzi tylko o reakcje na słowa rozmówcy czy jego czyny. Nieraz zdarza się, że osoby czujące mocniej, inaczej odbierają też zapachy, kolory czy smaki. Nie znaczy to, że muszą być nieszczęśliwe. Nawet jeżeli odczuwają silną potrzebę wzruszenia się tematem śmierci w literaturze. Niekiedy po prostu potrzebują wypuścić nagromadzony ładunek emocjonalny, a poezja im w tym pomaga. Ale żeby móc chociaż zbliżyć się do oceny wrażliwości Tomka i tego, jak sobie z nią radził, dobrze byłoby znać jego relacje z otoczeniem. – Spojrzała wymownie na Marię, dając do zrozumienia, że teraz jej kolej na zabranie głosu.

– No, dobrze sobie radził – odpowiedziała zdecydowanie. – Przepętałam jego trzech kolegów i dwie koleżanki z klasy. Jedną z nich jest właśnie ta Julka. Wszyscy twierdzą, że był szczęśliwym nastolatkiem. Lubił się angażować w społeczność uczniowską. Należał do trójki szkolnej, miał sporo inicjatyw. Ostatnio wywalczył postawienie automatu z przekąskami w budynku zajęć technicznych i wszyscy byli mu za to wdzięczni. Wcześniej musieli drałować do żabki pięćset metrów dalej, gdy naszła ich chęć na jedzenie. No i jeszcze jedna informacja, To-

mek czuł potrzebę stawiania w obronie słabszych i w jakiś sposób pokrzywdzonych. Nawet jeżeli ściągało to na niego kłopoty.

– Można powiedzieć, że był lokalnym bohaterem – podsumował Mirek.

– A miał przyjaciela? Albo kilku bliższych kolegów, z którymi się spotykał po szkole? Może jeździł na koncerty lub nad wodę?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo... – Pokręciła głową Maria.

– A wiecie, że mnie też nie – zdziwił się Kuba. – Przejrzałem wszystkie jego komunikatory, discordy, platformy do gier i maile. I moim zdaniem nie miał przyjaciela. Wielu kolegów, tak. Zwłaszcza wirtualnych, bo to dzisiejsze życie nastolatków toczy się często w necie, ale nie miał prawdziwego przyjaciela. Co w sumie jest dziwne, bo chyba każdy nastolatek kogoś takiego ma?

– Nie każdy – zaprzeczyła stanowczo Żaneta. – Niektórzy może bardzo by tego chcieli, ale przez swoją głęboką wrażliwość są dojrzalsi od rówieśników i często niezrozumiani, ale też sami wielu głupich, szczeniackich zachowań nie rozumieją i po prostu się dystansują. Trzymają uśmiech na twarzy, choć w środku kipią w nich różne, sprzeczne emocje, z którymi sobie nie radzą.

W pokoju nastała chwila ciszy. Chyba każdy zdawał sobie sprawę z tego, że Żaneta mówiła o sobie.

– A jak w pracy? – zadała w końcu pytanie Olga.

– Identycznie – odpowiedziała Maria. – Uczynny, zawsze uśmiechnięty, pracowity. Nie mogli się go nachwalić.

– No dobrze... – Katarzyna Sarnecka oderwała plecy od oparcia fotela. – A więc mamy tu obraz fajnego chłopaka. Wrażliwego, zaangażowanego społecznie i pracowitego. A jednocześnie nieco samotnego, choć stara się uchodzić za duszę towarzystwa. Myślę, że trapiło go wiele bolączek, o których nikomu nie mówił, ale nie wydaje mi się, żeby chciał popełnić samobójstwo. Choć bez obejrzenia pacjenta trudno stawiać jakiegokolwiek diagnozy.

– Też tak myślę – zgodziła się Olga. – Skoncentrowałabym się bardziej na wiadomości od ojca Julki. Kuba, zajmiesz się jego przesłuchaniem?

– Jasna sprawa. – Młody wyciągnął kciuk w górę na znak zgody. Zanim jednak wrócił do pracy na laptopie, spojrzął w oczy Żanecie. Wychwyciła jego wzrok i pierwszy raz od początku śledztwa nie uśmiechnęła się do niego, nie próbowała czarować. Dostrzegł w niej, czego nie widział wcześniej – człowieka, złożonego z pragnień, obaw i lęków. Takiego samego, jakim i on był.

– A teraz najważniejsze pytanie – zmieniła temat Olga. – Czy Tomasz Rokoszyń mówił komuś o swoich planach wyjazdowych? – zwróciła się do Marii. –

A może w historii przeglądarki były jakieś oferty pracy za granicą? Lub rozmawiał o tym z kolegami z netu? – Spojrzała bacznie na Kubę.

Oboje przecząco pokręcili głowami.

– Często mówił o pracy. Ale o tej obecnej. Nieraz pytał znajomych, czy nie mają do polecenia jeszcze jakiejś knajpy czy hotelu, ale z całą pewnością nie szykował się w najbliższym czasie do zarabiania za granicą – podsumował Kuba.

– W takim razie możemy z przekonaniem graniczącym z pewnością stwierdzić, że ojciec Tomasza kłamie i świadomie wprowadza nas w błąd. Tylko dlaczego? Czy jest odpowiedzialny za zniknięcie syna? A być może za jego śmierć? – wymawiając te słowa, Olga poczuła gęsią skórę na przedramieniu.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Każdy z nich zakładał taką ewentualność, ale potrzebowali czegoś więcej niż domysłów. Dowodów. Przez następne piętnaście minut rozmawiali o tym, czego dowiedziały się od księdza Olga i Kaśka. Ogrom informacji zebranych przez wszystkich członków zespołu zdawał się być przytłaczający, a mnożące się hipotezy śmierci Doroty i zaginięcia Tomka okazały się tak ze sobą sprzeczne, że trudno było przyjąć jeden tor na resztę śledztwa.

– Uważam, że nadal wszystko jest możliwe. Chociaż może faktycznie oddzieliłabym od siebie te dwie sprawy – zawyrokowała Olga.

– Też myślę, że małe są szanse na to, by te historie się ze sobą wiązały – przyznała Kaśka.

– Przepraszam, ale muszę wrócić do sprawy Doroty i namaszczenia chorych. – Mirek spojrzał na zegarek. Miał jeszcze tylko piętnaście minut przed spotkaniem z panią Joanną. Ponieważ jechała z daleka, nie chciał, żeby czekała. Tym bardziej z dzieckiem w żłobku. – Pytanie zasadnicze jest takie: dlaczego, do jasnej anielki, morderca namaszcza swoją ofiarę? Skoro ten sakrament ma uzdrawiać, a on wie, że ją zabije, to dlaczego to robi?

– O, nie! – załamała się Katarzyna. – Sama zadawałam sobie to pytanie, ale w twoich ustach to brzmi zupełnie inaczej. I nagle przyszły mi do głowy różne teorie, które mam wrażenie, jeszcze bardziej wyprowadzą nas na manowce. – Schowała twarz w dłonie i myślała przez chwilę.

– Jakie teorie? – zaciekawiała się Olga.

– Na przykład: może chce udowodnić Bogu, że jest od Niego silniejszy. Coś na kształt walki panów tego świata, Bóg kontra Szatan.

– Szatan, który został księdzem i służy Panu? Trochę to dziwne – stwierdził Kuba.

– No, nie wiem... – zaprotestował Mirosław. – Czy diabły to czasem nie są anioły, czyli słudzy Pana, które zeszyły na złą drogę?

– Racja – przyznała Kaśka.

– Stop, stop! – Olga wyciągnęła rękę w górę. – Słuchajcie, możemy tak bez końca. Tylko co nam to da? W tych sprawach i tak już za dużo jest wątków. Trzymajmy się faktów i dowodów, a potem pomyślimy nad tym, jak je ubrać w teorię. Bo inaczej się pogubimy... – Zaczynała odczuwać mętlik w głowie. Śledztwo prowadziła zaledwie od kilku dni, ale już zapragnęła odpoczynku. Albo chociaż kolejnej dobrej kawy.

– Szukanie sprawy przez szukanie motywu jest równie skuteczną metodą... – zauważyła Maria.

– Zgadzam się. – Olga zamknęła jej usta, jednocześnie przyznając rację. Nie było teraz czasu na takie dywagacje. – W takim razie delegujemy zadania: Maria, ty zajmiesz się szukaniem motywów. A konkretniej prześledź, proszę, wszystko, co istnieje w bazie na temat Patryka Rokoszyna. Skoro miał się z czego spowiadać, może znajdziemy to w aktach. Mirek, ty rozmawiasz dzisiaj z przyjaciółką zmarłej, postaraj się dowiedzieć o Dorocie jak najwięcej i skontaktuj się z jej rodziną.

Mirek przytaknął. Czuł się już dużo lepiej. Nawet głowa przestała go boleć.

– Musimy jeszcze sprawdzić okoliczne parafie. Która z nich w tym roku lub w zeszłym rozdawała dzieciom takie różańce. Dobrze byłoby też znaleźć księdza, u którego spowiadał się Rokoszyn, ale to wydaje mi się niemal nieosiągalne. W każdym razie postaram się obejrzeć okoliczne kościoły.

– Ja jestem dziś zajęta – oświadczyła pani psycholog, kiedy oczy Olgi padły wprost na nią. – Mam kilku pacjentów. Ale jutro będę do dyspozycji, jeżeli będziecie mnie potrzebowali. W międzyczasie pomyślę, jak rozgryźć te sakramenty i czy nie są to tylko wymysły chorej głowy.

– Okej – zgodziła się Olga. – Kuba, skoro Mirek spotyka się z panią Joanną, może sprawdziłbyś tego seryjniaka. Gdzie mieszka, czy ma pracę, czy melduje się u kuratora. A najlepiej wygospodaruj czas i jedź go przesłuchać.

– Się robi! – Zasalutował z uśmiechem.

– No dobrze, to wszyscy wiemy, co robić. Dziękuję wam za dziś. Myślę, że jesteśmy coraz bliżej rozwiązania tych zagadek – zakończyła, dodając im otuchy. W rzeczywistości dawno już nie czuła się tak bardzo w czarnej dupie jak teraz. Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim mogło chodzić...

Trzydzieści lat wcześniej

Spotykali się ukradkiem, w całkowitej tajemnicy przed światem. To Lila go o to prosiła. Nie chciała, żeby Roberta poinformowano, że zostawiła go dla innego, a co gorsza dla młodszego, słabszego i głupszego, jak często mówił o Perszingu. Nie dlatego, że się wstydziła, po prostu wiedziała, że Robert skrzyknąłby kolegów i spuściliby jej ukochanemu niezłe manto. Wyśmiewał się z niego i traktował jak niedorozwiniętego, ale w gruncie rzeczy zazdrościł mu bystrego umysłu i kochającej się rodziny.

Robert nigdy nie mógł sam decydować o sobie. Jego ojciec wyznaczył mu ścieżkę kariery już przy poczęciu i od tamtej pory skrupulatnie syna na niej trzymał. Szachy, narty, dodatkowe zajęcia z historii oraz lekcje francuskiego i angielskiego, olimpiada, koniecznie wygrana, i studia na najlepszej uczelni prawa w tym kraju. I jeśli syn dawał radę sprostać tym oczekiwaniom, to mógł liczyć na życzliwość i wsparcie ojca. Jednak pod koniec pierwszej klasy liceum Robert wyłamał się i zbuntował. Miał chęć i odwagę twierdzić, że prawo w ogóle go nie pociąga i brak mu już siły być zawsze najlepszym. Najpierw dostał od ojca wpierdół, a potem wybór: prawo albo medycyna. Równie dobrze mógł pakować manatki i od razu zamieszkać na ulicy. Wziął się w garść, odciął gromadzące się w nim emocje i stał się innym, lepszym, niezniszczalnym człowiekiem. Wzorowym uczniem, dumą i chwałą swojej rodziny, przyszlą gwiazdą palestry.

Tylko ona – jego dziewczyna – nie pasowała do idealnego obrazu, zgodnie z wizjami jego ojca. Pochodziła z patologicznej, rozbitej rodziny. Jej matka zwiłała z kochankiem, gdy córka miała cztery latka, a ojciec zaczął pić i pograżać się w rozpacz. W ramionach Roberta Lila czuła się kimś lepszym, wartościowszym, ale z czasem sama zaczynała zadawać sobie pytanie, czy jego miłość do niej jest prawdziwa czy to tylko przejaw buntu wobec ojca. Hm... faceci są żałośni, pomyślała i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Perszinga. Wszyscy mężczyźni, którzy odgrywali w jej życiu istotną rolę, byli z gruntu źli. A przynajmniej tacy się jej wydawali. Dziadek Bolesław pasjami bił babkę, ojciec alkoholik, od którego matka po prostu uciekła, co zrozumiała dopiero jako nastolatka, i Robert, w którym na początku pokładała tyle nadziei. Niestety, on też ją zawiódł. Wstydził się jej, nie zabierał na przyjęcia w domu, nie interesował jej emocjami i planami na przyszłość. Szukał w niej podporządkowanej, grzecznej i ułożonej

dziewczyny, którą będzie mógł się chwalić. Albo przynajmniej takiej, z którą będzie mógł uprawiać seks, kiedy po kłótni z ojcem poczuje potrzebę odreagowania.

Zostawiła go. Podeszła do niego tydzień temu i powiedziała, że to koniec. Zatrzymywał ją, krzyczał, groził, że zabije każdego jej kolejnego faceta, miała nawet wrażenie, że zobaczyła w jego oczach łzy. Ale musiała to zrobić. Robert nie był dla niej. Doskonale wiedziała, że nigdy nie stanie się częścią jego świata.

– Jesteś już...

Usłyszała radosny ton głosu Perszinga. Podeszedł do niej z bukietem zebranych na łące kwiatów. On był inny. Zupełnie inny od wszystkich znanych jej facetów.

– To dla ciebie. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Dziękuję. – Serce jej miękło na widok tego chłopaka. Był taki jak ona – dobry, wrażliwy i niedoceniany. Chłopcy z podwórka od zawsze się z niego śmiali. Nazywali niedźwiedziem – z powodu dużej, ciężkiej sylwetki, fajtlapą – bo zdarzało mu się być nieporadnym, zrzucić coś, gdy przechodził obok, i matosem – choć należał do najinteligentniejszych ludzi, jakich znała. Po prostu nie gwiazdorzył, nie pchał się na świecznik i nie pragnął być wielbiony jak Robert. Perszing po prostu był sobą. Czującym, delikatnym chłopakiem wspieranym przez rodziców, który ma swoje plany i marzenia. – Nie wiem, skąd wezmę tyle wazonów! – Zaśmiała się radośnie. – Sześć bukietów w sześć dni... – Spojrzała na niego figlarnie i złapała go za rękę.

Szli powoli przez las, muskając się dłońmi, ukradkowo się sobie przyglądając. Wiedziała, że Perszing jest nieśmiały i chyba nigdy wcześniej nie miał dziewczyny. To nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Planowała sama go ośmielić, wprowadzić w meandry bycia razem po dorosłemu. Dotykania nawzajem swoich ciał, głębokich spojrzeń, urywanych oddechów. A z drugiej strony bała się, czy będzie ją chciał. Skoro posiadał ją już inny, czy on nie uzna jej za zwykłą dziwkę nastawioną jedynie na seks? Dlatego choć bardzo pragnęła poczuć z nim cielesną bliskość, nie napierała. Była od niego rok starsza, choć wcale na taką nie wyglądała. Jej filigranowa, smukła sylwetka niemal znikała w jego silnych, rozbudowanych ramionach. Perszing stawał się dla niej wzorem idealnego faceta i nadzieją na normalność, o której tak bardzo marzyła. Chciała po prostu być kochana.

– Perszing... – Stała naprzeciwko niego i zajrzała mu w oczy. – Dokąd idziemy?

Zrozumiał, że nie chodzi jej o kierunek marszu, ale o ich wspólną drogę w przyszłość.

– Czemu nie mówisz do mnie po imieniu? – W jego ciemnych oczach pojawiły się smutek i tęsknota.

– Nie wiem... – zmieszała się. – Jakoś tak zawsze wszyscy na ciebie wołali i tak mi zostało.

Spostrzegła, że się wzdrygnął, że ta odpowiedź mu się nie spodobała, ale nic nie powiedział.

– Chcesz, żebym zwracała się do ciebie po imieniu? – spytała łagodnie i położyła mu dłoń na klatce piersiowej.

– A pamiętasz w ogóle, jak mam na imię?

Chyba sądził, że się nim bawi, że igra z jego uczuciami. Nie chciała, by tak o niej myślał.

– Wiem – powiedziała cicho.

Wspięła się na palce, a kiedy on się nieco pochylił, przybliżyła usta do jego ucha i wypowiedziała jego imię. Powoli, namiętnie i z lekkim drżeniem głosu. Jej ciepły oddech łaskotał go po wnętrzu ucha, przynosząc nieznany wcześniej dreszcz, rozchodzący się po całym ciele. W tym momencie uświadomił sobie, że czuje do niej coś niezwykłego. Był gotów zrobić dla niej wszystko.

Kornel zaklął na cały głos, kiedy ze znaczną siłą uderzył się młotkiem w palec.

– Ożeż...! – Tym razem się już powstrzymał. Chociaż córek nie było w domu, wołał nie wykształcać sobie złych nawyków. Wiedział, że ujawnią się w najmniej odpowiednim momencie.

– O, panie kierowniku – zawołał do niego majster montujący listwy przypodłogowe w korytarzu. – Pan lepiej zostawi ten młotek. Skończę tutaj, to przybiję, co trzeba.

– To większa konstrukcja jest... – Spojrzał na duży karton, dostarczony dziś rano przez kuriera. Drabinki do wspinaczki i do akrobatyki, zamówione już jakiś czas temu w prezencie dla Oli, leżały, czekając na zamontowanie. Drugi karton z podobnym ustrojstwem, ale w mniejszym wydaniu, ze zjeżdżalnią i domkiem Smerfetki, znajdował się w pokoju drugiej córki. Kornel za punkt honoru postawił sobie złożenie tego przed powrotem dziewczynek. Dopiero kiedy wpuścił fachowców od wykończeniówki umówionych na dzisiejszy poranek, zobaczył, ile jeszcze jest w domu do zrobienia. Co prawda, od poprzedniego razu sporo ruszyło się do przodu, szafy wnękowe stanęły wszędzie, gdzie powinny, do kuchni wjechały meble w zabudowie, a schody na górę pokrył parkiet, ale brakowało jeszcze wielu rzeczy. W żadnym z pomieszczeń nie było ościeżnic ani drzwi, jadalnia wciąż czekała na szklaną ściankę działową i porządne krzesła, druga łazienka praktycznie pozostawała w stanie surowym. Może, jak dobrze pójdzie, fachowiec zjawi się u nich w przyszłym tygodniu. I tak mieli szczęście, że tak szybko udało im się ogarnąć podstawowe sprawy.

– Kornel?! – Z dołu dobiegł go okrzyk Oli.

Zdziwił się. Był przekonany, że nie wróci przed szesnastą.

– A co tu się dzieje? – zapytała konspiracyjnie z szerokim uśmiechem na twarzy, kiedy zjawiła się w pokoju Oli.

– Tu się właśnie psuje niespodzianka – odpowiedział z udawanym oburzeniem.

– No nie, nie złość się, u mnie słowo droższe pieniędzy. – Zaśmiała się. – Jak obiecasz mi dzisiaj dobry seks, to słowa dziewczynkom nie pisnę – przyrzekła i w tej samej chwili usłyszała spuszczenie wody w toalecie. – Ktoś tu jest?

– Szefowa się nie martwi – uspokoił ją mężczyzna w roboczym kombinezonie. – U mnie słowo droższe pieniędzy. Mnie tu, że tak powiem, w ogóle nie ma. – Klęknął i zabrał się do swojej roboty.

Kornel z rozbawieniem uznał minę żony w tym momencie za bezcenną.

– Dobra, zbieraj się – zarządziła, gdy już pozbyła się rumieńców z twarzy.

– A gdzie się wybieramy?

– Przejechać się po kościołach.

– Co?

– No, chodź. Opowiem ci w aucie o wszystkim. Tak jak teraz być nie może. W domu nie rozmawiamy o pracy, w dzień nie ma mnie, a w nocy ciebie. A za chwilę wracasz do Niemiec. Tak po prostu nie może być! Ba! Powiem więcej, takie życie grozi rozwodem!

– O, nie, moja droga. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy ratować nasz związek.

– Właśnie – powiedziała z powagą. – Czekam na ciebie w aucie.

Wiedziała, że nie powinna zabierać ze sobą Kornela. To wbrew procedurom. Może Michalik nie wydarłby się na nią o to, ale na pewno nie byłby zadowolony. No, chyba że taka wyprawa miałaby przekonać Kornela do powrotu do służby, ale na to się nie zanosilo.

– Mam nadzieję, że pan Staszek da sobie radę z montażem – wyraził nadzieję, wsiadając do auta.

– Na pewno nie tak dobrze, jak ty byś to zrobił, kochanie, ale musimy mu zaufać – zażartowała i opowiedziała mu wszystkie nowości ze śledztwa.

– Chcesz odwiedzić wszystkie pobliskie kościoły? – zapytał podejrzliwie, kiedy skończyła.

– Masz lepszy pomysł? – rzuciła zawadiacko.

– Może roześlemy zdjęcie różańca mailem i spytamy, w której parafii rozdawali właśnie taki?

– Kornel, nie urodziłam się wczoraj, już to zrobiłam. – Spojrzała na niego z góry.

– I?

– I od razu odpowiedziała mi parafia w Sosnowce. Ksiądz Mateusz rozpoznał różaniec. Nie wiem dlaczego, ale powiedział, że na dziewięćdziesiąt procent należy do któregoś wiernego z jego parafii. Ale chciał, żebym przywiozła go osobiście.

– Ciekawe. No, żono, zaintrygowałaś mnie. Cała ta sprawa wydaje się dosyć nieszablonowa.

– Wiem – spoważniała. – Boję się, że niepotrzebnie czepiamy się wszystkich możliwości. Jakbyśmy nie wiedzieli, które kropki ze sobą połączyć, żeby powstał obraz mordercy.

- Olga, jak zwykle jesteś nadambitna. To nikomu nie służy. Musisz wyluzować. Znasz takie duże sprawy, które rozwiązały się w trzy dni?
- Nie – przyznała mu rację.
- Właśnie. Trochę dystansu i wszystko się w końcu złoży do kupy. Dostaliście już raport od techników?
- Nie. O cholera, zapomniałam do nich zadzwonić, żeby zapytać, czy już coś ustalili. – Przejechała palcem po telefonie przyczepionym do chwytaka i wyszukała numer laboratorium. – Cześć, tu Balicka, macie coś w sprawie dziewczyny z bursy?
- Cześć, Olga. – Usłyszeli ciepły głos laborantki Jagody. – Właśnie kończymy. Została jeszcze analiza składu materiału.
- Jakiego materiału? – zaciekała się.
- Znaleźliśmy mały strzępek odzieży zahaczony o pręty płotu. Nie wiem, czy to ci się przyda. Może należeć do każdego, niekoniecznie do zabójcy, ale a nuż w czymś pomoże. Dam ci znać, gdy puszczę raport mailem.
- Poczekaj. – Chciała wyjaśnić przynajmniej jedną rzecz. Gdyby się potwierdziła, dałaby jej nadzieję na dobry trop. – Czy ten materiał jest czarny?
- Tak – przyświadczyła z ekscytacją Jagoda. – Coś ci to mówi?
- Mam nadzieję, że tak.
- Słuchaj, jeżeli okaże się, że to z ubrania zabójcy, to będziemy mieli też jego odciski butów. Co prawda, na terenie było ich sporo, ale całkiem dobrze zachowały się te w błocie przy ogrodzeniu. Dokładnie w miejscu, w którym znaleźliśmy ten strzępek. Ale tak jak mówię, musisz jeszcze chwilę poczekać. Odkąd pracujemy w nowym laboratorium z nowoczesnym sprzętem, przysyłają do nas sprawy z całego województwa. Chyba nawet Wrocław ma mniej roboty od nas – poskarżyła się.
- Dobra, na spokojnie. Rób swoje i daj znać, jak już będziesz gotowa. Cześć!
- No, no, no! – niemal wykrzyknął Kornel. – Czyżby tym razem morderca nie zachował odpowiedniej staranności i zostawił wam tyle wskazówek?
- Mnie też wydaje się to dziwne – zmartwiła się.
- Ja tego nie powiedziałem. Co jest? – Nie mógł wyczuć jej nastroju.
- W dzisiejszych czasach to się rzadko zdarza, prawda? Żeby ktoś, mając tyle czasu, bo prawdopodobnie ciało leżało kilkadziesiąt godzin, nie posprzątał po sobie.
- Może nie jest tak inteligentny, jak się wydaje?
- A może podrzuca nam tropy specjalnie, żeby zrzucić na kogoś podejrzenia?

– A może za dużo kombinujesz?

– To znaczy?

– Olga, odpuść trochę. Nie ma morderstw doskonałych. Zawsze są jakieś ślady, tylko nie zawsze znajdujemy je od razu. Ale czasem po prostu tak się zdarza, że idziesz po nitce do kłębka i tyle.

– Nie wiem. Może tak, może nie.

– Ej, co jest? – Zatrzymał auto i zjechał na pobocze. Chwycił jej zimną dłoń i spojrzął na żonę z troską. – Nie za bardzo chcesz?

– Kornel, to zwyczajnie presja. To moje pierwsze samodzielne śledztwo o zabójstwo, odkąd odszedłeś z policji, i mam wrażenie, że wszyscy patrzą mi na ręce. Czuję się znowu jak w pierwszych latach pracy w policji, kiedy musiałam wszystkim udowodnić, że jestem coś warta, i po prostu nie mogę tego zepsuć – wyrzuciła z siebie.

– Nie zepsujesz – zapewnił ją. – Jesteś najlepszą policjantką, jaką znam – powiedział poważnie, ale ona tylko się zaśmiała. – Serio. Ale nie możesz brać na siebie takiej odpowiedzialności. I nikomu nie musisz nic udowodniać. Każdy, kto cię zna, wie, jak pracujesz. Wyluzuj. To wszystko siedzi w twojej głowie.

– Nie zamieniłeś się czasem z Kaśką na profesję? – zażartowała.

– Mówisz, że taki ze mnie dobry psycholog?

– Dobry psycholog wytłumaczyłby ci, że w wypowiedzi wszystko przed „ale” traci znaczenie.

– Co? – nie skojarzył.

– Nie „co”, tylko powiedziałaś, że jestem dobrą policjantką, ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Skoro racjonalne argumenty nie podziałały, musiał użyć innych. Może to odniesie pożądany skutek.

– No dobra, przekonałeś mnie – skapitulowała ze śmiechem, kiedy ich usta się rozdzieliły. – Mam nadzieję, że dzisiaj dziewczynki szybko pójda spać.

— — —

Podjeżdżając na miejsce, zobaczyli czekającego już na nich księdza.

– Ojciec Mateusz. – Podał rękę najpierw Oldze, potem Kornelowi. – Zapraszam na plebanię. Przygotuję herbatę.

Był mężczyzną koło pięćdziesiątki, z rubaszną twarzą i mocno zaokrąglonym brzuchem. Wydawał się łagodny, sympatyczny i zaangażowany we wszystko, co robi. Nawet herbatę zaparzał z czasomierzem.

– Przy zielonej herbacie bardzo ważna jest temperatura i czas parzenia – wyjaśnił, widząc ich miny, kiedy wyszedł z kuchni. – Wiedzieli państwo, że trzymając susz w temperaturze od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu stopni pod przykryciem dwie do trzech minut, otrzymamy efekt pobudzający, za to gdy przytrzymamy od czterech do sześciu minut, efekt będzie wręcz przeciwny, uspokajający?

– Interesujące – przyznał Kornel. Choć doskonale się w tym orientował, chciał nawiązać z proboszczem nic porozumienia. – Widzę, że zna się ksiądz nie tylko na sprawach kościelnych.

– Lubię herbaty – odparł skromnie. – To jaki efekt chcecie państwo uzyskać?

– Uspokajający – poprosił Kornel.

– Pobudzający – w tym samym momencie zażądała Olga.

– Tak... Od razu widać, że jesteście państwo małżeństwem – zażartował. – Jak już mówiłem, lubię herbaty. Poza tym, co doskonale widać, lubię też zjeść. – Zachichotał. – I czego może nie widać, hoduję warzywa i zioła. Takie hobby.

– To może ja zdecyduję się jednak na czarną – powiedział Kornel, a ksiądz z dobrodusznym wyrazem twarzy wrócił do kuchni po parzące się tam napoje. Jedną z herbat wylał do zlewu, dokładnie opłukał kubek i wrzucił do niego zwykłą ekspresówkę Liptona. Wiedział, że to chłam, ale skoro jego gość sobie taką życzył, nie miał zamiaru mu jej odmawiać. Po minucie był już z powrotem, z tacą z parującymi kubkami.

– Bardzo zacne hobby – wróciła do tematu Olga, rozglądając się po pokoju. – Przywiozłam różaniec. – Wyciągnęła z torebki foliowy worek w zawartością. – Będę wdzięczna, jeżeli będzie go ksiądz oglądał, nie wyciągając.

– Oczywiście, oczywiście. – Zanim wziął go w ręce, sięgnął po okulary leżące na komodzie. – Tak jak myślałem – oświadczył, pochylając się nad interesującym go elementem. – Proszę spojrzeć. Od razu zauważyłem to na zdjęciu w mailu, ale musiałem się upewnić co do wzoru. Kwiat koniczyny wybity w metalu. Mały, niemal niezauważalny, ale jednak dla kogoś, kto nie wie, czego szukać. To wyrób Sacrum Astorum, małej rodzinnej firmy wytwarzającej dewocjonalia na Podkarpaciu. Od pięciu lat zamawiamy u nich różańce. Z tego, co się orientuję, jako jedyni na Dolnym Śląsku. Zazwyczaj parafie korzystają z dużych hurtowni lub mniejszych lokalnych firm. Ale że ja z Podkarpacia pochodzę, to wspieram choć tak swoich. – Uśmiechnął się niemal przepraszająco. – Może też powinienem zamawiać lokalnie... – Zamyślił się.

– Jest ksiądz pewien, że w żadnym innym kościele nie rozdają dzieciom takich różańców? – Olga wolała się upewnić.

– Mogę dać państwu numer do właścicielki, Barbary Azorskiej, zapytacie obojczyce, czy coś się zmieniło. Ale nie wydaje mi się, żeby ktoś stąd od niej kupował.

– Będziemy wdzięczni – przyznała zadowolona. – Czy ksiądz jest tu sam? W sensie, czy ksiądz pracuje sam czy są tu jeszcze inni księża? – Skoro trafili na odpowiednią parafię, być może zabójca gdzieś tu był. Poczwała nagły przypływ adrenaliny.

– Jest jeszcze dwóch innych księży. Ojciec Fabian, starszy, schorowany, już prawie nie służy do mszy, i ojciec Grzegorz. Ale on jest obecnie niedostępny. Niestety doświadczają osobistych problemów i prosiłbym o pozostawienie go w spokoju.

– Przepraszam za głupie pytanie, ale jakie problemy osobiste może mieć ksiądz? Rozumiem, że należycie do Kościoła rzymskokatolickiego, a więc nie możecie założyć rodziny, prawda? – zadał pytanie celowo nieco nieuprzejmym tonem. Wkurzało go, że księży traktowało się jak święte krowy. W stosunku do normalnego Kowalskiego nie obchodziłoby ich, czy ma problemy czy nie. Gdyby zaszła taka potrzeba, po prostu by go przesłuchali.

– Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i doświadczamy tragedii – odpowiedział spokojnie ksiądz. – Niedawno stracili siostrę i brat księdza Grzegorza nie może sobie z tym poradzić. Żaden z nich nie może.

– Przykro mi... – Kornelowi naprawdę zrobiło się głupio.

– Będę z księdzem szczerą. – Olga postanowiła odsłonić karty. Uznała, że już najwyższy czas. – Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. Ofiarą jest młoda dziewczyna i wszystko wskazuje na to, że ktokolwiek jej to zrobił, albo jest księdzem, albo udaje księdza. – Spojrzała na minę proboszcza, która najpierw wyrażała smutek, a potem zdziwienie.

– Niech spoczywa w pokoju. – Przeżegnał się. – Ale nie sądzę, żeby to mógł być ksiądz. A już na pewno nie od nas – dodał.

– Skąd ta pewność? – dopytał Kornel. – Skoro wiemy już, że różaniec znaleziony przy zwłokach pochodził z księdza parafii? A świadek widział księdza przy zwłokach. To skąd ta pewność?

– My jesteśmy sługami Boga, nie Szatana – odpowiedział powoli. – Ale wiem już, dlaczego mogą państwo myśleć, że to ktoś z nas – zauważył, coś sobie przypominając. Wstał z krzesła i podszedł do regału z książkami. Wyciągnął duży notes zatytułowany Spis inwentarza i pokazał im notatkę sporządzoną na początku października. – Proszę spojrzeć. Ze sznura w ogrodzie została ukradzioną jedna

sutanna. Ta jesień jest wyjątkowo ciepła, więc często suszymy ubrania na zewnątrz.

— — —

– Kurwa mać! – siarczyście zakłęła Olga, uderzając jednocześnie w kierownicę.

– Spokojnie – uciszał ją Kornel.

– Jak mam być spokojna? Znowu ślepy strzał! Kręcimy się w kółko. Każdy mógł podwędzić tę czarną kieckę i różaniec z parafii. No, szlag mnie trafi. I oczywiście nigdzie nie ma kamer, a proboszcz jest taki gościnnie, że nigdy nie zamyka drzwi, ufając swoim parafianom. No, Kornel! – Walnęła jeszcze raz w kierownicę, tym razem odczuwając nieprzyjemny ból rozchodzący się po całej ręce. – Aua! – Potarła ją.

– Spójrz na to z innej strony. Jesteś już coraz bliżej rozwiązania.

– Poczekaj, mam nieodebrane od Mirka. – Miała dosyć tego, że ciągle ją pocieszał. Woląła, kiedy sam się wkurzał, prowadząc sprawę. Zapomniał już, jakie to są emocje? Jak to możliwe, że przez dwa miesiące tak bardzo się zmienił? A może on zawsze taki był? Ostoja spokoju, kiedy w niej emocje buzowały jak lawa w wulkanie? Chyba tak.

– Dobra, oddzwon. Widzę, że cię nie przekonam.

– Mów – poleciła krótko po nawiązaniu połączenia.

– Dorota Ziółko, mamy potwierdzenie. Chciałem czekać na ojca, ale pani Joanna uparła się, że musi ją zobaczyć, że chce zidentyfikować zwłoki.

– Okej, dobrze, że chociaż to nam się potwierdziło – westchnęła.

– Pani Joanna utrzymuje, że jej przyjaciółka wyjechała z Wrocławia tydzień temu w poniedziałek. Miała urlop i postanowiła zrobić babci niespodziankę – przyjechać do niej na tydzień. Nie dostaliśmy zgłoszenia o zaginięciu, bo babcia nic nie wiedziała o planach wnuczki, a dziewczyny pokłóciły się przed wyjazdem i nie pisały do siebie przez parę dni. Potem pani Joanna chciała się skontaktować z Dorotą i się pogodzić, ale telefon tamtej był już wyłączony. W ferworze zajęć domowych nie przykładła do tego aż tak dużej wagi. Czekwała po prostu na jej ruch. Kiedy wczoraj kuzyn policjant zadzwonił do niej z informacją, że kobiety podobnej do Doroty szuka niejaki podkomisarz Zagórski, pani Joanna skontaktowała się ze mną.

– Czyli miała tu rodzinę. A gdzie się wychowywała?

– Ona już we Wrocławiu, ale jej babcia i ojciec to rodowici jeleniogórzanie. Co do ojca, to już do niego dzwoniłem. Jest załamany. Prawdopodobnie przyjedzie jeszcze dziś w nocy.

– Wiemy coś jeszcze? – wtrącił się Kornel, jakby też uczestniczył w tym śledztwie. W sumie nie był do niego przypisany tylko formalnie. – Zamierzała się z kimś spotkać? Poznała kogoś nowego w ostatnim czasie?

– No właśnie to jest najciekawsze. Napisał do niej jakiś dawny kolega. Jeden z dzieciaków, z którymi bawiła się na podwórku, kiedy przyjeżdżała do babci. Rozumiecie, na blokowisku jest pełno dzieci. Wysłał swoje zdjęcie, ale Dorota go nie pamiętała. To znaczy pani Joanna mówi, że faktycznie był wśród nich jakiś Maciek, ale nie poznała go jako dorosłego mężczyzny. W każdym razie zaczęli do siebie pisać i w końcu postanowili się spotkać przy okazji odwiedzin babci. Ponoć bardzo mu zależało.

– Mamy jego numer?

– Niestety, nie. Gdybyśmy znaleźli jej rzeczy, byłoby dużo prościej.

– Dobra, znamy jej personalia, a to najważniejsze. Teraz będzie już dużo łatwiej. Zadzwoń do prokuratora z prośbą o nakaz. Musimy ustalić jej numer i pobrać bilingi rozmów oraz wiadomości tekstowe.

– Będę jeszcze dziś potrzebny? – zapytał Mirek.

– Nie, jedź do domu. Zajmij się Otylią i wypocznij. Spotkamy się jutro o ósmej na odprawie. Ja też na dziś kończę.

Kuba Zdanowicz czekał w aucie. Po ustaleniu adresu zamieszkania Hieronima Włodawskiego i kontakcie z jego kuratorem wiedział już dwie rzeczy. Po pierwsze, facet wrócił na stare śmieci, po drugie, melduje się regularnie w wyznaczonych terminach i na razie nie daje powodów do obaw. „Stare śmieci” to jednak źle ujęte, pomyślał policjant, spoglądając przez boczną szybę na nowoczesny dom jednorodzinny u granic miasta. Zdecydowanie różnił się od pozostałych przy tej ulicy. Był połączeniem minimalizmu i ekstrawagancji, onieśmielał. Kiedy jechał tutaj, Kubie wydawało się, że będzie przesłuchiwał w jakiejś spelunie, starej, zaszczonej kamienicy czy blokowisku, gdzie wszyscy mieszkańcy kotłowali się na swoich trzydziestu paru metrach. Jakże się zdziwił na widok tej rezydencji. Jak to możliwe, że tacy zwyrodnialcy żyją sobie w wypasionych chatach, a jego – porządne gline – stać jedynie na wynajem niewielkiej kawalerki.

Włodawskiego nie było w domu, więc Kuba czekał. Musiał z nim porozmawiać. Pogrążył się w rozmyślaniach, ile pięknych i wymagających dziewczyn mógłby do siebie zaprosić, gdyby tak mieszkał. Nie, żeby teraz spotykał się tylko z niewymagającymi, ale wiadomo, że przy skromnych możliwościach wybór ma się ograniczony.

Musiał na chwilę przysnąć, bo kiedy otworzył oczy i spojrzął w stronę budynku, zobaczył światła na parterze. Otarł z kącika ust ślinę, przetarł oczy i przeciągnął się na tyle, na ile pozwalało mu wewnątrz jego starej fabii. Wyszedł z auta i nacisnął czarny przycisk na domofonie. Ku jego zdziwieniu nikt nie zapytał: „Kto tam?”, a furtka po prostu się otworzyła. Poczł niepewność, a jakieś dziwne, irracjonalne uczucie paraliżowało go od środka. Zrobił trzy kroki i wtedy go zobaczył. Hieronim Włodawski stał w progu, ubrany w elegancki, szary garnitur. Jego nienaganna fryzura biznesmena-amanta doskonale korespondowała z postawą ciała i pewną siebie miną. Nie tak zapamiętał go z akt. Kuba wiedział, że Włodawski jest bardzo młody. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata, a w chwili popełniania morderstw dwadzieścia dwa. Ale zdjęcie zrobione mu w pierdlu w żaden sposób nie odpowiadało rzeczywistości. Teraz facet bardziej przypominał członka palestry, bywalca pięciogwiazdkowych hoteli czy człowieka sukcesu.

– Dzień dobry – powiedział pośpiesznie, nie zatrzymując się. – Aspirant Jakub Zdanowicz, Komenda Miejska Policji w Jeleniej Górze. – Pokazał odznakę.

Na twarzy mężczyzny pojawił się jedynie lekki grymas. Nie strachu czy zdziwienia, ale uśmiechu. Pewnego siebie, gardzącego rozmówcą i niemal figlarnego.

– Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Oczywiście. – Otworzył szeroko masywne drzwi, zapraszając policjanta do środka. – Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty? Może whisky? – zapytał, podnosząc ze stolika w salonie szklankę z bursztynowym napojem.

– Dziękuję, nie. – Zdanowicz rozejrzał się po pokoju, próbując ukryć onieśmienie.

– Niech się pan dobrze zastanowi. Kilka godzin siedzenia w aucie może człowieka zmęczyć. Może chciałby pan skorzystać z toalety? – mówił spokojnym tonem, niemal afektowanym, jakby celebrował każde słowo.

Musiał obserwować go z okna. Być może był cały czas w domu, tylko nie chciał mu wcześniej otworzyć. Jakuba zmroziło jego spojrzenie. Zimne, jasnoniebieskie oczy przewiercały go na wskroś. Studiowały każdy zakamarek jego duszy. Poczł się jak zwierzyna obserwowana przez lwa. Podziwiana i pożądana, jeszcze przez chwilę bezpieczna, ale już skazana na śmierć.

– Dziękuję, nie. – Otrząsnął się z letargu, w jaki wprawiło go spotkanie z tym człowiekiem. To on jest tu policjantem i jeżeli ktoś ma na kogoś polować, to role zdecydowanie powinny się obrócić. – Powiem wprost. Prowadzimy sprawę zabójstwa młodej kobiety. Dziewiętnastoletniej Doroty. – Poczekał na jakąś reakcję. Minimalną zmianę wyrazu twarzy, drgnięcie mięśni, cokolwiek.

– Czy Dorota była blondynką? – zapytał z zainteresowaniem Hieronim i rozsiadł się wygodnie na skórzanej kanapie.

– Tak – przyznał Zdanowicz. Przemknęło mu przez myśl, że Włodawski doskonale wie, o kogo chodzi.

– Biedna, mała blondyneczka, uduszona gdzieś w Jeleniej Górze... – Potarł palcem brzeg szklanki z drinkiem w taki sposób, że wydobył się z niej wysoki, niemal piskliwy dźwięk.

– Słuchaj, skurwielu. – Policjant poczuł nagły przypływ gniewu, ale zdołał się w porę opanować. – Skąd wiesz, że została uduszona? – zapytał tylko. – Ty jej to zrobiłeś? – Wyciągnął fotografie ofiary i rzucił na stolik.

– Piękna... – Hieronim pochylił się nad zdjęciami. Przez jego ciało przeszedł przyjemny dreszcz podniecenia. Delikatna, porcelanowa cera, zapewne krągłe, jędrne piersi – zmrużył oczy, próbując wyobrazić sobie, jak mogło wyglądać jej ciało. Kochał młode, kobiece ciała. Wielbił je całym sobą. – Czy gdyby nie była blondynką i nie została uduszona, przyszedłbyś do mnie?

Zdanowicz przyznał w duchu, że zareagował jak szczył, którym zapewne był. Jak młody, jurny i niedoświadczony policjant, dający się wyprowadzić w pole rozmową z cholernym psychopata. Włodawski miał rację. Nie musiał nic wiedzieć o ofierze, nie musiał być tym, kogo szukali. Po prostu dobrze kojarzył fakty.

Najbardziej przerażało jednak to, że ewidentnie podniecały go takie widoki. A to zwiastowało jedno – nadal stanowił niebezpieczeństwo i nadal mógł chcieć zabić. Tylko tym razem zrobi to tak, żeby go nie złapano.

– Wiesz, co nie zgadza się na tym obrazku? – zapytał nagle Hieronim.

– Co?

– Ta mała została uduszona rękoma. A ja duszę liną, taką do wspinaczki. Najlepiej seledynową o średnicy dziesięć milimetrów. Mam wtedy wrażenie, że kiedy robię sobie mały wyskok w Tatry, te dziewczyny są tam razem ze mną. – Po jego twarzy przeszedł lubieżny uśmiech – celowo nie używał czasu przeszłego. Chciał wprowadzić przeciwnika z równowagi.

– Ty skurwysynu – rzucił przez zaciśnięte zęby Kuba. Nie lubił przeklinać, ale to był jeden z tych momentów, kiedy po prostu nie znajdował innych słów.

– A, a, a! – Pomachał mu palcem wskazującym Włodawski. – Przypominam, że ja odsiedziałem już swoje, a ty jesteś gościem w moim domu. Więc jeżeli to wszystko... – nie skończył zdania.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie byłeś w nocy ze środy na czwartek w zeszłym tygodniu?

– Tutaj, w moim domu – odpowiedział spokojnie.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Hm... Niech pomyślę? – Zbliżył palec do ust, udając, że się zastanawia. – Jedna mała blondyneczka. Jestem pewien, że tobie też by się spodobała. Niezła dupcia. – Uśmiechnął się. – A ty nie wyglądasz mi na takiego, co gardzi pięknem.

– Potrzebuję jej numeru – zażądał, powstrzymując emocje. – Uważaj, Włodawski, będziemy mieć cię na oku. – Włożył do kieszeni kartkę z numerem telefonu dziewczyny.

– Wyluzuj. Nigdy nie morduję tych, które rucham – odparł z powagą, jakby wygłaszał wykład do profesorów medycyny.

I ta powaga przerażyła aspiranta jeszcze bardziej niż wcześniejsze lubieżne spojrzenia. Czuł, że Włodawski mówi prawdę, że planuje kolejne morderstwo, ale nie mógł nic z tym zrobić. Facet odsiedział swoje i według prawa był wolnym człowiekiem. Kiedy Zdanowicz wychodził, jego wzrok padł na zawieszoną na haczyku w przedpokoju linę. Była seledynowa i z pewnością o średnicy dziesięciu milimetrów.

Po kolacji udali się na rodzinny spacer. Pogoda nadal dopisywała i chociaż temperatury z dnia na dzień były coraz niższe, to najważniejsze, że nie padało. Wiatr w ostatnich dniach niemal całkowicie pozbawił drzewa liści i kiedy szli osiedlową aleją, oświetloną pomarańczowym światłem latarni, dziewczynki mogły radośnie się nimi obrzucać.

– Dobrze, że jesteś. – Olga przytuliła się do ramienia męża. – Dajesz mi chwilę wytchnienia i pokazujesz, że musimy zachować równowagę pomiędzy pracą a domem.

W odpowiedzi przystanął i pocałował ją w czoło, a ona zachichotała.

– Co jest? – zaciekawił się.

– Chyba się zestarzałam – odpowiedziała, choć zabrzmiało, jakby mówiła do siebie.

– Dlaczego?

– Kiedyś obruszyłam się, że z czułością całujesz mnie w czoło zamiast z żarem, pasją i namiętnością w usta, od których nie mógłbyś się oderwać. – W jej oczach pojawił się błysk. – A dziś mi się to podoba. Czuję płynący z tego spokój i poczucie bezpieczeństwa.

– Wiesz... – Spojrzała na nią, a potem zerknął na bawiące się w liściach córki. – Jak tylko będziesz potrzebowała pasji, żaru i namiętności, to ja bardzo chętnie ci ich dostarczę. – Objął ją w pasie i przysunął mocniej do siebie. Wyczuł ciepło jej ciała.

– Coś mi się wydaje, że po tym spacerze dziewczynki szybko pójną spać. – Zażądała się konspiracyjnie. – Popatrz, czy to nie pani Milena?

Z ciemności wyłoniły się dwie niewyraźne postaci. Ulica Księżycowa nie była oświetlona i Olga raczej unikała chodzenia tamtędy z dziećmi.

– Kto? – Kornel zmrużył oczy, aby lepiej się przyjrzeć.

– No, opowiadałam ci o niej. Mieszka w tym bordowym domu, przy granicy z terenem bursy – wyjaśniła. – Dzień dobry! – Uśmiechnęła się przyjaźnie, kiedy kobieta z córką podeszły do nich.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Milena Rogalska, przystając. Nie chciała poprawiać, po prostu był już wieczór. Zdawała się nie rozpoznawać Balickiej, ale w końcu udało jej się skojarzyć twarz z nazwiskiem i zawodem. – Pani komisarz? – upewniła się. Widok Olgi z rodziną jakoś nie pasował do jej wyobrażenia o stróżach prawa. – Pani tu mieszka? – zdziwiła się.

– Tak. – Olga znowu obdarzyła ją uśmiechem, a jeszcze większy posłała małej dziewczynce trzymającej w ramionach ogromnego misia. – Jaki piękny, duży niedźwiadek. – Kucnęła i pogłaskała pluszaka. – Jak się nazywa? – Zakręciło jej się nagle w głowie i z całych sił starała się złapać równowagę. Udało się.

– Szaman – odpowiedziała szeptem mała piękność o kręconych, blond włoskach. Było w jej spojrzeniu coś przenikliwego, co sprawiło, że Olga poczuła się nieswojo. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Przecież to tylko dziecko. Może nieśmiała, może trochę wstydlive, ale na pewno niepróbujące wprowadzić rozmówcy w konsternację. Dziwny dreszcz rozszedł się po ciele Olgi.

– Szaman to bardzo ładne imię. Sama go tak nazwałaś?

– Nie – oznajmiła z powagą. – Babcia mi podpowiedziała.

– Tamara, nie mów głupot! – Matka szarpnęła lekko córkę. – Przepraszam. Moja mama zmarła, gdy mała miała pół roku, ale dzieci lubią sobie wyobrażać różne rzeczy – tłumaczyła, starając się zachowywać naturalnie, na jej twarzy pojawił się nawet wymuszony uśmiech.

– Babcia mi podpowiedziała – powtórzyła dziewczynka, cały czas patrząc przenikliwie na Olę.

– Mogłabym o coś zapytać? – Olga spojrzała na męża, który odszedł pobawić się z córkami, gdy tylko przywitał się z sąsiadką. Nie chciała, żeby słyszał o jej nocnej eskapadzie. Nie powiedziała mu prawdy, bo byłyby na nią zły. Tamtej nocy, kiedy wróciła poobijana do domu, sprzedała mu historyjkę, że spadła ze schodów, wracając z toalety. Uwierzył, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie zamierzała go niepokoić.

– Tak? – Milena Rogalska zdawała się być zniecierpliwiona. Może nawet lekko zdenerwowana. Przeszępowała z nogi na nogę. – Przepraszam, jest już późno. Muszę położyć córkę spać.

– Tylko jedno pytanie – zatrzymała ją. – Dwie noce temu na terenie bursy goniłam człowieka podejrzanego o... zabójstwo – ściszyła znacząco głos. Nie tylko ze względu na Kornela, ale też i na obecność dziewczynki. – Widziałam w pani domu postać w oknie – powiedziała niepewnie. – Chciałam zapytać, czy to nie pani nas obserwowała i czy może spostrzegła pani coś, co może mi pomóc?

Kobieta zacisnęła usta i chwyciła mocniej córkę za rękę.

– Niestety, nie. Każdej nocy śpię jak zabita. Mieszkamy same, więc musiało się pani coś wydawać – oświadczyła stanowczo.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała Olgi. Może nie wyczuła w niej kłamstwa, ale miała przeświadczenie graniczące z pewnością, że Milena Rogalska coś ukrywa. Pytanie tylko, co i czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą?

– Proszę pani...

Olga poczuła lekkie szarpnięcie za kurtkę. Spojrzała w dół, prosto w szeroko otwarte oczka o niewinnym wyrazie.

– Tak, kochanie? – Pochyliła się nad dzieckiem.

– Chce pani cukierka? – Na małej rączce leżała karmelowa krówka.

– Dziękuję. – Odwinęła papierek i zjadła ciągutkę z wielką przyjemnością. Uwielbiała wszystko, co karmelowe.

– Powiedzieć pani wierszyk? – zapytała z przejęciem mała.

– Pewnie. – Olga kucnęła i delikatnie uśmiechnęła się do tej ślicznej istotki, która w niewytłumaczalny sposób budziła w niej lęk. Ale przecież była tylko małym dzieckiem. Więc zgodnie z wyuczonym modelem postępowania wobec małych dziewczynek pozostała w stosunku do niej miła i zaangażowana w rozmowę.

Tamara zbliżyła usta do jej ucha, a każde słowo przedzierało się do umysłu Olgi, coraz bardziej zwiększając przerażenie.

– Lila, Adusia, a nawet Basia, łapią motylki, wączają kwiatki, bawią się w berka już od trzech dekad, wciąż myląc tropy i gubiąc wątki. W niebie jest pięknie, Pan Bóg je stworzył. Bujna przyroda wciąż tam rozkwita. Doris niedługo kogoś przywita...

Całą noc męczyły ją koszmary. Wierciła się na łóżku, a każdy jego centymetr zdawał się ją uwierać. Błądziła między jawą a snem. Czowała zimne dreszcze i oblepiający pot. Kornel co jakiś czas próbował ją obudzić i uspokoić. Pierwszy raz, odkąd sięgała pamięcią, jego dotyk ją bolał. Był nieprzyjemny i powodował rozchodzące się po całym ciele zimne prądy. Przed oczami miała ciemność i jakiś dym. Mgła? Nie, ten dym śmierdział spalenizną. Znajdowała się w lesie. Starala się rozejrzeć dookoła i zlokalizować jakieś znane jej miejsce, ale nie była w stanie. Ciężkie powieki opadały, a gałki oczne bolały tak, jakby płonęły żywym ogniem. Kręciło jej się w głowie i bała się, że zaraz upadnie. Ostatkiem sił spojrziała na podniesione do twarzy dłonie. Trupio blade, trzęsące się z zimna i odrętwiałe, jakby nie jej własne. Między palcami cienkimi, wijącymi się strużkami przelatował dym. Przeraziła się. Gdzie jest? Co się z nią dzieje? Czyj śmiech dochodził z oddali? Słyszała go nieregularnie. Czasem odbijał się od pni niesiony podmuchami porywistego wiatru. Radosny, zalotny, dziewczęcy... Poszła w jego kierunku. Szum liści czasem go zagłuszał, myląc trop, ale ostatecznie dotarła do polany, na której w blasku księżyca bawiły się trzy dziewczyny. Długowłose piękności, ubrane jedynie w białe, nocne koszule. Widok tak dziwny i nierzeczywisty, że zdawał jej się obrazkiem z dziecięcej książki o czarodziejkach. Schowała się za drzewem i obserwowała. „Lila, Adusia, a nawet Basia. Asia, sia, a, a...” – Usłyszała rozchodzące się echo. Spojrzała w górę, jakby chciała dostrzec, kto wymawiał słowa. Ale nic nie zauważyła. „Łapią motylki, wachają kwiatki...” – Głos wybrzmiał ponownie gdzieś w przestrzeni.

– Bawią się w berka już od trzech dekad. – To zdanie wyszeptała już sama do siebie. – Wciąż myląc tropy i gubiąc wątki...

Spojrzała w bok, w kierunku, skąd doszedł ją odgłos łamanej gałęzi. Jego postać wyłoniła się po chwili z mgły. On również chował się za drzewem. Obserwował. Jego lubieżne spojrzenie widziała aż nazbyt dokładnie. Dłonie zakreślające małe koła na korze, seksualne napięcie dające się wyczuć nawet z kilku metrów. Nie wiedziała, kim jest, aż do chwili, kiedy na nią spojrział. Wtedy poznała go od razu...

– Bujna przyroda wciąż tam rozkwita – powiedział z obleśnym uśmiechem na ustach. – Doris Tomasa zaraz przywita... – Złowieszcze echo rozeszło się w przestrzeni, niemal wprawiając ją w drgania.

Obudził ją jej własny krzyk.

– Boże, Olga! Co jest? – Kornel podbiegł do łóżka, kucając przy niej. – Już dobrze, to był tylko zły sen. Już dobrze... – Wziął ją w ramiona, przytulając mocno.

Dyszała. Nie mogła złapać tchu, zawładnął nią silny, niemal wymiotny kaszel. Coś się z nią działo, ale nie potrafiła tego dokładnie określić. Przez jej ciało przechodziły dreszcze, a może drgawki? Nie była pewna. Nie знаła się tak dobrze na medycynie i nie wiedziała, jaka to różnica. Myśli krążyły gdzieś bezładnie, co rusz podsuwając jej obraz terenu bursy i wiersz, wymawiany słodkim, niewinnym, dziewczęcym głosem.

– Spokojnie. Oddychaj głęboko. Jesteś cała rozpalona – stwierdził, przykładając jej dłoń do czoła.

– Źle się czuję – oznajmiła ze łzami w oczach. Kręciło jej się w głowie i nie miała siły się podnieść.

Pomógł jej usiąść, przykrył kołdrą i włożył pod pachę termometr.

– Poszedłem po niego, bo pół nocy wjiesz się jak żmija – wyjaśnił, kiedy spojrzała pytająco. – Chciałem cię obudzić i zmierzyć temperaturę. Mamy w domu tylko dwie tabletki ibuprofenu. Rano, jak odwiozę dziewczynki, to pojedę do apteki zrobić zapasy. No a ty, moja droga, musisz iść do lekarza.

– Kornel... – Gorączka sprawiła, że nie dała rady dokończyć.

– Żadne „Kornel” – upomniał ją. – Idziesz do lekarza i basta. Jeżeli Mirek przejmie dowodzenie na kilka dni, to nic się takiego nie stanie. Musisz wypocząć i zadbać o siebie.

– Ale Kornel, ja chyba wiem... – przerwała. Pikanie termometru wybiło ją z rytmu.

– No, matko kochana! – Gwizdnął przeciągle, patrząc na wyświetlacz. – Trzydzieści dziewięć i pięć. Idę po ibuprom i wodę. Proszę grzecznie siedzieć i się nie ruszać – polecił.

Chciała zaprotestować, powiedzieć mu, że chyba wie, kto jest mordercą. Widziała go we śnie, patrzyła na niego i była pewna, że to on stoi za wszystkimi zbrojstwami. Jeszcze nie do końca знаła motyw i nie rozumiała, jak to się wszystko potoczyło, ale pewne informacje zaczęły się układać w logiczną całość. Zakręciło jej się w głowie, a kaszel znów nią wstrząsnął. Opadła bezwładnie na łóżko. Gdzie zaczynał się, a gdzie kończył sen, który tak ją zmęczył? Czy faktycznie wieczorem spacerowali? Czy spotkanie Mileny i jej córki wydarzyło się naprawdę, czy należało do wytworów owładniętego gorączką umysłu? Trzy szkielety, zwłoki i zaginiony chłopak... Próbowwała jeszcze raz przypomnieć sobie wierszyk wyszeptany jej do ucha przez tę małą... Lila, Adusia, a nawet Asia? Nie, poprawiła samą siebie, Basia... Lila, Adusia, a nawet Basia, łapią motylki, wachają

kwiatki, bawią się w berka już od trzech dekad, wciąż myśląc tropy i gubiąc wątki. W niebie jest pięknie, Pan Bóg je stworzył. Bujna przyroda wciąż tam rozkwita. Doris niedługo kogoś przywita... Ale w jej śnie było inaczej. Olga starała się ze wszystkich sił wyteńczyć umysł i przypomnieć sobie słowa zabójcy. Tak, z pewnością powiedział: Doris Tomasa zaraz przywita. Dorota i Tomek... Poczła wszechogarniający strach. Jak matka, która wie, że niedługo znajdzie zwłoki syna. Ale ona przecież nie była jego matką. Chyba zaczyna świrować. Masa niezrozumiałych, przynębiających emocji buzowała w niej, nie dając chwili wytchnienia.

– Jestem. – Jej rozmyślania przerwał wchodzący do pokoju mąż. – Połknij to. – Wręczył jej dwie białe tabletki i kubek ciepłej herbaty z cytryną i miodem. – Pomyślałem, że w gorączce nie będziesz chciała pić zimnych napoi.

– Dziękuję... – Uśmiechnęła się blado, ledwo mogąc mówić. – Jesteś kochany.

– Poczekamy dwadzieścia minut – oznajmił, spoglądając na zegarek. – Jeżeli gorączka nie zacznie spadać, wezwiemy lekarza. Nie chcę cię straszyć, ale nie wyglądasz najlepiej i zaczynam się poważnie martwić. – Pocałował ją z czułością w wierzch dłoni.

Zauważył, że się wzdrygnęła.

– Boli – wyjaśniła. – Boli mnie, kiedy dotykasz.

Walczyła ze sobą, żeby nie zasnąć, nie stracić świadomości. Przerazało ją, że nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Nieraz miewała gorączki, nawet bardzo wysokie, ale teraz czuła się zupełnie inaczej. Niemal jakby wyszła poza ciało i spoglądała na siebie z boku. Kilkakrotnie zacisnęła mocno powieki, starając się pobudzić ośrodek wzroku do działania, ale przed oczami pojawiły się żółte plamki. Czuła się koszmarnie. Choć była rozpalona, wstrząsały nią zimne dreszcze. Nagle poczuła się słabo, jakby za chwilę miała zemdleć. Świat zawirował, żołądek podszedł do gardła, a brzuch ścisnął się w boleściach. Nie zdążyła pobiec do łazienki, nagle szarpnął ją skurcz. Wychyliła tylko głowę za łóżko i zwymiotowała.

– Przepraszam – płakała, nie mogąc złapać tchu. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Mirek Zagórski wiedział, że dziś przed nim trudne zadanie. Trzeba poprowadzić spotkanie tak, żeby grupa dochodzeniowo-śledcza poszła w dobrym kierunku i nie rozpraszała się pobocznymi wątkami, których w tej sprawie było aż za wiele. Presja narastała w nim stopniowo, coraz mocniej ściskając żołądek, a teraz, kiedy jako pierwszy pojawił się w małej konferencyjnej, czuł, że śniadanie w jeli-tach jeździ mu na wszystkie strony, i czym prędzej musi iść do toalety.

– Co jest?

Usłyszał szorstkie pytanie Michalika, na którego wpadł w drzwiach. Nie odpowiedział, szybko zmierając do łazienki.

– Dobra, poczekam na ciebie – burknął komendant, rozumiejąc, o co chodzi, i usiadł, pograżając się w ponurych myślach. Zastanawiał się, czy ta historia już zawsze będzie do niego wracała. Minęło tyle lat, a on nadal nie mógł się od niej uwolnić.

– Dzień dobry, komendancie. – Kuba Zdanowicz wszedł do sali żwawym krokiem, niosąc laptop, tablet i telefon.

Jego postać zdawała się Michalikowi niemal zrośnięta ze sprzętami IT. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział go bez tego ustrojstwa.

– Jak samopoczucie? Oj, chyba nie najlepiej – stwierdził młody policjant, spoglądając na przygnębioną twarz przełożonego.

– Siadaj, Kuba. Nie mam dziś siły na bon ton, savoir-vivre i inne pierdy. – Oparł łokieć na stole, a głowę na rękę.

Po pięciu minutach w sali byli już wszyscy. Mirek, Kuba, Maria Chmurzyńska i Katarzyna Sarnecka, która z równie zmartwioną miną pojawiła się jako ostatnia.

– No dobra... – Komendant odchrząknął i spojrział na zebranych. – Od dzisiaj do powrotu Olgi dochodzenie przejmuje Mirek. – Poklepał po ramieniu siedzącego obok podwładnego.

– Ale co się stało? – Kuba z konsternacją spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Olga jest chora, musi zostać w domu i odpocząć – odparł Mirek. – Jak wszystko dobrze pójdzie, to w poniedziałek do nas wróci, a do tego czasu musimy dać z siebie wszystko, żeby jej nie zawieść, okej? – Próbował wykrzesać z tej wypowiedzi jakąś energię. Miał jednak wrażenie, że nikogo nie oszuka. Do-skonale wyczuli jego niepewność.

– Muszę coś powiedzieć – pewnym głosem odezwała się Katarzyna.

Był jej wdzięczny za przejęcie pałeczki, ale kiedy spojrzął w jej oczy, wiedział, że cokolwiek ma do przekazania, nie będzie to dobra wiadomość.

Zebrani zwrócili się w jej kierunku z przejęciem. Kuba i Maria zupełnie nie wiedzieli, co się dzieje i dlaczego pozostała trójka przejawia takie negatywne emocje.

– Minutę temu rozmawiałam z Kornelem... – Westchnęła. – Olga została zabrana do szpitala.

Po sali przeszedł cichy pomruk.

– Lekarze nie wiedzą, co jej jest. Nie mogą zbić gorączki. Ma ponad czterdzieści stopni i nic nie działa. Myślę więc, że nawet jeżeli w końcu dobiorą jej odpowiednie leki, to w poniedziałek nie wróci. Musimy dać sobie radę sami.

– Co za pieprzone wirusy latają w powietrzu – wymamrotał komendant. – Uważajcie na siebie, żebym nie stracił kolejnego członka zespołu. W innych grupach też mamy braki z powodu L4. A co do Olgi, to przejadę się do niej, jak już będzie w lepszym stanie. Gdzie jest Żaneta? – Rozejrzał się po sali, jakby szukał jej w jakimś kącie, chociaż doskonale wiedział, że dziś nie pojawiła się w kolenzie.

– Prosimi mnie, żebym ci przekazała, Artur... – Katarzyna spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem. – W żłobku panuje jakaś jelitówka, wszawica i bostonka w jednym. – Przewróciła oczami. – Rodzice dostali wiadomość, że jeżeli to możliwe, by nie przyprawdzali dzieci. Żaneta pojechała im pomóc. Weźmie dzień na żądanie, tyle że jeszcze nie zgłosiła tego do kadr.

– Nie chcę być szefem łajzą, ale dlaczego, do cholery, nie skontaktowali się ze mną? – Podniósł lekko głos z irytacji. – Czy ta komenda to prywatny folwark państwa Mureckich?

Jego odpowiedź spotkała się jedynie z karcącym wzrokiem pani psycholog.

– Posłuchaj – powiedziała – z Olgą naprawdę nie jest dobrze...

Westchnął tylko. Nie chciał dopuszczać do siebie myśli, że to coś poważnego.

– No, ale przecież z tego wyjdzie, co nie? – zapytał sam siebie, bo niby skąd inni mieliby to wiedzieć. – Dobra, nieważne. Róbcie swoje. Mirek przejmuje dowodzenie. – I wyszedł.

– Co mu jest? – Mirek zwrócił się szeptem do Kaśki.

– Ewidentnie coś go męczy, ale ani się domyślam co – odpowiedziała. – Dobra, zaczynaj.

Mirosław Zagórski wyprostował się na krześle, obciągnął bawełnianą, czarną koszulę i zrobił głęboki wdech.

– Może zacznijmy od tego, co udało się nam wszystkim ustalić po wczorajszym zebraniu – zaproponował. – Kto chce zacząć? – Spojrzał na Kubę i Marię, ale żadne z nich się nie zgłosiło. – Maria, kobiety mają pierwszeństwo, więc nasza uwaga należy do ciebie.

– Okej. – Policjantka wyciągnęła z kieszeni pomiętaloną kartkę formatu A4, na której zapisała najważniejsze zebrane informacje.

– Ale wiesz, że w komputerach jest taka funkcja jak „Drukuj”? – starał się żartować Kuba. Kiedy ostatnio dostał od niej własnoręcznie zrobioną notatkę, nie był w stanie jej w całości rozszyfrować.

– Wiem – powiedziała dobitnie. – Ale gdy piszę ręcznie, to lepiej zapamiętuję. To mój system pracy i tyle.

– Dobra, dobra. – Podniósł ręce. – Tylko się upewniałem.

– Miałam sprawdzić przeszłość Patryka Rokoszyna, który notabene wyszedł wczoraj wieczorem z dołka.

– O! Dlaczego o tym nie wiemy? – zapytał Mirek.

– Przecież już wiecie – odpowiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. – Przeszedł jego adwokat. Żadna wielka szycha, zwykła papuga załatwiona przez żonę. Ale generalnie facet pogroził sprawdzeniem monitoringu przesłuchania i oskarżeniem o bezpodstawny areszt. No i obiecał współpracę swojego klienta, więc nie było sensu się upierać – dokończyła szybko, a na jej twarzy pojawił się wyraz winy.

– Ale przecież mieliśmy podstawy, żeby go zatrzymać, tak? Czynna napaść na funkcjonariusza...? – upewniał się Mirek.

– W każdym razie dowiedziałam się o nim kilku ciekawych rzeczy. Nie tylko z komputera, ale popytałam współpracowników i znajomych. Powiedziałam, że szukamy Tomka i wszystko z życia jego ojca może być ważne. – Parła do przodu, nie chcąc zatrzymywać się na wspomnianej kwestii.

– Maria... napadł na ciebie czy nie? – Wolał wiedzieć, jaka jest prawda, by przygotować się na najgorsze. Odpowiedź wyczytał w jej oczach.

– Być może trochę go sprowokowałam – przyznała niechętnie. – I być może „napaść” to zbyt duże słowo. – Spojrzała niepewnie na podłogę. – Ale według mnie zachowywał się agresywnie. Zwłaszcza w mowie. I byłam przekonana, że zrobił coś synowi – dodała, jakby to miało ją usprawiedliwić.

– Módl się, żeby ta sprawa nie znalazła się w centrum uwagi Michalika i Olgi, kiedy do nas wróci – powiedział tylko, w myślach przeklinając całą sytuację. Nie przepadał za Chmurzyńską. Nie tylko dlatego, że przyszła do ich zespołu zniecka, zupełnie bez jego wiedzy. Ale przede wszystkim nie cierpiał jej niedbałego

stylu bycia, tego, że nie respektowała żadnych społecznych norm ani konwencji, a jak się teraz okazało – nie szanowała też prawa. Od początku wiedział, że będą z tą kobietą problemy. Poza tym była tu zbędna. Nie wносиła niczego nowego do śledztwa i Olga chyba to zauważała, ale głupio było jej się teraz wycofać. On też zaciśnie zęby i przetrwa z nią do końca śledztwa, ale nie jest to osoba, z którą czułby się pewnie podczas niebezpiecznej akcji. Nie byłby w stanie jej ufać, a już tym bardziej powierzyć swojego życia. – Dobra, mów, czego się dowiedziałas.

– Patryk Rokoszyn był kiedyś niegrzecznym chłopcem – zaczęła, czym zwróciła uwagę zebranych. – Wychowywał się w skrajnie katolickiej rodzinie i jako nastolatek uważano go za czarną owcę. Gardził Kościołem, nie uznawał żadnych świętości, często uciekał z domu. Wdawał się nawet w bójki z chłopakami z osiedla. Raz wyładował na komisariacie, za pobicie, ale ostatecznie sprawę umorzono.

– Kiedy to było i kogo pobił? – zapytał Mirek, chociaż nie wierzył, żeby te informacje przyniosły cokolwiek ważnego dla śledztwa. Aż tak daleka przeszłość nie mogła mieć wpływu na teraźniejszość, jeżeli dotyczyła tylko zwykłej bójki dwóch nastolatków.

– Bogdana Płaskiego, swojego znajomego z osiedla. Ta sprawa jest o tyle dziwna, że Bogdan wyładował w szpitalu, a mimo to wycofał zarzuty wobec kolegi. Powiedział, że to był trening boksu, że się zagapił i oberwał, ale to nic takiego. Sprawa miała miejsce we wrześniu 1992 roku. Obaj liczyli wtedy po dziewiętnaście lat. Bogdan wyjechał z Jeleniej Góry na studia i udało mi się ustalić, że nigdy nie wrócił tu na stałe. Za to nasz pan Rokoszyn przeszedł niedługo po tym wydarzeniu duchową przemianę. – Spojrzała znacząco na obecnych.

– To znaczy? – zaciekawiała się Kaśka.

– Zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni, nawrócił czy jak to można jeszcze nazwać. Stał się dumą swoich rodziców. Zaczął chodzić do kościoła, modlić się, spowiadać i tym podobne. Jak to nazwał jeden jego znajomy z pracy, który znał go w tamtym okresie, żarliwie pokochał Boga. Nie wychodził już na dyskoteki, nie jeździł z kolegami nad wodę, nie podrywał dziewczyn, od których wcześniej nie mógł się opędzić. Myśleli nawet, że wstąpi do seminarium duchownego czy innego zakonu, ale nie. Rok przesiedział w domu, po czym poszedł do pracy na produkcję i tak ugrzązł w jednym zakładzie do dzisiaj. Oczywiście po drodze awansował na kierownika. Obecnie uważany jest za solidnego, porządnego i religijnego człowieka.

– Tak też ocenia go proboszcz z Sobieszowa – wtrąciła Kaśka. – Mówił, że od trzydziestu lat Patryk Rokoszyn jest wzorem pobożnego chrześcijanina i że tylko raz z własnej woli nie przyszedł do spowiedzi... – Zamyśliła się. Ten jeden raz musiał coś znaczyć.

– Poważnie myślicie, że taka bójka mogła go odmienić? – zdziwił się Kuba. – Wiecie, ile razy ja z chłopakami dawaliśmy sobie po mordzie i jakoś nikt z nas nie wstąpił z tego powodu do zakonu ani nie został świętym.

– Racja – przyznała Kaśka. – Sama bójka nie, ale to, co mogło się do niej przyczynić, już tak...

– Niestety, tego nikt nie wie, a przynajmniej nie wiedzą tego ci, z którymi rozmawiałam – przyznała Maria.

– Myślę, że musiało się wydarzyć coś, co nim wstrząsnęło – powiedziała pani psycholog. – Coś, co kazało mu porzucić dotychczasowe życie hulaki i sprawiło, że narzucił sobie taką pokutę. A to by oznaczało, że czuł się winny czegoś, o czym nie mamy pojęcia.

– Tylko czy to się jakoś łączy z naszą sprawą? – Mirek przywołał ich do obecnych czasów. – W życiu różnie bywa. Nieraz dzieją się rzeczy, które nas zmieniają, ale wątpię, żeby to wiązało się ze zniknięciem jego syna. Macie inne zdanie? – Czekał z ciekawością.

– Chyba nie – odpowiedział Kuba. – A nawet zaczynam teraz trochę rozumieć jego olewające podejście do ucieczki chłopaka. O ile była to ucieczka. Skoro sam wielokrotnie jako nastolatek to robił, to może nie martwi się aż tak o syna.

– Być może – przyznał Mirosław. – A co z ojcem tej Julki? – Spojrzał wyciekająco na Marię. – Sprawdziłaś go?

– Tak. – Kobieta potakująco pokiwała głową. – W czasie zaginięcia Tomka wyjechał na tydzień ze zleceniem z firmy. Kładzie kafelki na budowach w różnych miastach w Polsce. Pracuje tydzień na tydzień. Nie ma szans, żeby to był on. Poza tym powiedział, że wkurzył się na chłopaka, ale prawda jest taka, że to Julka mu się narzucała, a nie na odwrót, i że żałuje słów, które do niego napisał.

W momencie kiedy to mówiła, drzwi do sali otworzyły się i ujrzeli w nich Roberta Kowalika.

– Dzień dobry! – Wszedł pewnym krokiem. – Wpadłem zobaczyć, na czym stoicie. – Jego ręka umieszczona była na temblaku, a plecy sztywno wyprostowane utrzymywała w tej pozycji opaska ortopedyczna. Usiadł ostrożnie, jakby ta czynność sprawiała mu umiarkowany ból. – Złamałem obojczyk – wyjaśnił, widząc ciekawskie spojrzenia. – Cholernie śliskie liście – wymamrotał już bardziej pod nosem.

– Witamy, panie prokuratorze – rzekł Mirek. – Streścić panu, co do tej pory udało nam się ustalić?

– Nie, idźcie dalej. Nie będę zakłócał wam toku spotkania. Później doczytam.

– Dobrze. A więc Kuba, opowiedz o spotkaniu z Hieronimem Włodawskim – polecił Zagórski. Przez następne dziesięć minut słuchali w skupieniu tego, co przedstawiał im Zdanowicz.

– Rasowy, inteligentny psychopata – skomentowała Sarnecka, kiedy skończył. – Nie wydaje mi się jednak, aby to był nasz podejrzany.

– A dlaczego tak lekko go skreślasz? – Kowalik spojrzął z naganą na Sarnecką. Z naganą, ale i pewnym rodzajem zainteresowania. Piękna, elegancka kobieta. Wiedział, że nie jest policjantką, a jedynie pomaga w śledztwach. Nigdy wcześniej nie miał przyjemności z nią rozmawiać i w tym momencie zdawało mu się, że wiele stracił.

– Nasz zabójca postępuje niespójnie i chaotycznie. Być może zostawiając dziewczynę na terenie bursy, chciał wierzyć, że ona przeżyje. A może po prostu igra z nami, podsuwając fałszywe tropy, chcąc nas sprowadzić na manowce. Ale wiele z nich do siebie nie pasuje lub dla nas nie ma sensu. Hieronim Włodawski taki nie jest. Kiedy wspomnieliście o nim ostatnio, przejrzałam w bazie wszystko na jego temat oraz to, co udało mi się znaleźć w internecie. Jego ofiary zawsze były duszone liną, to prawda, ale też zawsze były dziewczycami, co zgadzałoby się z tym, co powiedział à propos pieprzenia i zabijania kobiet. Tutaj modus operandi występuje zupełnie inny.

– No, nie wiem – zaprotestował prokurator. – Jego styl zabijania mógł się zmienić po spędzeniu dziesięciu lat w więzieniu. Wcześniej był młodym chłopakiem, może kręciły go dziewczice, a teraz nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Może nawet po dekadzie celibatu zapragnął właśnie takich rozpustnych czy zbrukanych, czy jak ci pieprzeni psychopaci nazywają niedziewice.

– Nie sądzę – sprzeciwiła się Sarnecka. – Dla takich typów jak Włodawski wszystko ma znaczenie. Co więcej, uważam, że to jeden z tych, który jest dumny ze swoich czynów i nie zamierza nas okłamywać. Poza tym zaczynam się skłaniać ku tezie, że w rozebraniu Doroty Ziółko nie należy dopatrywać się żadnego filozoficznego podłoża, po prostu sprawca nie życzył sobie, żebyśmy zidentyfikowali ją za szybko. Dlatego zabrał jej wszystkie rzeczy, takie jak: torebkę, dokumenty, telefon czy ubrania. Myślę, że chciał zyskać na czasie albo po prostu utrudnić nam poszukiwania.

– Mimo wszystko przyczepiłbym mu ogon. Tak po cichu, żeby się nie zorientował.

– Pan tu rządzi – przytaknął Kuba, całkowicie zgadzając się z pomysłem prokuratora. – Nawet jeżeli to nie nasz zabójca, to jestem pewny, że ma w planach dalej zabijać. Być może ten ogon uratuje życie jakiejś kobiecie.

– Postanowione! – Prokurator spojrział na Sarnecką. Nie wiedział, czemu interesowała go jej reakcja, ale pani psycholog nie okazała nic, co mógłby jakkolwiek sklasyfikować. – Ustaliliście już, kim była denatka? – zażądał konkretów, otrząsając się z zamyślenia. I niemal od razu uświadomił sobie, że głupio zapytał, bo przecież wczorajszego popołudnia Olga dzwoniła do niego z raportem w tej sprawie. Ta Sarnecka sprawiała, że zachowywał się jak szczył, ale teraz nie mógł się już wycofać.

– Tak. – Mirek wyciągnął przygotowany raport z danymi Doroty Ziółko. Przez telefon pewnie Olga nie powiedziała mu wszystkiego, więc teraz wykorzystał okazję, by rozszerzyć temat. – Mieszkanca Wrocławia, lat dziewiętnaście. Ale jej babcia i ojciec pochodzili stąd. Przyjechała do Jeleniej w zeszły piątek. Chciała zrobić babci niespodziankę. Kobieta nie zgłosiła jej zaginięcia, bo nic nie wiedziała. We Wrocławiu Dorota mieszkała sama. Ojciec pracuje w Niemczech, też nie miał pojęcia o jej zaginięciu. Przyjechał dziś w nocy. Będę z nim rozmawiał po naszym spotkaniu.

– Jak ma na imię?

– Szymon – podkomisarz odpowiedział od razu.

– Szymon Ziółko... – Prokurator zmrucił oczy. – Ja chyba go znałem za dziecka – przyznał. – Ale nie pamiętam teraz dokładnie skąd.

– Najważniejsze jest dla nas co innego – wtrącił Mirek.

– Co? – Kowalik uniósł prawą brew.

– Myślę, że zabójcą mógł być niejaki Maciek lub osoba podająca się za Maćka. Tak przynajmniej wynika z opowiadań przyjaciółki denatki. Mówiła, że Dorota nawiązała wirtualną znajomość z kimś, kto podawał się za jej kolegę z dzieciństwa.

– To mamy już dobry trop. – Prokurator zdawał się podekscytowany. – Wiemy o nim coś więcej?

– Na razie nie, ale kiedy ustaliliśmy personalia dziewczyny, jej dane, w tym jej numer telefonu, wystąpiliśmy do operatora o bilingi rozmów i treści esemesów – oznajmił tym członkom zespołu, którzy jeszcze się tego nie dowiedzieli. – Kuba, czy już coś przyszło? – zwrócił się do kolegi, z którym wczoraj omawiał wszystkie szczegóły.

Zdanowicz spojrział na maile i przecząco pokręcił głową.

– Dobrze, jak tylko coś znajdziecie, dajcie mi znać. Ja za to przyniosłem coś ze sobą. – Robert Kowalik wyciągnął z teczki akta opatrzone logo laboratorium kryminalistycznego. – Raport techników. Niestety jedna kopia, bo Żanety nie ma dziś w pracy, ale puszczę wam na maila, a teraz opowiem, co odkryli.

– Zamieniamy się w słuch. – Mirek oparł się wygodnie w fotelu. Miał nadzieję, że zabójca okazał się bardziej nieuważny, niż sądzili na początku.

– Dwie rzeczy. – Prokurator pokazał cyfrę palcami. – Po pierwsze, znaleziono w okolicy zwłok sporo śladów butów. Wytypowano jedno jako potencjalnego sprawcy.

– Na jakiej podstawie? – zaciekała się Maria.

– Przede wszystkim, jak powiedział mi podczas dzisiejszej rozmowy traseolog ściągnięty do laboratorium, tylko te ślady znajdowały się na całej ścieżce wiodącej od zwłok, przez uszkodzone przęsło płotu i dalej do ulicy. Co więcej, człowiek, do którego należały, pokonywał tę drogę kilkukrotnie, prawdopodobnie w sporych odstępach czasu, ponieważ ślady zachowały się w różnym natężeniu. Po nocy, kiedy temperatura spadała, odciski nie były głębokie, ale już te zrobione za dnia i w słońcu, na ubłoconej trasie utrzymały się znakomicie.

– Czyli że zabójca przychodził do ofiary kilka razy? – dopytywał Kuba.

– Tak albo przychodził kilka razy, zanim postanowił przynieść zwłoki. Może szukał odpowiedniego miejsca. Co ciekawe, traseolog uważa, że ciężar mężczyzny był zawsze taki sam. Wnioskuje z długości kroku, kąta stawiania stóp i prawdopodobnej wagi, jaką ocenia na osiemdziesiąt pięć kilogramów.

– To chyba normalne, że ważył tyle samo? – zdziwiła się Maria.

– Tak, ale to by znaczyło, że nie mógł nieść ofiary. – Mirek domyślił się, o co chodziło prokuratorowi. – Gdyby ją niósł, wtedy ślady byłyby znacznie głębsze. No, tak, to logiczne. – Zamyślił się.

– Właśnie – przyznał Kowalik. – Wygląda na to, że Dorota Ziółko musiały przyjść o własnych siłach. Nie znaleziono śladów bosych stóp, wnioskuje się więc, że miała buty, które zabójca zabrał ze sobą.

– Czyli to mężczyzna, o wadze około osiemdziesięciu pięciu kilogramów. Coś jeszcze ustalono? – Kuba pochylił się w stronę prokuratora. – Wiem, że dobry traseolog jest w stanie podać też przybliżony wzrost sprawcy, a także jego stan zdrowia.

Maria Chmurzyńska parsknęła:

– A niby jak po śladach butów można stwierdzić, na co ktoś choruje?

– Może nie, na co – odparł prokurator – ale tu akurat dopisało nam szczęście. Otóż ślad prawego buta sprawcy w miejscu, w którym znajdują się palce, ma dużo słabsze wgłębienie niż ślad po lewym bucie. Za to przy pięcie dużo silniejsze. Ten specjalista odkrył to dopiero po dokładnym prześledzeniu odlewów gipsowych.

– Co nam to daje? – dopytywała Maria.

– Najprawdopodobniej świadczy to o braku kilku palców. Ciężar ciała rozkłada się wtedy na inne części stopy, sprawiając, że ktoś taki silniej uciska piętą.

– To bardzo ważna informacja – wtrąciła się Sarnecka. – Kiedy już wytypujemy sprawcę i okaże się, że jest kaleką, dowody będą przytłaczające. Ale czy laboranci są pewni, że te ślady należą do sprawcy? Może ktoś po prostu chodził tamtędy często z psem na spacer?

– Są pewni, że to ktoś, kto był przy zwłokach. Co więcej, kuczał przy nich i kręcił się w ich pobliżu. Ślady nie kłamią – powiedział z naciskiem Robert Kowalik, patrząc w oczy Sarneckiej. – Oprócz tych mamy jeszcze kilka innych, ale żadne nie wskazują tak wyraźnie przebywania w pobliżu zwłok.

– Co jeszcze udało się z nich ustalić? Wiemy, jaki to rodzaj buta? Jaki rozmiar? – trzeźwo zapytał Kuba.

– Tak. Buty z grubą podeszwą. W sprawozdaniu będziecie mieli ich odcisk. Przypomina mi glany, bo widać bieżnik, niemal jak przy oponie samochodu. Co więcej, na podeszwie powstało jakieś zarysowanie. Najprawdopodobniej przez nadeptanie na szkło. Duży rozmiar – czterdziestka piątka.

– Duży rozmiar zazwyczaj świadczy o dużym człowieku – filozofowała na głos Maria Chmurzyńska. – A wysoki mężczyzna ważący osiemdziesiąt pięć kilogramów jest raczej normalnej budowy ciała.

– No właśnie – przyznał Mirosław. – A więc nasz podejrzany jest mężczyzną, mniej więcej metr osiemdziesiąt? Czy tak typuje traseolog?

– Między metr osiemdziesiąt a osiemdziesiąt pięć – przyznał Kowalik, spoglądając w dokumentację.

– Podsumowując: mężczyzna, metr osiemdziesiąt, o wadze osiemdziesięciu pięciu kilogramów – ciągnął Mirosław. – O rozmiarze buta czterdzięci pięć, a co najważniejsze – kaleka bez palców u prawej stopy.

– Sam opis doskonale pasuje do Hieronima Włodawskiego, ale w jego aktach nie znalazłem informacji, żeby nie miał palców u stopy. – Kuba zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie jakieś dane medyczne tego faceta.

– Bo to nie on – Sarnecka obstawała przy swoim. – A ta druga rzecz? – Przypomniała sobie, że prokurator przyszedł z czymś jeszcze.

– A druga to strzępek tkaniny znaleziony na płocie. Laboranci dokonali już pełnej analizy składu. Głównie bawełna z domieszką lycry. Wszelkie dane również znajdziecie na mailu.

– Myślę, że będzie go z czym porównać – zaskoczyła ich.

– Jak to? – Robert Kowalik poczuł się, jakby czegoś nie załapał. – Macie podejrzanego?

– Niestety, nie. – Westchnęła. – Ale pamiętacie, że Jaś twierdził, że przy ciebie denatki widział księdza?

Wszyscy zebrani pokiwali potakująco głowami.

– No właśnie – ciągnęła. – Kornel prosił mnie o przekazanie, że wczoraj odezwał się do nich proboszcz z Sosnowki. Rozpoznał różaniec, twierdząc, że takim logo posługuje się tylko jedna firma produkująca dewocjonaia i on jako jedyny z województwa dolnośląskiego tam zamawia. Olga z Kornelem myśleli więc, że są blisko schwytania zabójcy. Że to musi być któryś z księży z tamtejszej parafii, ale okazało się, że na początku miesiąca zaginęła jedna sutanna, a ściślej biorąc, została skradziona. Zapisano to nawet w jakimś dzienniku. W każdym razie jeżeli porównamy materiał innych sutann z tym znalezionym skrawkiem, zyskamy już pewność, że zabójca kręcił się właśnie w tamtej parafii. A wtedy możemy zacząć wypytywać mieszkańców, czy kogoś nie widzieli, lub posprawdzać miejskie monitoringi z dnia kradzieży. Może jakiś monitoring tam mają... – Spojrzała na nich niepewnie.

– Teraz to nawet ludzie sami instalują kamery w oknach czy ustawiają na posesji. Nie zaszkodzi popytać, tym bardziej że wiemy w przybliżeniu, kogo szukamy – potwierdziła Maria. – Mogę się tym zająć – zaproponowała.

– Dobrze. – Zagórski i Kowalik wypowiedzieli to słowo jednocześnie, obaj czując się upoważnieni do prowadzenia spotkania.

– Mam! – wykrzyknął Kuba, przerywając niezręczną ciszę, jaka nastąpiła po tym słownym zderzeniu.

– Co masz? – Mirek spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Przyszły bilingi Doroty i zapis jej wiadomości tekstowych – ekscytował się. – Już się do nich zabieram.

W tym samym momencie drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się zamasyści i otwór wejściowy wypełniła postawna sylwetka komendanta Michalika.

– Nie chcę przeszkadzać, ale musimy zbierać dupy – powiedział oschle. Jego twarz wyrażała zmęczenie i strapienie zarazem. Ale w chwili gdy skrzyżował wzrok z Kowalikiem, przez ułamek sekundy dało się dostrzec coś innego. Chyba emocje skrywane przez lata. Sarnecka obserwowała to z zaciekawieniem. Ci dwaj

się tolerowali, może nawet szanowali swoje pozycje zawodowe, ale dałaby sobie głowę ściąć, że popadli kiedyś konflikt, który nie został rozwiązany.

- Co się stało? – Mirek nie do końca rozumiał, co komendant ma na myśli.
- Musimy jechać – powtórzył. – Mamy kolejne zwłoki.

Kornel Murecki przemierzał salę SOR-u tam i z powrotem enty raz. Z początku nie podejrzewał, że stan Olgi może być aż taki poważny. Ot, zwykłe przeziębienie albo w najgorszym razie angina. Ale kiedy nie mogli zbić gorączki, a ratownicza z pogotowia zdecydowała, że zabiorą ją na oddział, zaczął się porządnie martwić. Najgorsze było to, że jego żona traciła świadomość. Może to i normalne przy czterdziestu stopniach gorączki, ale dla niego to się działo za szybko. Coś było nie tak, to nie mogła być zwykła grypa ani nic z tych rzeczy. Przecież jeszcze wczoraj wieczorem spacerowali po osiedlu. Usiadł na krześle i skrył twarz w dłoniach. Starał się wracać myślami do poprzedniego dnia, żeby przypomnieć sobie pierwsze symptomy. Ale oprócz tego, że podczas przechadzki jej ciało wydawało się cieplejsze niż jego, niczego sobie nie przypominał. Zrzucił to na karb podniecenia, obietnicy cudownej nocy czy tego, że grubiej się ubrała. Dopiero w domu powiedziała mu, że czuje się jakoś dziwnie i chyba nici z nocnych igraszek. Była osłabiona, może nawet ospała. Położyła się wcześniej i momentalnie zasnęła, a kiedy i on przyszedł do łóżka, po położeniu dzieci spać, stwierdził, że Olga ma gorączkę. Przez następne dwie godziny wiała się w pościeli, targana jakimiś cholernymi snami, ale i tak wolał jej nie budzić. Wmawiał sobie, że póki śpi, jej organizm odpoczywa, ale to nie była prawda. Czy gdyby wcześniej zareagował, gdyby od razu ją obudził, zmierzył gorączkę i podał lekarstwo, nie doszłoby do tego? Wyrzucał sobie zaniedbanie, że nie interweniował w porę. Kiedy karetka przywiozła ją na SOR, lekarze też jakoś nie kwapili się do pomocy. Wiedział, że pierwszeństwo mieli zawałowcy i ludzie z wypadku, ale Olga naprawdę długo leżała, czekając na pomoc.

– Dziwnie mi to wygląda – powiedział do siebie młody doktor, który wyglądał zaledwie na studenta medycyny. Zastanawiał się, jakie zlecić badania. – Niby panuje okres infekcyjny, ale... – zawahał się, po czym tym razem zwrócił się do Kornela: – Czy żona dużo wymiotowała? Miała biegunki? Bóle brzucha?

– Zwymiotowała tylko raz, poza tym to się stało tak nagle. Nic nie wiem o innych rzeczach.

– Kaszel, katar, bóle mięśni? – Lekarz odhaczał odpowiedzi.

– Nie, nic.

– Jakież niedawne infekcje? Choroby przewlekłe? Brała jakieś leki na stałe?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Jadła coś innego niż pan?

– Nie przypominam sobie, chyba że rano. Poza tym do wieczora była okazem zdrowia. Dopiero ta wysoka gorączka ją rozłożyła. Martwię się, bo co jakiś czas traci przytomność i mówi przez sen. Męczą ją koszmary.

– Koszmary? A może majaczy? – Rozważał coś przez chwilę. – Przy wysokiej gorączce to bardzo prawdopodobne.

– Wygaduje jakieś bzdury bez sensu. Coś o ogrodzie i niebie. – Przypomniał sobie usłyszane przed chwilą pomruki Olgi.

– Skarżyła się na bóle albo zawroty głowy? Traciła ostrość widzenia? – Poświecił jej latarką w źrenice. – Marta, zmierz pacjentce ciśnienie – zawołał pulchną pielęgniarkę, która weszła właśnie do sali. Sam wziął raport sporządzony przez zespół ratowniczy. – Ciśnienie niskie, sto na siedemdziesiąt. Czy żona zawsze ma takie ciśnienie?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie chorowała. Jedynie półtora roku temu problemów przysporzyła zagrożona ciąża, ale wszystko się dobrze skończyło.

Pielęgniarka w zielonym fartuchu podeszła do na wpół przytomnej Olgi i spojrzała na nią z wyrzutem.

– Przecież to ewidentnie infekcja wirusowa. Czego doktor nie rozumie? Czterdzieści jeden stopni w chwili przyjęcia. Ciśnienie mierzone przez ratowników medycznych było w normie, choć lekko obniżone. Pacjentka majaczyła z gorączki. Dostała paracetamol dożylnie i tyle. Zabrać na oddział, nawadniać i monitorować, a za trzy dni wypisać do domu, ot, cała filozofia – pouczyła zirytowana faktem, że wrzucili jej na dyżur lekarza prosto po studiach. Ci młodzi nic nie ogarniali. Zlecali pełno niepotrzebnych badań, a potem w gazetach czytało się, że szpital tonie w długach. Jak ma nie tonąć w takiej sytuacji.

– Dobrze, komplet standardowych badań – odpowiedział niezrażony jej gadaniem. Widać nie pierwszy raz pielęgniarka uważała się za mądrzejszą od niego. – Wciąż czekam na pomiar ciśnienia. – Spojrzał na nią wymownie.

Kobieta obróciła się urażona i poszła po aparat.

– Żona skarżyła się, że źle widzi, jakby na żółto, teraz mi się przypomniało. – Puls Kornelowi momentalnie przyśpieszył. Jak mógł nie pamiętać o tym symptomie. Odkąd Olga znalazła się w tym stanie, nie potrafił się skoncentrować.

– Dobrze, że pan mi to powiedział. – Lekarz starał się mówić w sposób opanowany, ale na jego twarzy Kornel dostrzegł objawy paniki. – W takim razie proszę o morfologię z rozmazem, elektrolity, poziom stężenia mocznika i kreatyniny, gazometrię, enzymy wątrobowe i toksykologię na cito – polecił zdecydowanym głosem.

– Toksykologia? – oburzył się Kornel. – Myśli pan, że moja żona jest naćpana? – Przez chwilę sam miał wątpliwości co do słuszności wybranego przez tego człowieka zawodu.

– To nie jest zwykła infekcja wirusowa. Możliwe, że zatrucie. Trzeba to sprawdzić – lekarz podzielił się przypuszczeniami. – Toksykologia bada nie tylko poziom narkotyków we krwi.

– Osiemdziesiąt na pięćdziesiąt... – Głos pielęgniarki stał się dziwnie ugodowy, a spojrzenie niepewne.

– Kurwa! – zaklął pod nosem mężczyzna w kitlu. Ściągnął z szyi stetoskop i przyłożył go do klatki piersiowej Olgi. Zimny metal spowodował jej lekkie drgnięcie.

– Dorota... – Olga otworzyła oczy i spojrzała ze łzami na Kornela. Jej wzrok był mętny, a słowa dziwnie nieskładne. – Doris... Przyszłaś, ja nie, ty po mnie... Ja nie chcę... – wymamrotała, po czym znów odpłynęła w niebyt.

– Doktorze, mamy halucynacje – stwierdziła pielęgniarka, jakby wszyscy nie dostrzegli tej oczywistości.

– Natychmiast na oddział! – Lekarz wydawał się poważnie wystraszony. I to nie tym, co usłyszał z ust Olgi, ale tym, na co wskazywało badanie stetoskopem. Nie był jednak na tyle doświadczony, by wziąć na siebie odpowiedzialność za dalsze leczenie. Potrzebował wsparcia i to rzucało się w oczy. – Zrobić EKG i wezwać kardiologa. Ale już – warknął w nerwach na pielęgniarkę. – Czy żona na pewno nie choruje na serce?

To pytanie rozchodziło się w głowie Kornelowi niczym echo.

Ciało Tomka Rokoszyna leżało rzucone na ziemię, w błocie i liściach. Narzmięte i sine, właściwie w niczym nie przypominało chłopaka, którego widzieli na zdjęciach. Choć stan, w jakim je znaleziono, znacznie odbiegał od stanu zwłok znalezionej wcześniej dziewczyny, to miejsce i ułożenie było dokładnie takie samo. I to przerażyło śledczych najbardziej. A może spowodowało w nich po prostu wyrzuty sumienia? Zastanawiali się, czy gdyby faktycznie wprowadzono tu całodobową obserwację lub monitoring, udałooby się uniknąć tego, w czym teraz uczestniczyli? Po terenie bursy ubrani w białe kombinezony kręcili się już technicy kryminalistyczni. Klimat zdawał się dużo bardziej złowieszczy niż ostatnio, bo wszystkie liście zdążyły opaść z drzew, pozostawiając tylko ciemne, niemal martwe gałęzie, które w zależności od fantazji patrzącego układały się w przerażające obrazy.

– Jezu! – Maria odbiegła na bok, uważając, by nie zdeptać potencjalnych śladów, i zwymiotowała na ziemię. – Przepraszam – powiedziała, nie mogąc złapać tchu. Jej ciałem znów wstrząsnął dreszcz, a skurcz żołądka sprawił, że resztki śniadania znalazły się na zewnątrz.

– Trzymaj! – Mirek podał jej chusteczkę higieniczną. – Nie przejmuj się. Mało kto jest gotowy na taki widok – stwierdził, przypominając sobie, że koleżanka na co dzień pracuje przy mniej brutalnych sprawach. Zaczął nawet szczerze jej współczuć.

– I zapach – dodała.

– No, tak. – Doktor medycyny sądowej Stanisław Nowakowski wstał z kucek i odsunął się od zwłok. – Niestety, chłopak nie żyje już od kilku dni. Najprawdopodobniej pięciu czy sześciu. Doszło już do wytworzenia gazów przez bakterie zjadające żołądek oraz jelita – wyjaśnił przyczynę fetoru. – Zaczęły wzdymać ciało, uniosły brzuch – wskazał palcem fragment ciała – wzrosło ciśnienie w jamach ciała. Krew w żyłach i tętnicach zaczęła już gnić. – Zapachy nie robiły na nim większego wrażenia. Przez lata obcowania z różnoraką śmiercią zdołał już do nich przywyknąć. Czasem jego nos pomagał mu nawet w ustaleniu wstępnej daty śmierci. Był tak wyczulony, że dokładnie wiedział, w jakim stanie rozkładu znajdują się zwłoki.

– Przyczyna śmierci? – poważnym tonem zapytał Kowalik, stojący w bezpiecznej odległości.

– Jak poprzednio – skwitował doktor. – Uduszenie. Mamy też uraz głowy, który nie wydaje się śmiertelny. Ale więcej powiem po sekcji.

– Dlaczego wtedy ciało leżało dwa dni i podjadały je lisy, a teraz leży pięć i jest nietknięte?

– Bardzo dobre pytanie, podkomisarzu – przyznał Nowakowski. – Ano wydaje mi się, że jedynym wytłumaczeniem jest fakt, że dopiero teraz zostało tu przywleczone. – Pokazał na ślad na błocie mogący wskazywać kierunek, z którego ciągnięto chłopaka, fotografowany właśnie przez techników.

– Czyli chłopak leżał gdzieś martwy kilka dni i dopiero niedawno zabójca go tu przywłócił? – upewnił się Kowalik.

– Tak myślę.

– Kurwa jebana mać! – zakłęła na cały głos Maria. – Przypominam tylko, że wczoraj wyszedł z dołka Patryk Rokoszyn! – Popatrzyła na kolegów z zespołu, Mirka i prokuratora, bo Kuba został sprawdzać bilingi, a komendant, jak wiedziała, nie przepadał za Kowalikiem i kiedy nie musiał, nie uczestniczył w czynnościach z jego udziałem.

– Niby miejsce to samo, ta sama przyczyna zgonu – zauważył Mirek – ale jednak wszystko wygląda inaczej. Chłopak jest ubrany, ma przy sobie dokumenty...

– A w pobliżu brak różańca – dokończyła Maria. Zapięła kurtkę pod szyję, bo temperatura tego dnia była dużo niższa niż ostatnimi czasy. – Myślisz, że ktoś chciał tylko upozorować to morderstwo tak, by pasowało pod jednego sprawcę?

– Sam nie wiem, co myśleć... – Mirek miał mętlik w głowie. Brakowało mu Olgi, z którą mógłby wymienić się uwagami i która dodawała mu pewności siebie. – Może różaniec gdzieś leży. Poczekajmy, aż technicy dokładnie przeszukają teren. Zobaczmy też, czy znajdą te same ślady butów co ostatnio.

– Dlaczego znowu bursa? – Z oddali usłyszeli pytanie prokuratora. – Co jest w tym miejscu takiego niezwykłego, że morderca porzuca ciała akurat tutaj?

– Ja myślę, że to Rokoszyn – odpowiedziała szybko Maria. – Zabił syna już wcześniej, ale po wyjściu z dołka wiedział, że musi gdzieś podrzucić ciało. Na pewno słyszał o poprzednim zabójstwie i zwłokach dziewczyny w bursie. I dlatego upozorował tę scenkę. Na tyle, na ile informacje w mediach mu pozwoliły. Dobrze pamiętam, że nie podaliśmy do publicznej wiadomości, że zwłoki dziewczyny były nagie? – wołała doprecyzować.

– Nie podaliśmy, ale wątpię, żeby ludzie nie gadali, wiecie, jak to bywa. – Kowalik usiadł na betonowym murku podtrzymującym ogrodzenie, intensywnie nad czymś myślał. – Może po prostu tym razem zabójcy nie zależało na odroczeniu ustalenia tożsamości ofiary? – zdziwił się, wypowiadając te słowa, bo znałyby, że podświadomie przyjął za pewnik to, co sugerowała Sarnecka. – Może nawet

chciał, żebyśmy wiedzieli, kim jest? Powinniśmy poszukać jakichś zależności między nimi. Może się znali?

– Może, ale dlaczego wtedy mu zależało, a teraz nie? – Mirek nie rozumiał – Myślę, że po prostu nie zdążył tego zrobić. Usłyszał kogoś w parku i musiał uciekać.

– Że się tak wtrączę – odezwał się Staszek Nowakowski, który zbierał się już do powrotu. – Próbowaliście kiedyś zdjąć ubranie z nabrzmiałych od gazów zwłok? – Zebrani zwrócili się w jego kierunku. – To raczej trudny proces, chyba że macie nożyczki. Wszystko jest mocno napięte, materiał niemal pęka w szwach. Pomijam wydobywający się ze zwłok każdymi otworami odór.

– Mógł to zrobić wcześniej – stwierdziła Maria, czym tylko potwierdziła przekonanie patologa, że kobiety w policji to poroniony pomysł.

– Wcześniej utrzymywało się stężenie pośmiertne – wyjaśnił wielkodusznie. – Wtedy jest jeszcze trudniej.

– A więc ciało Doroty rozebrał zaraz po śmierci – głośno myślał Kowalik.

– Albo przed – podsunął pomysł Mirek. – Ale dziewczynę prawdopodobnie podrzucił tutaj zaraz po zabójstwie. Dlaczego tym razem czekał tak długo?

– Bo siedział – stwierdziła Maria, wciąż broniąc swojej teorii. Była pewna, że za śmiercią Tomka stoi jego ojciec, i zrobi wszystko, co w jej mocy, by to udowodnić.

Mirosław usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. Hipoteza Marii jakoś do niego nie przemawiała, ale nie miał siły się spierać. W sumie nie miał też argumentów. Nie zgadzał się z jej zdaniem z czystej przekory. Ale gdyby się dobrze zastanowić, musiałyby przyznać, że ten scenariusz jest tak samo prawdopodobny jak wszystkie inne. Z ulgą wyjął z kieszeni telefon, łudząc się, że będzie mógł się skoncentrować na czymś innym. Jednak wiadomość od Katarzyny Sarneckiej zmroziła go.

– Hej, chłopie, co jest? – Stanisław Nowakowski nie należał do wrażliwców, ale kiedy zobaczył, jak z twarzy podkomisarza momentalnie odpływa cała krew, podszedł do niego czym prędzej. Złapał go niemal w ostatniej chwili, bo Mirek upadłby na zwłoki. A to nie byłoby przyjemne dla nikogo.

– Co jest, do cholery? – na swój sposób zmartwiła się Maria. Jej mózg, przyzwyczajony do różnicowania konkretnych, znanych obrazków, nie mógł prawidłowo odczytać tego, co zobaczyły oczy. Podeszła do kolegów i podniosła telefon, który wypadł Mirkowi z ręki. To przecież nie może być nic aż tak strasznego, pomyślała jeszcze w ostatniej chwili przed spojrzaniem na ekran. A jednak...

– Olga nie żyje...

Grzegorz Hołda odłożył długopis na biurko, ostatni raz spojrzął na ukończony właśnie list i westchnął ze smutkiem. Wiele złego wydarzyło się w ostatnim czasie, doskonale zdawał sobie sprawę, że był za to odpowiedzialny. Chłodne powietrze wpadało przez uchylone okno. Poczuł, że jego ciałem wstrząsają dreszcze. Potarł ramię, a następnie przejechał ręką po udach, by rozmasować kłującą gęsią skórę. Ale okna nie zamknął. Wiedział, że po tym, co planował uczynić, w powietrzu rozejdzie się nieprzyjemna woń fekaliów i smród śmierci. Czuł go nie raz i nie dwa. Wielokrotnie widział umierających ludzi. Czasem zjawiał się, gdy było już za późno, i zawsze wchodząc do pomieszczenia, w którym leżało ciało, rozpoznawał ten słodkawy, duszący zapach rozkładającego się człowieka. Jego ziemskiej powłoki, pełnej niedoskonałości i wad. Nawet jeżeli ktoś odszedł dopiero przed chwilą, nawet wtedy to czuł. Zapachu śmierci nie da się pomylić z żadnym innym.

Hołda zrobił głęboki wdech, by uspokoić nerwy. Wcale nie było łatwo podjąć taką decyzję, ale wiedział, że to jedyne wyjście. Musi odkupić winy, oddać własne życie za życie tych, którzy nie żyją przez niego. Przez lata swojej posługi miewał zarówno kryzysy wiary, jak i olśnienia. Kiedy żarliwie domagał się od Boga dowodu Jego istnienia, Ten nie ulegał mu i spuszczał w jeszcze większą piekielną otchłań. Ale zawsze potem działo się coś, co sprawiało, że Grzegorz Hołda znów zaczynał wierzyć. Dzisiaj sam już nie wiedział. Miał dosyć tej ciągłej huśtawki, tego pragnienia ślepego zaufania sile nadprzyrodzonej. Był zmęczony poszukiwaniem i zawiedziony ciągłymi rozczarowaniami.

Ale najbardziej zawiedziony był sobą. Przez całe życie starał się być dobrym człowiekiem. I choć wychodziło mu to z różnym skutkiem, nigdy by nie przypuszczał, że stanie się aż taką bestią. Stał się zepsuty do szpiku kości, niegodny zbawienia i skazany na wieczne potępienie. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to uwolnić świat od siebie.

Spojrzał jeszcze raz na stojące na regale z książkami zdjęcie trójki rodzeństwa. Trzymali się pod rękę, nie wstydząc się swoich szczerbatych uśmiechów. To były piękne i beztrudne dni. Łza żalu za niewinnością spłynęła mu powoli po policzku. Gdyby tylko mógł cofnąć czas. Gdyby tylko ktoś dał mu szansę postąpić inaczej.

Wzdrygnął się na wspomnienie wczorajszej kłótni. Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze i ledwo powstrzymał się przed wymiotowaniem. Wstał, ściągnął spodnie i złożywszy je w kostkę, położył na krześle. To samo zrobił z koszulą.

Może jeszcze się komuś przydadzą, jakiemuś potrzebującemu ubogiemu. Przysunął wysoki taboret pod żyrandol. To na nim już wcześniej powiesił gruby sznur. Zaplótł węzeł i założył sobie na szyję. Za zbrodnię musi być kara. Skoczył.

Uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że tynk z miejsca, w którym stykały się dwa kolory, posypał się na podłogę. Z jego gardła wydobył się rozpaczliwy krzyk. Mężczyzna przechodzący obok zatrzymał się wystraszony. Ale Kornel miał to gdzieś. To jego żal i jego ból były w tym momencie najważniejsze. Jego rozpacz po stracie ukochanej żony, matki wspólnie wychowywanych dzieci i przyjaciółki, kochanki i powierniczki, miłości swojego życia. Opadł na podłogę bezsilny i zaczął wyć niczym zarzynane zwierzę. Już po chwili zbiegły się przy nim trzy pielęgniarki, a wystraszony mężczyzna odszedł w stronę sali swojej córki ze łzami w oczach. Współczuł nieznajomemu. Mógł tylko podejrzewać, że właśnie zmarł mu ktoś bliski. Przez chwilę zastanawiał się, co by zrobił, gdyby to on dostał taką wiadomość.

– Halo, proszę pana? Słyszysz mnie pan? – Dochodziło do Kornela z zaświatów.

– Dziewczyny, posadźcie go na podłodze i oprzyjcie plecami o ścianę – zaordynowała najstarsza z nich.

– Może trzeba po doktora? – zapytała z przejściem trzecia.

– Spokojnie – stwierdziła przełożona. – Damy radę. Halo, proszę pana? Pan na mnie spojrz. No, już lepiej. Wzrok mniej mętny, a pacjent spionizowany. Helka, przynieś wody – poleciła koleżance stojącej najbliżej.

Ledwo utrzymywał się, siedząc. To wszystko, co się działo, wydawało mu się jakimś chorym snem. Było zupełnie nierealne, nieprawdziwe i nierzeczywiste. Przecież to nie mogło się zdarzyć. Przyjechali do szpitala tylko z gorączką. Do jasnej cholery, Olga miała tylko gorączkę! Przecież od tego się nie umiera! Twarz mokrą od wciąż spływających łez osuszała mu chusteczkami jakaś kobieta. Robiło się coraz duszniej, bo coraz więcej osób schodziło się do niego. Starał się podnieść głowę i rozejrzeć, ale była tak ciężka, że ledwo panował nad tym, aby nie opadła bezwładnie. Co się stało? Co się, do kurwy nędzy, stało?! Zapłakał żałośnie, skrywając oczy za dłońmi. Kiedy zostawił Olgę na SOR-ze, pielęgniarka powiedziała mu, że badania zajmą dłuższą chwilę. Kazała wypełnić dokumenty i pojechać do domu po zmianę bielizny dla żony i jakieś dresy.

– Dziś pewnie będzie długo spała i podłączymy jej kroplówkę, ale na jutro proszę przywieźć jakąś wodę i gazetę, żeby się nie nudziła. – Poklepała go po ramieniu, chcąc dać do zrozumienia, żeby się nie martwił.

Wiedziony durną wiarą w system opieki zdrowotnej zostawił ją tam na pewną śmierć. Gdyby tylko pozostał z nią, gdyby tylko nie pojechał do domu, wyrzucał

sobie. Ale pojechał, a kiedy wrócił, zapytał na SOR-ze, dokąd przewieźli jego żonę.

– Oddział wewnętrzny – powiedziała młoda lekarka, odkładając słuchawkę telefonu. Musiała zadzwonić, bo nie było jej wcześniej i nie kojarzyła pacjentki. – Sala numer osiem. – Uśmiechnęła się życzliwie.

Przy biurku dyżurnej zatrzymała go szczupła, młoda dziewczyna. „Ela – studentka pielęgniarstwa” głosił napis na identyfikatorze.

– Przyszedłem do żony. Leży w sali numer osiem – powiadomił ją, rozglądając się po korytarzu, by namierzyć numerek na drzwiach.

Dziewczyna pobladła nagle i rozpaczliwie zaczęła szukać wzrokiem przełożonej. Ale nikogo w pobliżu nie znalazła.

– Co się dzieje? Czy coś z moją żoną? – Wystraszył się, widząc przerażenie w jej oczach.

– Ja nie mogę, to znaczy ja... – dukała nieskładnie. Zapragnęła uciec i zawołać kogoś bardziej kompetentnego. Jeszcze nigdy nie przekazywała wiadomości o śmierci, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– No, mów, dziewczyno! – warknął na nią. – Co z moją żoną? – Nie chciał być opryskliwy. Po prostu udzielił mu się jej strach.

– Ona... To znaczy, pana żona miała zawał. Niestety nic nie mogliśmy zrobić. Proszę poczekać, zaraz zawołam doktora. – I chwyciła słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

Ciemność, jasność, cisza i wrzask przeplatały się, kiedy zdeorientowany odchodził od stanowiska pielęgniarek. Nie wiedział, gdzie idzie ani po co, obrazy rozmazywały mu się przed oczami, tworząc dziwne, niepasujące do siebie miraże. Poczul, że robi mu się duszno, że wkoło brakuje powietrza. Instynktownie rozpiął guzik koszulki polo.

– Kornel? – Niepewny głos Katarzyny Sarneckiej wybrzmiał za jego plecami.

Boże, co on jej teraz powie. Jak można w ogóle coś takiego przekazać. Staral się na nią spojrzeć, ale oczy uciekały mu na podłogę. Jego mina za to mówiła wszystko.

– Nie... – Zasłoniła dłonią usta, rozszerzając oczy w niedowierzaniu. – Nie – powtórzyła, potrząsając głową. Kiedy zobaczyła spływające mu po polikach łzy, wiedziała już, że Olga umarła. Przytuliła się do niego, nie chcą przeżywać tego wszystkiego sama, a może by dać mu wsparcie. – Zostań tu – poleciła, widząc, w jakim jest stanie. – Pójdę po lekarza. – Przetarła załzawione oczy i chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku pokoju medyków. Po drodze do gabinetu wysłała

krótką informację do Mirosława Zagórskiego. Być może będzie potrzebowała jego pomocy, bo ani ona, ani Kornel nie byli w dobrym stanie.

Tyle pamiętał, choć nie wiedział, czy to wszystko wydarzyło się dokładnie w tej kolejności ani jak długo trwało. Nie miał pojęcia, czy jest dzień czy noc, czy jest tu godzinę czy kilkanaście godzin. Czas zatracił swoje właściwości, a życie przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Kornel! – Kaśka biegła do niego z drugiego końca korytarza. – Kornel! To pomyłka. Ona żyje, słyszysz!? Olga żyje! – krzyczała radośnie, jednocześnie zalewając się łzami. Gdy w końcu do niego dotarła, usiadła przy nim na podłodze.

– Proszę ciszej – zgaśniła ją pielęgniarka.

– Może nas pani zostawić? – Sarnecka zabrzmiała, jakby co najmniej wydała polecenie. – Jak mogliście powiedzieć temu człowiekowi, że jego żona umarła? Ja rozumiem przemęczenie, ale do cholery jasnej! – uniosła się, choć od zawsze uważała, że nie jest to dobry sposób rozwiązywania problemów.

– Co powiedziałaś? – Nie chciał wierzyć. Nie chciał dopuścić do siebie nadziei, jeżeli miałyby się okazać płonna.

– W ósemce faktycznie leżała kobieta, która zmarła na zawał, ale to nie Olga. Przypisano jej ten pokój, bo się zwolnił. Tylko że ona jeszcze tu nie dotarła. Podobno wzięli ją na odtruwanie.

– Na odtruwanie? – Do jego świadomości zaczęły docierać usłyszane właśnie informacje. Przetarł twarz dłońmi i spróbował się podnieść. Pomogła mu, kiedy się zachwiał. – Jesteś pewna? To nie kolejna pomyłka? – Drugi raz nie zniósłby takiej wiadomości.

– Jestem pewna. Pewniejsza już być nie mogę – mówiła, na przemian śmiejąc się i płacząc. – Chodź! – Pociągnęła go za ramię, wzrokiem szukając toalety. – Musisz się ogarnąć. Chyba nie chcesz, żeby zobaczyła cię w takim stanie.

Godzinę później siedział przy szpitalnym łóżku, trzymając Olę za rękę. I choć obiecał sobie, że nie będzie przy niej płakał, nie dotrzymał obietnicy. Na szczęście Olga spała. Organizm zmęczony gorączką i chorobą potrzebował czasu na regenerację. Ale najważniejsze, że żyła i nic już jej nie zagrażało.

– Dzień dobry. – Z zamyślenia wyrwał go niski, męski głos. – Pan jest mężem pacjentki? – zapytał mężczyzna w białym kitlu. „Tomasz Słowiński, specjalista chorób wewnętrznych” głosił napis na identyfikatorze przyklejonym do fartucha.

– Tak, Kornel Murecki – przedstawił się.

Lekarz usiadł naprzeciwko niego.

– Stan jest stabilny i kiedy żona się obudzi, objawy już nie powinny wystąpić. Ale badanie toksykologiczne wykazało duże ilości glikozydów nasercowych – zaczął, obserwując czujnie swojego rozmówcę. – Czy jest pan pewien, że żona nie skarżyła się wcześniej na problemy z sercem i nie brała żadnych leków?

– Jestem pewien. Nie mamy w domu żadnych leków. Kiedy dostała gorączki, przetrząsałem całą apteczkę w poszukiwaniu choćby jednej tabletki ibuprofenu. Znalazłem tylko syrop przeciwgorączkowy dla dzieci – tłumaczył. W myślach zastanawiał się, gdzie Olga mogła dostać tabletki na serce i dlaczego je połknęła.

– Rozumiem – zmartwił się lekarz. – Ta substancja znajduje się w lekach, ale też w niektórych roślinach takich jak naparstnica. A tak wysoki poziom, jaki znaleźliśmy w organizmie pana żony, moim zdaniem, nie mógł być przypadkowy.

– To znaczy? – Kornel nie za wiele zrozumiał.

– Przyjęcie dużej dawki glikozydów nasercowych może powodować nie tylko gorączkę i zaburzenia żołądkowo-jelitowe, ale również zaburzenia układu nerwowego, takie jak: bóle i zawroty głowy, stan oszołomienia i splątania, uczucie rozbicia, depresję, zmęczenie i senność, stany majaczenia, halucynacje, drgawki czy omdlenia. Większość z nich zauważyliśmy u pani Olgi. A także bardzo groźne stany kardiologiczne, jak: hipotensję, znaczny rzadkoskurcz, rytm bliźniaczy serca, zmienny lub całkowity blok przedsionkowo-komorowy, tachykardię. I tu na szczęście doszło tylko do hipotensji, ale gdyby dostała większą dawkę albo nie zdążylibyśmy z odtruciem, mogłoby być różnie.

– Dostała? Chce pan powiedzieć, że ktoś świadomie podał jej te glikozydy? – Umysł Kornela zaczął powoli wracać na tory śledczego. Z męża stał się znowu policjantem albo prywatnym detektywem... Wiedział, że będzie musiał zająć się tą sprawą. – Innymi słowy, uważa pan, że została otruta?

– Jeżeli sama nie przyjęła kilkunastu tabletek naraz, to tak, zachodzi takie przypuszczenie, że została otruta. – Obserwował go uważnie, jakby podejrzewał, że sprawcą może być mąż.

Kornel nawet się specjalnie nie zdziwił. W takich sytuacjach małżonkowie często okazują się winnymi.

– Wie pan, w jakiej formie przyjęła truciznę? Można to jakoś sprawdzić? – zaczął swoje przesłuchanie. Poczł, że krew w żyłach zaczyna mu szybciej krążyć.

– Nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić.

– A przybliżoną datę lub godzinę? – kontynuował. – Chyba zestawiając ze sobą objawy i dawkę, możecie określić przybliżony czas? – nakręcał się.

– Myślę, że to było wczoraj – powiedział lekarz. – Ale proszę mi wierzyć, z glikozydami bywa różnie, czasem pierwsze objawy mogą wystąpić nawet po

czterdziestu ośmiu godzinach. Wydaje mi się jednak, że w tym przypadku mówimy raczej o kilku godzinach. Twierdził pan przecież, że były nagłe, niemal gwałtowne. Nie następowały stopniowo, prawda?

Kornel pokiwał głową, zgadzając się z lekarzem. Śledził w myślach cały wczorajszy dzień. Od śniadania do pójścia spać. Kiedy nie jedli razem? Czy to na komendzie Olga dostała coś zawierającego truciznę? Musi skontaktować się z Michalikiem i mu o tym powiedzieć. Na wszelki wypadek trzeba wyrzucić całe znajdujące się tam pożywienie. W domu zrobi to samo. I to jak najszybciej, bo dzieci albo Żaneta mogą trafić na truciznę.

– Przepraszam. – Wstał z krzesła i wyciągnął telefon komórkowy. – Muszę zadzwonić w parę miejsc.

– Oczywiście. – Lekarz spojrzął jeszcze na pacjentkę i wyszedł.

Patryk Rokoszyn zdawał się być cieniem samego siebie. Wrakiem człowieka, jak by określił go Tomek, gdyby żył. Gdyby tylko nie stał się jego pokutą, karą i krzyżem. Czasami zdawało mu się, że go widzi. Że syn siedzi koło niego podczas jazdy samochodem, że w kuchni robi sobie herbatę lub rozmawia głośno w swoim pokoju ze znajomymi z neta. Raz jego śmiech go obudził. Był pewny, że to nie sen, że Tomek bezpieczny za ścianą ogląda jakąś komedię. Zerwał się na równe nogi i pobiegł do niego w środku nocy. Ale zobaczył tam tylko Kalinę. Leżała skulona na łóżku syna i wyła żałośnie.

– Przepraszam – wyszeptał, podchodząc. – Wybacz mi – odważył się prosić już głośniej.

Ale ona nie zareagowała. Jej ból i rozpacz kotłowały się z wściekłością i nieubłaganie. I bez znaczenia już, które z nich odczuwała bardziej. Życie przestało mieć jakikolwiek sens.

– Kalina? – Dotknął delikatnie jej nogi. – Proszę cię. Musimy to jakoś przetrwać. Musimy być silni... – Rozpłakał się, choć postulował co innego. Czuł się winny. Ba! Doskonale wiedział, że nim jest. Ale rozumiał też, że jeżeli teraz się nie pozbierają, ta historia uśmierci ich wszystkich.

– Odejdź! – wydarła się na niego. – Wynoś się! – Odepchnęła jego dłoń i rzuciła się na poduszkę. Zanosila się to krzykiem, to płaczem, pozwalając, by żal zaciśkał jej gardło. Wszystkie mięśnie ciała pozostawały napięte i obolałe, ale to gardło bolało ją najbardziej. Dobrze, pomyślała. Niech się zaciśnie. Ona i tak nie ma już dla kogo żyć.

Tylko takie wspomnienia nawiedzały teraz Patryka. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, a ręce trzęsły się jak u ćpuna na głodzie. Czy dobrze zrobił? Teraz miał wątpliwości. Zdawał sobie sprawę, że wydarzenia z ostatniego tygodnia zniszczą ich jako rodzinę, jako małżeństwo, a być może i jako ludzi. Kiedy to wszystko się skończy, pójdzie na policję i powie prawdę. Ale na razie nie może. W jego życiu liczyła się już tylko jedna osoba i wiedział, że nie może jej stracić. Spojrzał na swoje żalosne odbicie w lusterku wstecznym. A więc tak wygląda człowiek przegrany. Winny rozpadu rodziny i śmierci dziecka. Który od tylu lat kłamał, a kiedy wreszcie wyznał prawdę, znów został zmuszony do kłamstwa pod najstraszliwszą groźbą.

Za chwilę wejdzie do prosektorium, by zidentyfikować zwłoki swojego syna. Nie miał już siły ani udawać, ani płakać. Wyszedł z auta i zamknął je automatycznie. Nie patrzył przed siebie, wzrok spuścił na nierówny chodnik. Zastanawiał się

tylko, kiedy go aresztują. Czy przyjadą po niego do domu, czy odbędzie się to zaraz po identyfikacji Tomka? Przed oczami przemknęło mu wspomnienie śmiejącego się bobasa, którego kołysał na kolanach. Podmuchy wiatru przyniosły odgłos jego gaworzenia. Nie kontrolował, kiedy łzy wydostały się z jego oczu, choć myślał, że wszystko, co mógł, już wypłakał.

– Jak chodzisz, człowieku! – naskoczył na niego jakiś typ ubrany w elegancki, beżowy płaszcz. Nie zauważył, kiedy na niego wpadł.

– Przepra... – Chciał zachować się w miarę stosownie, podniósł wzrok i wtedy go rozpoznał. Tylko przez sekundę zastanawiał się, czy to naprawdę on. Czy to możliwe i czy... Boże!

– Patryk? – Mężczyzna przyglądał mu się uważnie.

On też nie wyglądał najlepiej. Pomimo ewidentnych pieniędzy, co manifestował ubiorem, nie wydawał się szczęśliwy. Wręcz przeciwnie. Na jego twarzy malował się smutek tak wielki, że tylko inny rodzic, który stracił dziecko, był w stanie zrozumieć. Ale to by znaczyło, że...

– Szymon – bardziej oznajmił, niż zapytał Patryk, bo w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę, że ich spotkanie nie jest przypadkowe. To jego córka została znaleziona martwa na terenie bursy. A Patryk był tak odurzony zniknięciem Tomka, tak skoncentrowany na swoim bólu, na próbie samobójczej żony i na przesłuchaniach, że kompletnie nie skojarzył faktów.

– Co ci jest? – zapytał napotkany, kiedy Patryk Rokoszyn osunął się na ziemię. Nie usłyszał odpowiedzi. Schylił się i próbował go podnieść. – No dalej, stawaj – ponaglał, chociaż sam nie miał siły, by ustać. Zaprowadził starego znajomego do najbliższej znajdującego się budynku. Choć bez przekonania, czy lekarz z prosektorium jest w stanie komukolwiek pomóc.

– Musimy porozmawiać – powiedział Patryk, kiedy oprzytomniał. – Spotkaj się ze mną.

– To nie najlepszy moment – przyznał ze smutkiem ten drugi. – Właśnie straciłem córkę. Przeszedłem do prosektorium po kopię z sekcji.

– A ja syna. Właśnie w tej sprawie musimy porozmawiać.

Nawet nie masz pojęcia, jak się martwiłem – powiedział, całując ją w policzek, kiedy się przebudziła.

Biorąc pod uwagę, co przeszła, była w wyjątkowo dobrej kondycji i nawet lekarze wyrażali zdziwienie tak szybką regeneracją organizmu.

– Wystarczyło dać matce dwójki dzieci trochę pospać i voilà! – zażartowała. Doskonale wiedziała, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny było z nią ciężko, ale najważniejsze, że wszystko, co złe, już za nimi.

– Olga, musimy poważnie porozmawiać. – Złapał ją za rękę. – Lekarze podejrzewają, że zostałam otruta. Musisz sobie przypomnieć, co wczorajszego dnia jadłaś innego niż osoby w twoim otoczeniu. A najlepiej jeszcze, od kogo to jedzenie dostałaś.

– Otruta? Ale jak to? – Potrząsała z niedowierzaniem głową. – Kto by chciał... – zamilkła. Jedyne, co przyszło jej na myśl, to dziwny smak karmelowego cukierka, którego dostała od małej Tamary. Ale przecież to niemożliwe, żeby dziecko...

I wtedy do niej dotarło. Przypomniała sobie wszystko jasno i dokładnie.

– Kornel! – krzyknęła niemal, chociaż siedział blisko. – Musimy natychmiast wysłać kogoś do obserwacji bursy!

– Co? – Wybiła go z toru myślenia.

– Nie „co”, tylko dzwoni do Michalika. Podejrzewam, że zabójca podrzuci tam zwłoki Tomka. Ja wiem, że to może wydawać się dziwne, bo niby skąd takie przypuszczenia... – mówiła szybko, niemal nie mogąc złapać tchu. – Za chwilę ci wszystko wytłumaczę, ale dzwoni do niego teraz albo najlepiej daj mi telefon!

– Olga... – Spojrzał na nią poważnie. – Poczekaj.

– Nie ma na co czekać. Ta mała mi wczoraj powiedziała, że on umrze, że Doris Tomasa zaraz przywita, rozumiesz? – Jego mina wydała jej się niepotrzebnie podejrzliwa. Ale właściwie jak miał pojąć te rewelacje. – Ja wiem, że to dziwne, bo niby skąd małe dziecko by wiedziało, ale Tamara wiedziała, przysięgam!

– Kochanie... – Przsunął się, by mocno ją przytulić. Przeczuwał, że nagromadzone emocje spowodują zaraz nagły atak płaczu. – Już za późno – wyszeptał. – Już go znaleźli.

Poczuł, jak mięśnie jej ciała wiotczeją w jego objęciach, a z gardła wyrywa się cichy płacz.

– Przykro mi. – Spojrzał na nią czule, kiedy się uspokoiła. – Został zabity niedługo po porwaniu. I tak byśmy nie zdążyli. – Starł jej z policzka ostatnią łzę. – A teraz opowiedz mi wszystko od początku.

– Powiem ci coś, ale się ze mnie nie śmieję – poprosiła, analizując, czy to ma jakikolwiek sens. Czy czasem gorączka nie zrobiła z jej mózgu kompletnej sieczki, skoro podejrzewa kilkulatkę o udział w tej okropnej zbrodni. A na dodatek kompletnie nie wie jaki.

– Obiecuję.

– Pamiętasz wczorajszy spacer? Kiedy odszedłeś pobawić się z dziewczynkami, a ja zaczęłam rozmawiać z tą kobietą z dzieckiem? – kreśliła moment spotkania.

– Tak.

– To one mieszkają w tym bordowym domu przy terenie bursy. Byliśmy u nich z Mirkiem po znalezieniu zwłok Doroty. Ale krótko. Milena Rogalska nic nie wiedziała, córka marudziła, że jest głodna, i nasza rozmowa szybko się skończyła.

Słuchał jej uważnie, nie widząc na razie związku z zabójstwami.

– Już wtedy odnieśliśmy wrażenie, że nie tyle nie może, co nie chce z nami rozmawiać. No ale mogła mieć milion własnych spraw. Ale i wczoraj była wyjątkowo spięta. Ewidentnie nie cieszyło jej spotkanie ze mną i starała się jak najszybciej wrócić do domu.

– Może nie lubi policji. To się zdarza – wtrącił.

– Tak... – Olga westchnęła. Nie była pewna, czy powinna to mówić. Czy nie zrobi z siebie wariatki. – Kornel, nie ogarniam, co się dzieje. Pewne wydarzenia mieszają mi się w głowie i wydaje mi się, że w tej gorączce wiele rzeczy poplątałam ze sobą albo jakieś fantastyczne historie uznałam za prawdziwe.

– Nie rozumiem nic z tego, mówisz. – Uśmiechnął się. – Powiedz prosto z mostu i zobaczymy.

– Dobrze. Więc opcje są dwie. Albo to sobie wymyśliłam, bo byłam już pod wpływem tej trucizny i miałam halucynacje, albo ta rozmowa odbyła się naprawdę.

– Okej... – Ciekawiło go to coraz bardziej. – O co chodzi?

– Ta mała dziewczynka, Tamara. Ona... – zawahała się. – Ona dała mi cukierka. O dziwnym smaku jak na krówkę, ale nie chciałam jej robić przykrości, zjadłam i jeszcze pochwaliłam, że pyszny.

– Yhm... – Czy jego żona właśnie zrzuca winę otrucia jej na małe dziecko? Do tej pory zawsze działała racjonalnie i nic takiego nie przyszłoby jej do głowy.

Może faktycznie nie doszła jeszcze do siebie. Albo to były zwykłe omamy.

– Poczekaj! – Złapała go za rękę, gdy się odsuwał. – Ta mała spytała, czy chce posłuchać wierszyka. Przytaknęłam, a ona przysunęła się do mnie tak, żeby jej mama tego nie słyszała, i wyrecytowała coś w stylu: Lila, Adusia, a nawet Basia, łapią motylki, wachają kwiatki, bawią się w berka już od trzech dekad, wciąż mylą tropy i gubiąc wątki. W niebie jest pięknie, Pan Bóg je stworzył. Bujna przyroda wciąż tam rozkwita. Doris niedługo kogoś przywita...

Zamarł. Czy to możliwe, żeby Olga w malignie wymyśliła sobie tę historię? Szczerze wątpił, ale z drugiej strony, skąd pięcioletnia dziewczynka znałaby taki wiersz? Nie wierzył w przypadki.

– Zaraz, zaraz... – Wstał z krzesła, by rozchodzić ciarki, które poczuł w nogach. – Chcesz powiedzieć, że to dziecko wie coś na temat zabójstwa tych trzech dziewczyn, których kości znaleziono w sierpniu? Bo jeżeli dobrze rozumiem, Lila, Adusia i Basia to te trzy szkielety, tak? – Odpowiedziała mu ponura cisza, więc kontynuował: – A co więcej, ta mała twierdziła, że do Doroty w niebie dołączy niedługo Tomek? – To wszystko wydało mu się absurdem. Z Olgą faktycznie nie było jeszcze najlejiej.

– Ja wiem, jak to brzmi... – Czuła, że robi z siebie kretynkę. – Ale w chorobie śniły mi się różne sceny. Te trzy dziewczyny bawiące się przy ognisku, jakiś mężczyzna, który je obserwował, i jeszcze... – przypominała sobie. – Ten wierszyk ciągle zmieniał zakończenie. Czasem było: „Doris niedługo kogoś przywita”, czasem: „Tomasa przywita”, a czasem: „Olgę”. Wszystko mi się teraz miesza i tak naprawdę nie wiem, co jest prawdą, a co tylko senną marą, ale fakty są takie, że Tomek nie żyje i że został znaleziony w tym samym miejscu co Dorota i pozostałe trzy dziewczyny. Prawda?

– Olga, prawda, ale... – powiedział głośniejszym głosem, niż zamierzał. – Przecież nie aresztujemy dziecka, bo śniło ci się, że powiedziała ci wierszyk!

– A to, że ktoś mnie otruł, też mi się przyśniło?! – wyrzuciła mu. Sama nie różniła prawdy od urojeń, ale zabolalo ją, że Kornel potraktował ją jak wariatkę.

– Okej. – Podniósł ręce. – Spokojnie. Jest dwudziesta – oznajmił, spoglądając na zegarek. – Pojadę odwiedzić tę Milenę Rogalską. Może jeszcze się nie położyła.

– Nie jesteś już policjantem, nie możesz oficjalnie wtrącać się w śledztwo – uprzedziła go, bojąc się konsekwencji, jakie wyciągnie wobec niej Michalik za angażowanie Kornela w sprawę.

– Tym lepiej. Przecież sama zauważyłaś, że Milena nie lubi policji. Może z sąsiadem martwiącym się o żonę będzie bardziej skłonna porozmawiać. A ty odpo-

czywaj! – Podszedł i dał jej całusa w czoło. – Jutro wpadnę do ciebie po śniadaniu. A teraz idź spać i niczym się nie martw.

– Jasne. – Udała spokojną, choć buzowało w niej napięcie. – Kornel – zatrzymała go w drzwiach – czy z dziewczynkami wszystko dobrze?

– Oczywiście, że tak. Na zmianę siedzą z nimi Kaśka i Żaneta. Nawet Dawid przyjechał na weekend i wpadł dzisiaj. Niczym się nie martw.

– Okej...– westchnęła. Poczowała wyrzuty sumienia, że przez jej obowiązki i to, co się teraz działo, córki nie spędzają czasu z ojcem. Dotarło do niej, że minął już tydzień, odkąd Kornel jest w domu, a to oznaczało, że za kolejny tydzień wyjeżdża. Zgodziła się na jego pracę, ale teraz przepełniał ją smutek i bunt. Choć może to był żal do Kornela? Wydawało jej się, że zirytował się tym, z czego mu się zwierzyła. Wyczuła, że nie chce marnować czasu na wyssane z palca teorie. Dlatego część kwestii przemilczała.

Kiedy śniła, widziała twarz mordercy za drzewem. Nie wierzyła w magię, czary ani zjawiska nadprzyrodzone, ale co, jeżeli umysł składał pewne fakty i w ten sposób podsunął jej rozwiązanie zagadki? Tylko dlaczego, do cholery, to prokurator Robert Kowalik zabił? Jaki miałyby motyw i czy potrafiłby aż tak grać, żeby jednocześnie prowadzić śledztwo w tej sprawie? Zamyśliła się. To w sumie niegłupie połączenie. Jest blisko dowodów, orientuje się na bieżąco, w którym punkcie znajdują się policjanci, i może z łatwością mylić tropy. Co więcej, to on przecież przedstawiał sprawę trzech szkieletów u szefa prokuratury i to on mógł wpływać na to, czy śledztwo zostanie ponownie otwarte czy uznane za przedawnione. Jeżeli faktycznie te trzy dziewczyny łączy coś z obecnymi zabójstwami, to miała przeczucie, że Kowalik doskonale o tym wiedział. O Boże! Właśnie zdała sobie sprawę, że dziwnym trafem prokurator złamał sobie obojczyk dokładnie po nocy, kiedy goniła mężczyznę na terenie bursy. Bez żadnych wątpliwości – to był on. Spryciarz, nie pojawił się na prowadzonym przez nią spotkaniu śledczych, bo nie chciał, żeby skojarzyła fakty. Jej umysł błyskawicznie przetwarzał kolejne informacje. Nie powinna tu siedzieć z założonymi rękoma. Dziś jeszcze pozwoli, żeby podłączona do nadgarstka kroplówka poprawiała jej stan zdrowia, ale z samego rana wypisze się na własne żądanie. Poszukała w szufladzie stolika przy łóżku schowanej tam przez męża komórki. I wybrała numer.

– Maria? – zapytała dla pewności, słysząc zaspany głos Chmurzyńskiej.

– Tak, sorry, zdrzemnąłam się. Wiesz, za dużo emocji – usprawiedliwiła się, mając na myśli kolejne zwłoki, informację o śmierci Olgi i jej sprostowanie.

– Okej, słuchaj. Musisz wziąć się w garść i opowiedzieć mi wszystko, co wiesz, o Robertcie Kowaliku, i to ze szczegółami – poleciła.

Maria Chmurzyńska się uśmiechnęła. Lubiała plotki. A o tym człowieku było co gadać...

Trzydzieści lat wcześniej

Wstawaj, cwelu! – Robert pochylał się nad powalonym na ziemię Perszingiem. – No dawaj, przecież nie będę kopał leżącego! – wydzierał się do ucha półprzytomnego chłopaka.

– Robert, zostaw go! – Lila podbiegła do niego i rzuciła mu się na plecy. – Co robisz? Przecież go zabijesz! – Płakała i okładała go pięściami.

– Jesteś moja, rozumiesz?! – Chwycił ją w pasie i trzymał mocno, gdy się wrywała. Ziajał zmęczony walką, bo choć pokonał przeciwnika, musiał przyznać, że Perszing nie był w bójce taki najgorszy. – Zdałem maturę i dostałem się na prawo. A to oznacza, że ojciec się ode mnie odczepi – dyszał. – Pomyśl tylko, wyjedziemy z tej dziury, zamieszkamy razem i będziemy się cieszyć życiem. Będę cię traktował jak królową, zobaczysz, obiecuję ci to.

– Nie, już nigdy nie będę twoja! – wykrzyczała mu prosto w twarz. Spojrzała na dźwigającego się pomału Perszinga. Obraz rozmazywał jej się od nagromadzonych łez. – Zostaw mnie – warknęła do Roberta i wyswobodziła się z jego objęć.

– Nic mi nie jest – powiedział podnoszący się z kolan chłopak, któremu z kącika ust spływała krew. – Zostaw. – Odsunął jej rękę od obolałego miejsca.

Czuł się zażenowany i poniżony. Nie chciał, żeby oglądała go w takim stanie. Co więcej, na chodniku dopiero teraz dostrzegł grupkę gapiów. Za chwilę rozejdzie się po całej Jeleniej, że znów jest w czymś kiepski. Że nie potrafi obronić swojej dziewczyny, że na nią nie zasługuje. Sam też tak myślał. Nie zasługiwał na nią ani na żadną inną, skoro nie jest w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Robert Kowalik, chociaż był od niego niższy i chudszy, powalił go na ziemię jak zawodowy bokser. To nie o siłę musiało tu chodzić, ale o wiarę w siebie i hardość. On ich nie miał i nie wiedział, czy to się kiedykolwiek zmieni. Jego umysł przepelniało wiele dylematów, hipotez i wątpliwości. Uważano go za rozważnego i z uporem dążącego do celu, ale z pewnością nie za przebojowego i pewnego siebie.

– Artur... – Usłyszał ciepły głos wpatrującej się w niego dziewczyny. Spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. – Wiem, o czym teraz myślisz, ale ja wybieram ciebie. Pamiętaj... – Dotknęła jego obolałego policzka. – Jestem twoja.

Przechodnie pomału rozchodzili się i nikt nie zwracał już na nich uwagi.

– Chodź – wyszeptwała, łapiąc go za rękę.

Ale on ją wysunął.

– Idź przodem – poprosił. – Zaraz do ciebie dołączę.

Popatrzyła na niego niepewnie, ale tak zrobiła. Nie oglądając się za siebie, odeszła parę kroków. W tym samym momencie Robert zbliżył się do Artura rzucającego mu spojrzenia pełne wyższości. Niemal buchała z niego nienawiść, ale uderzył ponownie. Zamiast tego spróbował innej opcji. Groźby. Był przekonany, że cel uświęca środki, a w miłości i na wojnie wszystkie chwytły są dozwolone. Nie pozwoli, by jakiś dwa lata młodszy od niego szczył wygrał z nim walkę o kobietę.

– Masz tydzień – oświadczył. – Jeżeli jej nie zostawisz, to cię wykończę! – Zdał sobie sprawę, że z każdą sekundą traci przewagę. – Albo nie. – Wpadł na lepszy pomysł. – Wykończę ją. Skoro nie będzie moja, nie będzie niczyja. Rozumiesz? – wyszeptał. Nie chciał, żeby ktokolwiek usłyszał te pogrożki. Dopiero teraz zobaczył zamierzony efekt. W oczach Artura pojawił się strach.

– Jak skończę liceum, wstąpię do policji. Lepiej uważaj, bo kiedy będę już policjantem, za takie słowa i czyny po prostu cię aresztuję. – Powiedział to nie dla postrachu, ale faktycznie przyszło mu to teraz do głowy. Ten zawód zdawał się idealny, bo będzie mógł dawać nauczki takim zarozumiałym dupkom jak Kowalik.

– A to dobre! – Zaśmiał się chłopak.

– Śmiesz cię to? – zapytał poważnie Artur.

– No raczej. – Robert spowaźniał. – Bo kiedy ty będziesz policjantem, a ja prokuratorem, to technicznie rzecz ujmując, będę twoim szefem – skwitował szczerze rozbawiony. Ojciec miał rację. Prawo dawało duże możliwości. Ale przede wszystkim budziło respekt. – Tydzień. Nie będę się powtarzał.

Kornel jechał swoim ukochanym volvo do Sobieszowa. To zawsze była jego ulubiona marka i choć Niemcy dali mu całkiem dobry samochód służbowy, to poczuł sentyment, wsiadając do swojego starego auta. Na co dzień jeździła nim Olga z dziećmi, co niestety dawało się zauważyć. Pełno okruszków, plama na tapicerce, puste butelki od napojów na chodnikach. Przewrócił tylko oczami, zapamiętując, żeby jutro zrobić porządek. Nawet nie zamierzał jej tego wypominać. Zaczął się zastanawiać, czy to dobry pomysł, żeby Olga mieszkała sama z dziećmi. Tyle ma na głowie, że ewidentnie brakuje jej czasu i sił, by wszystko ogarnąć. Wiedział, że jeżeli ją zapyta, to przysięgnie, że sobie poradzi, ale na dłuższą metę ta sytuacja ją przytłoczy. Może jeżeli ustabilizuje się w nowej robocie, zaproponuje jej i dziewczynom przeprowadzkę? Odrzucił te myśli, widząc na desce rozdzielczej przychodzące połączenie.

– Cześć – starał się brzmieć energicznie i pewnie. Chyba nie chciał już dziś kolejnej wizyty martwiących się o nich znajomych.

– Jak Olga? – Mirek przeszedł od razu do sedna.

– Już dobrze. W organizmie nie krążą już toksyny. Właściwie wszystko wróciło do normy – nie musiał nawet kłamać.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Przeżyliśmy coś okropnego, kiedy Kaśka wysłała wiadomość o jej śmierci. – Wciąż buzowały w nim emocje.

– Tak, koszmar na pomyłkę, na szczęście z dobrym zakończeniem – starał się wykrzesać z siebie jeszcze trochę optymizmu. – A co u was? Jak śledztwo?

– Jedziemy właśnie na plebanię w Sosnówce. Mam na myśli mnie i Kubę, tyle że on osobno, bo był u jakiejś panienki! – Zaśmiał się.

– Niektórzy to mają klawe życie – zawtórował mu Kornel. – I co, chcesz, żeby się wypowiadał, grzesznik jeden?

– Dobrze by było, ale chyba nie będzie u kogo... – Zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się, czy powinien zwracać koledze głowę kolejnymi wieściami.

– No dawaj, przecież słyszę, że coś się dzieje – ponaglił go.

– Dostaliśmy zgłoszenie, że tamtejsza gospoia znalazła martwego księdza. Samobójstwo – oznajmił. – Podobno się powiesił.

– W Sosnówce, mówisz? – Kornel przypomniał sobie ich wczorajszą wizytę i informacje od proboszcza. Do cholery jasnej, przecież takie rzeczy nie dzieją się przypadkowo. – Posłuchaj, jeżeli mówimy o proboszczu, to sprawdź wszystko

dokładnie. Wczoraj chętnie z nami współpracował i myślę, że ktoś specjalnie mógł upozorować tę śmierć. Nie wyglądał mi na kogoś, kto chce się zabić.

– Okej, ale nie chodzi o niego.

– Nie? – Kornel zmarszczył brwi.

– To jakiś ksiądz Grzegorz, tamtejszy wikary. Jak chcesz, to zadzwonię do ciebie potem.

– Będę wdzięczny. I mam prośbę – powiedział, zanim się rozłączył. – Nie dzwońcie dziś do Olgi. Niech odpocznie.

– Nie, no. Jasna sprawa. Trzymaj się.

Pod dom Mileny Rogalskiej podjechał dokładnie o dwudziestą dwadzieścia pięć. Wyszedł na podwórko skapanie w ciemności i mrozie. Dzisiejsze temperatury przypominały iście zimowe. W telewizji straszili nawet wczesnymi opadami śniegu, ale jakoś w to nie wierzył. W oknie domu zobaczył poruszającą się postać kobiety. Wszedł na posesję i zapukał do drzwi. Jako ojciec doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że o tej porze dzieci mogą już spać i żaden rodzic nie pochwali obudzenia ich dzwonkiem. Usłyszał dwa szczeknięcia psa i zbliżające się kroki. Przez moment miał wrażenie, że Milena obserwuje go przez wizjer. Pewnie zastanawiała się, czy go wpuścić. W ostatecznym rozrachunku musiała podjąć decyzję na tak, bo usłyszał przekręcany klucz i drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry – przywitał się z posępną miną. Postanowił niczego nie udawać. Jeżeli będzie chciała rozmawiać, powie jej wprost o swoich obawach i zapyta o jej zdanie. Jak sąsiad, nie jak policjant.

– Pan jest mężem tej policjantki – powiedziała nieufnie.

– Tak. Nazywam się Kornel Murecki i mieszkamy z żoną ulicę dalej. – Spojrzał jej prosto w oczy, czekając na jakąś reakcję.

– Czego pan chce? Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nas ciągle nachodzić. – Wydawała się jednocześnie wystraszona i zirytowana.

– Nachodzimy? – zdziwił się. – Przepraszam. Nie chciałbym, żeby odniosła pani takie wrażenie. Moja żona jest w szpitalu. Została otruta. Przyjechałem do pani, żeby prosić o rozmowę. Staram się odtworzyć wszystko, co Olga robiła wczoraj, z kim rozmawiała i o czym. Szukam sprawcy na własną rękę. Pamiętam, że spotkaliśmy się na spacerze, i będę wdzięczny za chwilę rozmowy.

Podziękowało. Kobieta, która z początku przyjęła postawę defensywną, ewidentnie złagodniała po usłyszanych wiadomościach. Chyba nawet pojawiła się w jej spojrzeniu nuta zmartwienia i przejęcia całą sytuacją. Być może uznała, że skoro może jakoś pomóc w ustaleniu, co stało się jego żonie, to spróbuje to zrobić

– Chce się pan napić herbaty? – zapytała, uchylając szerzej drzwi wejściowe.

– Bardzo chętnie, dziękuję.

– Moja córka śpi na górze, ale zdarza jej się schodzić i podsłuchiwać rozmowy, kiedy wiszę na telefonie albo przyjmuję akurat w domu koleżanki. – Zaśmiała się. – Dlatego jeżeli będzie pan chciał przekazać coś nie dla uszu dziecka, to proszę ściszyć ton.

– Jasne. Sami mamy dwie córki, Olę i Zuzię – powiedział wcale nie dlatego, żeby wzbudzić w niej poczucie zaufania. Po prostu wiedział, o co jej chodzi. – I też przyjęliśmy taką zasadę, żeby w domu nie rozmawiać o sprawach z pracy żony.

– W takim razie mnie pan rozumie. To dobrze. Jak mogę pomóc?

– Pani Mileno, proszę, niech mi pani opowie, o czym rozmawiała wczoraj z moją Olgą.

– Właściwie to o niczym ważnym. Zwykła, kurtuazyjna rozmowa. Spotkanie sąsiadek i tyle. Tak naprawdę to się spieszyłam... – Jej policzki przybrały żywszy kolor. – Nie, to nie jest prawda. Ja po prostu nie chciałam rozmawiać z policjantką. Służby mundurowe źle mi się kojarzą i unikam wciągania mnie w jakiegokolwiek afery.

Wydawała mu się nagle bardziej spięta.

– A pani córka jak ma na imię?

– Tamara.

Jej mina zdradzała podejrzliwość. Wydawało mu się również, że się boi.

– Czy Tamara rozmawiała z Olgą?

– Chyba tak. To znaczy poczęstowała ją cukierkiem. Ona wyjątkowo lubi pana żonę. O ile można lubić kogoś, kogo się nie zna – poprawiła się. – Ale Tamara tak już ma, że wyczuwa dobrych i złych ludzi – powiedziała z rozpędu i od razu tego pożałowała. Do cholery jasnej, przecież nie będzie obcemu facetowi zwierzała się z tych spraw, bo uzna ją za wariatkę.

– To miłe, co pani mówi – przyznał, nie podejrzewając nawet, o co jej chodziło. – Czy pani albo córka też jadłyście te cukierki?

– Pan chyba nie myśli...? – zdenerwowała się. Potarła dłonią o ramię. Właśnie dlatego nie chciała rozmawiać z glinami. Z historii matki doskonale wiedziała, że nawet kiedy im się pomagało, oni i tak widzieli w każdym podejrzanego.

– Spokojnie. Nie podejrzewam was – ułagodził ją momentalnie, jakby czytał jej w myślach. – Ale może to jakaś zanieczyszczona seria czy coś. Wie pani, różnie się zdarza teraz w sklepach. Absolutnie to nie zarzut. Ale żona była wczoraj

okazem zdrowia, do momentu powrotu ze spaceru. Dziś rano lekarze musieli walczyć o jej życie – trochę podkoloryzował. – Nie chcę, żeby was też to spotkało.

– Przykro mi. – Naprawdę się przestraszyła. – Proszę poczekać.

Po dwóch minutach wróciła z przedpokoju, niosąc płaszcz córki. Z jednej z kieszeni wyciągnęła dwa karmelowe cukierki.

– Mówiła, że dostała je od tego policjanta, który był u nas parę dni temu. Ale ona nie lubi krówek. Wątpię, żeby zjadła. Ja też ich nie ruszyłam. – Podała mu cukierki do ręki.

– Zabiorę je do laboratorium i sprawdzimy. Pamięta pani nazwisko tego człowieka?

– Nie. Nazywał się jakoś tak zwyczajnie. Kowalski czy Kwiatkowski, a może inaczej, ale to jedno z tych nazwisk, które się słyszy wszędzie. Przyszedł i wypytywał, czy niczego nie widziałam. Prosił o pokazanie pokojów, z których jest widok na park. Niby zastanawiał się nad umieszczeniem u nas kamer. Ale stwierdził, że przez te drzewa i tak nic nie widać. Był nawet w ogrodzie. Tamara go nie polubiła. Proszę wybaczyć, ale wyczuła od niego śmierć. – Zawahała się, bo znów zdała sobie sprawę z tego, że powiedziała za dużo. – Wie pan, pewnie doświadczony policjant, to dużo śmierci widział, a dzieci mają wybujałą wyobraźnię. – Chciała przekuć tę informację w żart.

– Rozumiem. – Kornel nic nie wiedział o policjancie Kowalskim prowadzącym czynności przy śledztwie. Ale nie pracował już w policji i być może Michalik dołączył do zespołu kogoś do pomocy. – Kiedy to było?

– Chyba w czwartek – odparła po krótkim namyśle. – Tak, w czwartek po południu. W każdym razie – ciągnęła dalej Milena, zastanawiając się dlaczego tak łatwo rozmawia się jej z tym człowiekiem – on zaproponował, że nauczy ją wierszyka. I wtedy się trochę ośmieliła.

Kornel zamarł w bezruchu.

– Wierszyka?

– Tak, tak. Ale nie takiego Brzechwy czy kogoś znanego. Ten wasz policjant to chyba wielbiciel kultury alternatywnej. – Zaśmiała się. – Chce pan jeszcze herbaty? – Spojrzała na jego pusty kubek.

– Czy w tym wierszyku było coś o bawiących się dziewczynkach? Lili, Adzie i Basi? – zapytał, nie zwracając sobie głowy konwenansami.

– Tak! – odpowiedziała entuzjastycznie. – Skąd pan wie?

– Pani Mileno, proszę mnie posłuchać. – Spojrzał na nią uważnie. – Niech pani nigdy więcej z nim nie rozmawia ani nie wpuszcza go do domu. Dobrze?

Kobieta poważnie się przestraszyła.

– Dobrze – przytaknęła. – Ale co się dzieje?

– Prawdopodobnie to nie był policjant, a zabójca – zakomunikował bez ogródek. Z początku nie zamierzał jej martwić, ale w ostatecznym rozrachunku stwierdził, że powinna wiedzieć, z kim miała do czynienia. Dla własnego dobra i bezpieczeństwa. – Czy ten mężczyzna dotykał czegoś w mieszkaniu? – Rozejrzał się dookoła po meblach. Było ich sporo. W dodatku przy oknach dostrzegł granitowe parapety. Jeżeli Milena nie ścierała od czwartku kurzu, to bardzo prawdopodobne, że potencjalnych odcisków palców będzie dużo.

– Nie wiem... – zdawała się zdekoncentrowana. – Ale jak to zabójca? Ma pan na myśli te ciała znalezione na terenie bursy? W sensie, że zabójca udawał policjanta i przyszedł do mojego domu? – Zadrżała. – To dlatego Tamara wyczuła od niego śmierć – dopowiedziała po cichu.

– Słucham? – Nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Powiem coś panu, ale pod jednym warunkiem, dobrze? – W jej oczach pojawiły się łzy.

– Dobrze... – zgodził się, a potem wysłuchał jej historii.

Mirosław Zagórski spoglądał właśnie na odcinaną przez policjantów linię utrzymującą sztywne, martwe ciało księdza Grzegorza. Pomimo uchylonego okna w powietrzu rozchodził się nieprzyjemny zapach.

– Sam to zrobił czy ktoś mu pomógł? – rzucił pytanie stojący obok niego Kuba. Włożył do buzi gumę miętową, żeby jakoś przebić smród śmierci. – Chcesz jedną?

– Dzięki. – Mirek skorzystał z poczęstunku. – Nic nie wskazuje na to, żeby brały w tym udział osoby trzecie. – Rozejrzył się. – Ale nieraz już okazywało się inaczej.

Pokój księdza wydawał mu się zwyczajny, niczym nieróżniący się od pokoi zwykłych śmiertelników. Szafki z książkami i bibelotami zajmowały jedną stronę pomieszczenia, zaścielone łóżko drugą, pod oknem stało biurko z komputerem. Zwykłe elementy wystroju wnętrza, jakie widział u każdego. No, może tylko krzyż wiszący nad wejściem nie jest już standardem w polskich domach.

– Przypomnijcie mi: dlaczego wybrałem ten zawód?

Za nimi pojawił się Robert Kowalik. Ewidentnie zmęczony, ale takiej rezygnacji w jego głosie nie słyszeli wcześniej.

– Dzień dobry, panie prokuratorze. – Jakub Zdanowicz wyszczerzył się do przybysza. – Nie wiem, jak pan, ale ja chciałem wrywać panienki na spluwę – zażartował, ale Kowalikowi zupełnie nie było do śmiechu.

– Ode mnie wszystkie uciekają, kiedy tylko zakomunikuję, że znów wzywają mnie do trupa. Jakoś nie mogą ogarnąć, że moja praca nie polega tylko na chwaleniu się nowym krawatem na sali sądowej – skwitował kwaśno. – Co mamy?

– Ksiądz Grzegorz Hołda – Mirek Zagórski rozpoczął sprawozdanie. – Lat czterdzieści osiem. Tutejszy wikary. Prawdopodobnie samobójstwo. Na biurku znaleźliśmy list pożegnalny. – Wskazał dłonią na zabezpieczony folią świstek. – Ale niewiele nam to wyjaśnia.

– Nie napisał, czemu to zrobił? – zdziwił się Kowalik. Nie zawsze samobójcy zostawiali po sobie listy, ale kiedy już to robili, zazwyczaj zamieszczali w nich obszernie wyjaśnienia przepelnione żalem i emocjami.

– Jakby to powiedzieć... – zastanowił się Kuba, po czym machnął ręką. – A zresztą może przeczytam. – Wziął do ręki foliową torebkę i skupił wzrok na liście. – W sumie „list” to niewłaściwe określenie jak na te kilka słów. „Błagam

Boga o wybaczenie. Wszystkie swoje dobra przekazuję ubogim”. – Spojrzał na prokuratora. – Krótko i na temat.

– Problemy psychiczne? – zapytał Kowalik.

– Nie mamy pojęcia. – Zagórski wzruszył ramionami. – Proboszcz wyjechał do Krakowa na gościnne występy. Zabrał ze sobą jeszcze jednego księdza. Gospościa, która znalazła ciało, twierdziła, że ksiądz Grzegorz zawsze zachowywał się specyficznie, ale ostatnio targwały nim skrajne emocje. Tyle udało nam się z niej wydusić. Potem zaczęła przeproszać, że to powiedziała, przeżegnała się i powtarza już tylko, że to złoty człowiek był.

– Taaa... A przed tą zmianą postawy odebrała telefon od proboszcza – dopowiedział Jakub.

– Czy to nie stąd została skradziona sutanna, której fragment znaleziono na terenie bursy? – Kowalik niby to wiedział, ale wolał doprecyzować.

– Tak – przytaknął Mirosław. – Zbyt dużo tu zbiegów okoliczności. Mam wrażenie, że choć to wszystko wygląda na samobójstwo, to ktoś mógł pomóc księdzu Grzegorzowi. No, chyba że faktycznie nie wytrzymał presji i ukarał się za to, że prawdziwy zabójca ukradł mu sutannę i różaniec i użył ich do zbrodni. Ale to mocno naciągane.

– A może sprawa nie jest taka zawiła, jak nam się wydaje? – zauważył Jakub, który właśnie zaczął przeglądać historię wyszukiwarki na komputerze księdza.

– To znaczy? – Mirek spojrział na ekran. Jego uwagę przykuł artykuł z portalu jeleniogórskiego o znalezionych dwóch ciałach na terenie bursy.

– Może to naprawdę on – zasugerował i czekał na reakcję kolegów.

– Dlaczego ksiądz miałby zabić dwoje nastolatków? – prokurator zastanawiał się nad motywem. Tak naprawdę nie chciał go znaleźć. Oznaczałoby to, że mieli zabójcę na wyciągnięcie ręki, ale okazali się na tyle nieudolni, że nie wpadli na najprostsze rozwiązanie.

– Nie wiem – odpowiedział Jakub zgodnie z prawdą. – Ale można łatwo sprawdzić, czy ksiądz Grzegorz jest tym, kogo szukamy – rzucił wyzwanie.

Odcięli ciało tylko z uwagi na urywający się żyrandol. Normalnie nie ruszaliby go do przyjazdu zarówno prokuratora, jak i lekarza medycyny sądowej. Ten drugi jeszcze się nie pojawił, ale to ten pierwszy tu rządził.

– Chcesz czynić honory? – Kowalik spojrział na Zdanowicza, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli. Ksiądz Grzegorz był postawnym mężczyzną. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i mógł ważyć osiemdziesiąt pięć kilogramów. Idealnie pasował do opisu stworzonego przez traseologa. Młody policjant podszedł do leżącego na podłodze ciała i kucnął przy nim, uważając, by nie

wdepnąć w rozlane na podłodze nieczystości. Mężczyzna leżał w samej bieliźnie. Ubrany był jedynie w podkoszulek, bokserki i skarpetki. Z pozoru dwie jego stopy wyglądały na równe, ale kiedy Jakub dotknął ich, tylko pod jedną skarpetką wyczuł palce.

– To on – powiedział z niedowierzaniem.

Wchodząc do domu, usłyszała radosny śmiech kobiety, mężczyzny i dziecka. Poczula w sercu ukłucie zazdrości. Po czym natychmiast się zgaśniła. Przecież leżała w szpitalu, Żaneta przyjechała im pomóc. Zajęła się dziećmi, żeby Kornel mógł trwać przy niej podczas choroby. Ale z drugiej strony, teraz przy niej go nie było. Zamknęła drzwi po cichu i przez chwilę przysłuchiwała się, jak jedzą śniadanie. Właściwie sama nie wiedziała, czemu to robi. Być może chciała podsłuchać, gdyby mówili coś o niej. W końcu nacisnęła delikatnie klamkę i weszła do środka.

– Cześć – powiedziała z wyrzutem, patrząc na obraz tak nierzeczywisty, jak męczące ją w gorączce omamy.

Żaneta siedziała przy stole w jadalni jeszcze w szlafroku i z uśmiechem na ustach karmiła Zuzię. Kornel krzątał się po kuchni, nalewając im kawy do kubków, a Ola pakowała przy stole plecak, opowiadając jakąś przezabawną historię, która ubawiła wszystkich, tylko nie Olgę. Obraz idealnej, radosnej rodziny. Jej rodziny. Przez krótką chwilę poczuła się, jakby tu nie pasowała, jakby weszła z butami w ich życie, jakby pomyliła adresy i jej mąż i dzieci czekały na nią gdzieś indziej.

– Mama! – Ola rzuciła jej się w ramiona. Chyba pierwszy raz tak ją nazwała.

Olga przytuliła ją mocno do siebie, a oczy zaszkliły się jej ze wzruszenia.

– Ma-ma... – głoskowała Zuzia, wyciągając do niej małe, pulchne rączki.

Żaneta podniosła ją z krzeselka i podeszła do Olgi.

– Boże! Jak dobrze widzieć cię zdrową!

Przez chwilę wszystkie cztery trwały tak w uścisku i Oldze zrobiło się głupio za to, co jeszcze przed chwilą myślała.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś, że cię wypisują? – zgaśnił ją Kornel, kiedy i on dopchał się, by ją przywitać. – Przecież bym po ciebie przyjechał.

– Nie chciałam cię fatygować. Akurat jakaś pielęgniarka z Sobieszowa kończyła zmianę i mnie podrzuciła – skłamała, mając nadzieję, że wystarczająco umiejętnie. – Ale, ale, co tu się dzieje? – próbowała odwrócić jego uwagę od tematu jej wypisu, a właściwie wyjścia na własne żądanie wbrew zaleceniom lekarskim. – Śniadanie w niedzielę o tej porze? Przyznaj się – zwróciła się do Oli – czym ci grozili ci niedobrzy ludzie, że musiałaś się zwlec z wyrka przed ósmą? – Połaskotała ją, a dziewczynka zapiszczała radośnie.

– Idziemy z Żanetą na wycieczkę na Chojnik – oświadczyła w ekscytacji.

– I z tatusiem? – zapytała niby normalnie, ale Kornel wyczuł w jej głosie niepewność i podejrzliwość.

– Nie, tato nie chciał, bo miał jechać do ciebie. – Ola przytuliła się do macochy. – Ale może teraz wybierzemy się wszyscy razem?

– A gdzie Lufa i Nabój? – Olga rozglądała się po pokoju.

– U Aurelii. – Kornel upił łyk kawy. – Żaneta ma uczulenie – wyjaśnił.

Młoda dziewczyna spojrzała wystraszona na Olę.

– Przepraszam, ja naprawdę nie mogę przebywać ze zwierzętami. Zaraz zaczynam się dusić i...

– Przestań – powiedziała Olga, jednym słowem ganiąc zarówno siebie, jak i ją. – Bardzo nam pomogłaś. Jestem ci ogromnie wdzięczna.

– To ja już pójdę się ubrać. – I Żaneta zniknęła na klatce schodowej.

– Mamo, tato, pójdziemy razem na wycieczkę? – Oczy Oli błyszczały radością i nadzieją.

– Pójdziemy, kochanie, ale w tygodniu. – Kornel pocałował ją w czoło. – Olga jeszcze nie może tak się przemęczać. Zrobimy jej wygodne posłanie w łóżeczku i niech odpoczywa, dobrze?

Córka spojrzała na niego z zawodem, ale przytaknęła.

– A ty nie możesz iść z nami i z Żanetą, skoro Olga jest już w domu? – Wciąż liczyła, że choć do tego go przekona.

– Nie, nie – natychmiast wtrąciła Olga. – Tato musi ze mną jechać na konsultacje na dwunastą – znowu skłamała. – Ale mam świetny pomysł! Jak wrócicie, urządzimy sobie kino domowe. Zrobimy całe michy popcornu i puścimy jakiś superfajny film, dobrze?

– A kupimy chipsy?

– Niech będzie! Po drodze od lekarza pojedziemy do Aurelii po zwierzaki. A teraz dokończ śniadanie, potrzebujesz dużo siły na tę wędrowkę.

– Do lekarza, mówisz... – Objął ją w pasie z dziwnym wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Może i miałam zaburzenia świadomości po truciznie, ale nie jestem na tyle niespełna rozumu, żeby wypychać męża na wycieczkę z piękną, młodą dziewczyną – wyszeptala tak, żeby Ola nie usłyszała ani słowa.

Kornel triumfalnie się uśmiechnął.

– I żeby było jasne – powiedział niby od niechcenia. – Wiem, że uciekłaś ze szpitala. Nieładnie... – Pogroził jej palcem.

Nadzwyczajne zebranie grupy dochodzeniowo-śledczej miało być krótkie i rzeczowe, żeby nie zabierać nikomu niedzieli. A przede wszystkim proste i bez niespodzianek. Oficjalnie księdza Grzegorza uznano za zabójcę Doroty i Tomka. Podszwy zabranych z jego pokoju butów pasowały idealnie do śladów z terenu bursy i co już nikogo nie dziwiło, w szafie znaleźli też jego sutannę. Tę samą, która ponoć została skradziona. Fragment urwanego materiału też doskonale do niej pasował. Wszystko oprócz motywu było znane i zdawało się świetnie się uzupełniać. Jednak mimo to Mirosław Zagórski nie czuł się komfortowo. Dręczyły go jakieś niedające wytchnienia myśli, przeczucia, że coś w tej sprawie się nie spina, że czegoś nie wiedzą. Nie miał jednak ani jednego argumentu, by dalej prowadzić śledztwo.

– A może nie ma żadnego drugiego dna. – Kuba przysunął się do niego, widząc, co go trapi. – Może po prostu zabójca popełnił samobójstwo, a motywu nigdy nie poznamy...

– Może... – wymruczał, choć wcale w to nie wierzył.

– No dobrze, zaczynajmy. – Prokurator Robert Kowalik usiadł na krześle i spojrzał wymownie na Mirka. Oczekiwał treściwego sprawozdania podsumowującego całe śledztwo. – Tylko krótko i to, co najistotniejsze. I będziemy mogli wrócić do domu. – W sumie cieszył się z takiego zakończenia. Nie dość, że nie będzie musiał konstruować aktu oskarżenia, skoro zabójca już nie żyje, to uznał, że tak jest najuczciwiej. Śmierć za śmierć i nie zmarnuje się publicznych pieniędzy na przeciągające się procesy i utrzymywanie więźnia za kratami przez dwadzieścia pięć lat.

– Okej. – Zagórski się wyprostował. – Wczoraj znaleźliśmy martwego Grzegorza Hołdę. Choć go nie podejrzewaliśmy, wszystkie dowody wskazują na to, że to on jest poszukiwanym zabójcą Doroty Ziółko i Tomasza Rokoszyna. Z całą pewnością był na miejscu, gdzie porzucono zwłoki. Wskazują na to odciski jego butów oraz pozostawiony na płocie fragment ubrania. Zachowanie młodocianego Jana Pilczyckiego również wskazuje na postać księdza jako osoby widzianej przy ciele denatki.

– Dziękuję – przerwał mu prokurator. – Myślę, że to wystarczy. Ponadto, choć prowadziliście podwójne śledztwo bez mojej zgody – wymownie rzucił wzrokiem w stronę Marii Chmurzyńskiej – dotyczące zaginięcia Tomasza Rokoszyna, to szczęśliwie te dwie sprawy okazały się ze sobą powiązane.

– Raczej nieszczęśliwie, zważywszy na okoliczności – wtrąciła Maria.

– Racja, moje przejęzyczenie – przyznał Kowalik, nie chcąc wdawać się w dyskusje. – Natomiast nie zmienia to faktu, że w liście pożegnalnym Grzegorz Hołda przyznał się do popełnionych zbrodni i sam siebie ukarał.

– To daleko posunięta interpretacja – zaproponował Mirek.

– Kiedy samobójca prosi Boga o wybaczenie i pisze to, oglądając na komputerze zdjęcia z terenu bursy zrobione przez dziennikarzy i gapiów, a jego ślady znajdują się na miejscu porzucenia zwłok, to dla mnie jest to interpretacja do przyjęcia – powiedział i wyrwany z rytmu przez otwierające się drzwi spojrzął na nowo przybyłych.

– Dzień dobry! – Katarzyna Sarnecka w eleganckim kobiecym garniturze wkroczyła do sali konferencyjnej i zajęła swoje miejsce. – A dlaczego nikt mnie nie poinformował o zebraniu? – Udawała obrażoną.

– Może dlatego, że oficjalnie nie należy pani do ekipy śledczych – ironizował prokurator.

– Ja nie należę nawet nieoficjalnie, ale mam pewne informacje, które mogą okazać się przydatne. – Kornel pojawił się zaraz za Sarnecką. – Jakby co, zgłaszam się jako świadek. – Wyciągnął ręce w obronnym geście, nie chcąc wdawać się z Kowalikiem w dyskusje na temat jego udziału w śledztwie.

– Proszę bardzo! – Prokurator powstrzymał emocje. Przecież ci dwoje i tak nie mogą wyciągnąć nie wiadomo jakich asów z rękawa. Najwyżej spóźni się na obiad do rodziców. Usiadł i oddał im głos.

– Panie mają pierwszeństwo. – Murecki spojrzął w kierunku koleżanki.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się i wyjęła skopiowane raporty techników. – Tak się składa, że dobrze znam Sebastiana Łukiego, traseologa, który przyjechał do nas z Wrocławia – wyjaśniła, widząc, że to nazwisko budzi zdziwienie u zebranych. – Poprosiłam go o ekspresowe przyjrzenie się dowodom po znalezieniu ciała Tomka. I to, co rzuciło mu się w oczy, to brak odcisków butów Grzegorza Hołdy.

– Też coś – niemal wykrzyknął prokurator. – Może tym razem włożył inne – próbował wytłumaczyć.

– Mógł włożyć inne, ale palców sobie nie dorobił – powiedziała z naciskiem.

– To dlatego przy Tomku nie było różańca – wtrąciła się Maria. – Wiemy, czy został namaszczoney?

– Nie ma jeszcze raportu z autopsji – stwierdził tylko Mirek, którego ucieszyły informacje od Kaśki. Od początku coś mu nie pasowało w pierwszej teorii.

– Dajcie spokój! – Prokurator uderzył pięścią w stół. – Mamy dwa ciała młodych ludzi, znalezione w tym samym miejscu w krótkim odstępie czasu, pozabawione życia w ten sam sposób, a wy chcecie mi powiedzieć, że tych zbrodni dokonano dwóch różnych zabójców?

– Albo jeden – spokojnym tonem oznajmiła Sarnecka. – Ale nie ten, którego typujesz. – Wytrzymała jego świdrujące spojrzenie.

– Poważnie? – Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Że też ta cholerna psychołożka nie podlega pod niego. A mimo to nie chciał wyrzucić jej z grupy. Wiedział, że zrobiłyby sobie wrogów wśród pozostałych. – To może wyjaśnisz mi, co tam robił i dlaczego, skoro nie jest zabójcą, nie poinformował policji o swoim znalezisku?

– Myślę, że chciał uratować tę dziewczynę. – Spoważniała. – Chciał, żeby Bóg ją ocalił, dlatego przystąpił do obrzędu namaszczenia chorych. Musiał to przeprowadzić, gdy jeszcze żyła, bo inaczej nie miałoby to sensu.

– To, co mówisz, też wielkiego sensu nie ma – zgał ją. – Ksiądz czy nie ksiądz, musiał wiedzieć, że miejsce chorej jest w szpitalu. Gdyby zależało mu na jej życiu, zadzwoniłby po karetkę.

– Nie wiem, co się dokładnie wydarzyło – przyznała. – Ale myślę, że dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie ochronił tych dzieci, i czuł się winny, że zginęły. I dlatego sam odebrał sobie życie. Ale to nie on dusił. Gdybym miała obstawiać, wiedział, że zwłoki Doroty zostały porzucone na terenie bursy. Mógł tam przychodzić i czuć przy nich. Nie domyślę się, dlaczego nie zadzwonił na policję.

– To akurat wydaje mi się proste – stwierdził Mirosław. – Może chciał kogoś chronić? Może znał prawdziwego zabójcę i myślał, że uda mu się ocalić dziewczynę? Może wierzył, że Bóg ją uzdrowi, ale gdy tak się nie stało, poczuł się winny?

– Mogło tak być – zgodziła się Katarzyna.

– Noż kurwa mać! – zaklął prokurator. – A najgorsze jest to, że zaczynacie mnie przekonywać. Wracając do traseologa, skoro nie znalazł śladów butów Hołdy, to co znalazł? Bo mam nadzieję, że przyniosłaś jakieś konkrety.

– Trzeba mu dać jeszcze ze dwa dni. Robi analizę obecnych śladów i porównuje je do tych z poprzedniego razu. W tak krótkim czasie mógł tylko potwierdzić albo wykluczyć obecność Grzegorza Hołdy. Jak tylko coś ustalą, zadzwoni.

Robert Kowalik chciał zapytać, skąd ta kobieta zna wszystkie szczegóły śledztwa. Nie było jej przecież ani na miejscu zbrodni, ani podczas odcinania trupa z żyrandola, ale dał sobie spokój. Widocznie informacje w tej grupie przepływały płynnie i bez zakłóceń nawet poza godzinami pracy.

– Jak się czuje Olga? – zapytał zamiast tego Kornela.

– Dziękuję, już prawie dobrze – odpowiedział zaskoczony. – Jest już w domu i myślę, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nie zmienia to faktu, że została otruta. – I opowiedział o całym zajściu oraz wizycie u Mileny Rogalskiej. – Oddałem te cukierki do analizy.

– Zanim spytasz – Robert Kowalik zdawał się zaskoczony jego historią – od razu powiem ci, że nikt poza wami nie pracuje przy tej sprawie – upewnił go.

– Tak też myślałem – przyznał Kornel. – Dlatego koniecznie trzeba wysłać rysownika do domu Mileny Rogalskiej w celu stworzenia portretu pamięciowego. Jeżeli będzie inny od oblicza księdza Grzegorza, to być może uzyskamy wizerunek sprawcy.

– Jasne – potwierdził. – Wyślijcie też techników, niech zbiorą odciski palców i może traseologa? – zwrócił się bezpośrednio do Sarneckiej. – Skoro facet chodził po ogrodzie, mógł zostawić jakieś ślady.

– W takim razie sprawa nie zostaje zamknięta, a kolejni nastolatki mogą być zagrożeni. – Mirosław podrapał się po łysinie. – Co jeszcze możemy zrobić? – Chociaż od początku tego spotkania dążył do dalszego prowadzenia sprawy, teraz dopadło go przemożne uczucie bezsilności.

– Zacznę szukać powiązań między Dorotą a Tomkiem oraz ich rodzicami. Bo zdaje się, że oboje wychowywali się w Jeleniej. Może coś znajdę – zaproponowała Maria.

– Dobrze – przytaknęła prokurator. – A co z numerem telefonu, z którego rzekomy Maciek wysyłał esemesy do Doroty? Sprawdziłeś go?

– Tak – zameldował Jakub – ale to ślepa uliczka. Należał do niejakiej Mai Wodarskiej, mamy siedmiolatka, który ciągle gubi telefony. Tak też było tym razem. Chłopak wyszedł na podwórko i zostawił aparat gdzieś przy piaskownicy.

– I co? Nie próbowała go zablokować na infolinii? – zdziwiła się Maria.

– Nie, bo to telefon na kartę. Stwierdziła, że te dwadzieścia złotych, na które był naładowany, niewarte zachodu. A sam aparat to też kupa złomu. Numer jest nieaktywny od dnia śmierci Doroty.

– Czyli dupa – stwierdził gorzko prokurator.

– Niekoniecznie – zaoponował Mirosław. – Przynajmniej mamy pewność, że istnieje ktoś, kto zwabił ją do Jeleniej. I to jest nasz prawdziwy zabójca. Kuba, sprawdź logowania, zanim został wyłączony.

– Już je przeanalizowałem. Ale ten człowiek wiedział, co robi. Telefon trzymał głównie wyłączony, a włączał jedynie, by korespondować z Dorotą. Zawsze logo-

wał się na Zabobrze. To wielkie blokowisko. Nie damy rady ustalić dokładnego adresu.

– Dobrze, nie tracimy czasu – prokurator doszedł do głosu. – Maria, zajmij się przeszłością rodziców zamordowanych nastolatków oraz ich powiązaniem. Jakub, prześledź kontakty telefoniczne i mailowe księdza Grzegorza Hołdy, może to nas do czegoś doprowadzi, i przepytaj wszystkich z zakrystii o jego ostatnich gości.

– A co z Rokoszyinem? – wtrąciła Maria, która od samego początku stawiała właśnie na niego.

– A co ma być? – prokurator nie rozumiał.

– Dla mnie od początku to on jest głównym podejrzanym – trwała przy swoim zdaniu. – Myślę, że trzeba się zająć jego przeświadczeniem. Może jeszcze nie wiecie, ale przyszły wyniki badań DNA. To nie on jest ojcem.

– Dobrze – przyznał Kowalik, dla którego ta hipoteza była całkiem na rękę, bo zabrakło mu już pomysłów, do czego oddelegować Zagórskiego. – Mirosław się tym zajmie. Sprawdź wszystko, co dotyczy tego faceta.

– To nie mógł być Patryk Rokoszyin – Kornel, który przez jakiś czas tylko przysłuchiwał się, zdecydowanie zabrał głos.

– A to czemu? – Maria spojrzała na niego ze złością.

– Bo gdyby Rokoszyin przyszedł do Tamary i jej mamy, od razu by go rozpoznały. Przecież mieszkają w bliskim sąsiedztwie. Tam każdy zna każdego, przynajmniej z wyglądu. Rokoszyin ma też charakterystyczne znamię na policzku, a z opisu, jaki podała pani Milena, nic takiego nie wynikało – wypomniał jej. – A to właśnie wtedy małą Tamarę i jej mamę odwiedził człowiek podający się za policjanta. I jeszcze jedno. Jest coś, co może rzucić nowe światło na sprawę, ale może też niezłe zamieszać i dlatego nie chciałem tego tematu poruszać.

Zebrani spojrzeli na niego z wyrzutem.

– Ale skoro już zaczęłeś... – zachęcił go Mirek.

– Matka tej dziewczynki wierzy, że jej córka kontaktuje się z istotami nadprzyrodzonymi – powiedział to tak, jakby sam nie mógł uwierzyć, że wymówił te słowa.

– To interesujące, ale raczej nie rzuciło nowego światła na sprawę – Kowalik poszedł w sarkazm, bo nie wiedział, jak inaczej może skwitować te rewelacje.

– Okej – przyznał Kornel. – Ja też uważam, że takie zjawiska nie istnieją, ale po pierwsze, sprawdziłem jej babcie i okazało się, że była znaną wróżbitką i czasem nawet współpracowała z policją.

– Kornel, do rzeczy – ponaglił go znudzony Kowalik. – Nie mam czasu na słuchanie takich bzdur.

– A po drugie, mała od jakiegoś miesiąca bawi się z trzema koleżankami, które sobie wymyśliła. – Słowo „wymyśliła” pokazał na palcach w cudzysłowie.

– No i? – Mirek był ciekawy, o co chodzi jego koledze. Znając Kornela, podejrzewał, że finał tej opowieści będzie zaskakujący, ale na razie nie widział żadnych powiązań.

– No i te trzy dziewczynki, które istnieją tylko w jej wyobraźni, mieszkają ponoć na terenie bursy... – Zawiesił głos, ale zobaczył, że śledczy absolutnie nie wiąże faktów. – Halo! Ziemia do zebranych. Nie kojarzy wam się to z tymi trzeba szkieleciami? – zapytał wprost.

Dopiero teraz niektórzy przyznali, że może tak być.

– Och, usłyszała, jak rodzice rozmawiają o znalezionych kościotrupach, i zaczęła fantazjować, że ją odwiedzają trzy dziewczynki. Dzieci tak mają – wytłumaczył niespodziewanie Jakub, jakby był doświadczonym ojcem całej gromady, a nie zagorzałym singlem i playboymem.

– Myślałbym tak jak wy, gdyby nie to, że człowiek podający się za policjanta Kowalskiego nauczył małą jednego wierszyka... – Skupił się, żeby przypomnieć go sobie w całości. – Lila, Adusia, a nawet Basia, łapią motylki, wachają kwiatki, bawią się w berka już od trzech dekad, wciąż myśląc tropy i gubiąc wątki. W niebie jest pięknie, Pan Bóg je stworzył. Bujna przyroda wciąż tam rozkwita. Doris niedługo kogoś przywita...

– Co?! – Mirek otworzył szerzej oczy ze zdziwienia.

– Dokładnie to, co słyszysz – przytaknęła Kornel. – To jest ewidentne powiązanie spraw. Ten fałszywy policjant wiedział, czyje zwłoki leżały na terenie bursy przez ostatnie trzydzieści lat, i wiąże te zabójstwa z obecnymi. Wiedział też, że Doris, czyli Dorota, przywita niedługo Tomasza w niebie. Albo to on zabił wszystkich pięcioro, albo przynajmniej wie, kim były tamte ofiary.

– Albo zwyczajnie sobie wymyślił te imiona, żeby nadal mylić tropy – podsunęła Katarzyna.

– Wątpię. – Kornel spojrział na nią z powagą. – Ponieważ ta mała dziewczynka, Tamara, już od dawna mówiła mamie, że bawi się z Lilą, Adrianą i Basią. Nie wspominała tylko, że one nie żyją.

Robert Koralik pobladł nagle, wstał i ku zaskoczeniu zebranych bez słowa wyszedł z sali. Ewidentnie gdzieś mu się spieszyło. I tylko Maria Chmurzyńska uświadomiła sobie, co mogło być tego przyczyną.

Poszła pod prysznic i siedziała tam już od dobrych dziesięciu minut. Cieszyła się, że Kornel pojechał do Aurelii po zwierzaki. Potrzebowała chwili tylko dla siebie, żeby się zrelaksować i zadbać o własne ciało i umysł. Niby w szpitalu leżała w jednoosobowej sali, ale pobytu w takim miejscu nie można zaliczyć do odprężających. Czowała się całkiem dobrze, zważywszy na to, co ją spotkało. Lekarz oponował, kiedy oświadczyła, że wychodzi na własne żądanie. Twierdził, że dostała leki i kroplówki, które spowodowały uczucie niemal natychmiastowego ozdrowienia, ale możliwe, że będzie miała jeszcze zawroty głowy lub splątane myśli. Prosił, żeby chociaż nie zostawała sama przez najbliższe dwa dni i gdyby coś się działo, od razu przyjeżdżała.

Ale ona nie zniosłaby dłużej takiego beczynnego siedzenia na szpitalnym łóżku. Nie teraz, kiedy sprawa śledztwa osiągnęła punkt kulminacyjny, a jej chodzi po głowie potencjalne rozwiązanie przynajmniej jednej zagadki. Historia zaburzonej miłości Roberta Kowalika do Liliany Tomaszewskiej bardzo ją wciągnęła. Zaczęła się na poważnie zastanawiać, czy to możliwe, żeby prokurator miał na sumieniu śmierć tej dziewczyny. Nie знаła go dobrze, ale przecież od początku była gotowa się założyć, że skrywa jakąś tajemnicę. Co więcej, rozumiała teraz obopólną niechęć komendanta i prokuratora. Jeżeli chce wyjaśnić tę sprawę, musi poszperać w archiwach komendy. Czy zaginięcie Liliany zostało zgłoszone? Z opowieści Marii wynikało tylko, że dziewczyna zniknęła. Mówiło się, że miała dosyć chorej miłości Roberta, a Artur, w którym pokładała nadzieje na szczęśliwy związek, niespodziewanie ją zostawił. Rzekomo wyjechała na wakacje. Wysłała nawet list do ojca, że w końcu dorosła, że go nienawidzi i nie zamierza wracać. Podobno dołączyła zdjęcie, jak bawi się w jakiejś nadmorskiej miejscowości. I więcej się nie odezwała. Do nikogo. Krążyły plotki, że poznała tam jakiegoś chłopaka, zakochała się, wyszła za mąż i ma teraz trójkę dzieci. Złośliwi twierdzili, że to raczej był sutener, który umieścił ją w jakimś zagranicznym burdelu. W każdym razie czasów tak starych, bo sprzed trzydziestu lat, raczej nikt już nie pamięta dokładnie. Będzie musiała wrzucić dane Liliany na bęben. Może coś wyskoczy.

Gorąca woda obmywała jej plecy, nie tylko ogrzewając wychłodzone ciało, ale przede wszystkim dając ukojenie. Gdzieś w przebłyskach pomiędzy rozwiązywaniem zagadek z przeszłości zaświtała jej myśl, że ona też nie jest teraz szczęśliwa. Wyprostowała się i skryła twarz w wartkim strumieniu wody. Jak to nie jest? Przecież ma dwójkę wspaniałych dzieci i męża, który oddałby za nią życie, zga-

niła się. A mimo to czuła się jakby przytłoczona. Zmęczona codziennością, zabiegana i kompletnie bez czasu dla siebie. Ciągłe tylko praca, dzieci, gotowanie, karmienie, przewijanie, zawożenie i tak w kółko. Potrzebowała oddechu albo chociaż odciążenia w codziennych obowiązkach. A na to się nie zanosilo.

Nagły strumień zimnej wody spowodował skurcz wszystkich mięśni ciała. Odskoczyła jak rażona piorunem.

– Co jest, do cholery! – krzyknęła, choć była sama w domu. Zakręciła kurek, stanęła bokiem, wciągając brzuch, żeby po ponownym odkręceniu woda nie spływała po jej ciele, i spróbowała ponownie. Nadal zimna. A wręcz lodowata.

Zeszła do kotłowni, gdzie znajdował się piec dwufunkcyjny. Nie знаła się na tych rzeczach, ale to jedyne, co przyszło jej do głowy. Chciała włączyć światło, jednak żarówka się nie zapaliła. Wszystko jasne – brak prądu. Chwyciła za telefon, chcąc zadzwonić do energetyki i spytać, jak długo potrwa awaria, ale jej uwagę przykuło pięć nieodebranych połączeń. Pomimo że nie znała numeru, ich liczba skłoniła ją do natychmiastowego oddzwonienia. Może Żaneta zapomniała komórki i coś stało się jej albo dziewczynkom? Bycie mamą generowało stan wiecznego niepokoju o dzieci.

– Dziękuję, że pani oddzwania. – Usłyszała pewny, chociaż zmęczony, męski głos.

– Nie ma problemu – odparła zaintrygowana. – Z kim się połączyłam?

– Nazywam się Szymon Ziółko i jestem ojcem Doroty – powiedział. Po czym zaraz się poprawił: – Byłem.

– Przykro mi – wyznała zgodnie z prawdą, choć wzbraniała się kontaktować z nim. Mając do dyspozycji cały zespół, podczas tego śledztwa bardzo chętnie zrzucała obowiązek rozmowy z rodzinami zamordowanych na innych. – Nie wiem, czy będę umiała pomóc. Byłam dwa dni na chorobowym i nie znam najnowszych ustaleń. Proponuję zadzwonić do...

Nie dał jej dokończyć:

– Chcę rozmawiać z panią, bo pani prowadzi to śledztwo. I to ja przekażę pani najnowsze ustalenia.

Zdziwiła się. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewała. Mężczyzna zdawał się być zdecydowany i stanowczy. Może normalnie zrodziłby się w niej bunt, ale w tych okolicznościach rozmówca wzbudził w niej niemałą ciekawość.

– Dobrze, słucham – skapitulowała zaintrygowana.

– Nie przez telefon. Spotkajmy się. Jestem w domu Patryka Rokoszyna. Poczekamy na panią ile będzie trzeba – nie ustępował.

– Będę za dwadzieścia minut. – Rozłączyła się.

— — —

Idąc do Rokoszynów, zastanawiała się, czy powiadomić zespół albo chociaż Kornela. Zabrał volvo do myjni, a ona bała się korzystać z jego samochodu służbowego, więc postanowiła się przejść. Do nikogo nie zadzwoniła. Była niedziela i póki nie dowie się, o co chodzi, nie będzie nikogo wrywać z domu. Nikt z zespołu nie poinformował jej, że ma zamiar pracować tego dnia. Jedyne wieści, jakie do niej dotarły, to podejrzenie, że ksiądz samobójca to zabójca nastolatków. Jakie to wygodne rozwiązanie dla Kowalika, parsknęła śmiechem, przypominając sobie wczorajsze rewelacje. Ale, okej. Na razie będzie udawała, że w to wierzy, i nadal prowadziła śledztwo. W tajemnicy, jeżeli inaczej jej nie pozwolą.

Podeszła pod willę Rokoszynów. Dopiero w tym momencie zaczęła się zastanawiać, skąd Patryk i Szymon mogą się znać. Czy przypadkiem wpadli na siebie jako ojcowie zamordowanych dzieci? Musiało jednak być coś więcej, o czym nie miała pojęcia. Zrobiła głęboki wdech i zadzwoniła do drzwi.

– Zapraszam – przywitał ją pewnym głosem nieznany jej mężczyzna, prawdopodobnie ojciec Doroty. Z postury, sposobu bycia wyglądał na człowieka nieznośnego sprzeciwu. Zapewne był wytrawnym biznesmenem i wiedział, jak kierować ludźmi. Jednak jego twarz wyrażała smutek i zmęczenie. Podkrążone oczy świadczyły o przeplakanych nocach, a zapadnięte policzki o braku ochoty na jedzenie w ostatnich dniach. Otworzył szeroko drzwi i wpuścił ją do środka, jakby był u siebie.

– Dzień dobry, komisarz Olga Balicka. Do tej pory nie mieliśmy okazji się poznać. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Proszę do salonu. Tam już wszyscy czekają.

Jej ciekawość rosła z każdym krokiem. Jacy wszyscy? Skręciła w lewo i znalazła się w dużym pokoju. Na kanapie naprzeciw niej siedział Patryk Rokoszyn z żoną i jakaś młoda kobieta. Dopiero po chwili zobaczyła, że mężczyzna został pobity.

– Jezu... – Jej pierwsza reakcja nie wypadła zbyt profesjonalnie, ale zaraz się opanowała. – Co się stało?

– Nic takiego. – Powstrzymał ją przed podejściem gestem ręki. – Dostałem zaśluzoną nauczkę.

Olga poczuła się dziwnie. Na moment zakręciło jej się w głowie, a myśli zeszyły na niebezpieczny tor. A co, jeżeli dała się złapać w pułapkę? Co, jeżeli ten człowiek trzyma ich jako zakładników, a teraz ma też i ją?

– Balicka, ogarnij się – wymamrotała pod nosem, siadając naprzeciw nich na fotelu. Lekarz miał rację, kiedy mówił, że jeszcze przez jakiś czas jej umysł może płatać figle i lepiej, by nie zostawała sama.

Popatrzyła po zebranych jeszcze raz. Kalina Rokoszyn zdawała się nieobecna duchem tak samo jak podczas jej poprzednich odwiedzin. Młoda dziewczyna, którą rozpoznała jako tę z rodzinnej fotografii przy wejściu, siedziała, oplatając kolana rękami. Była ewidentnie wystraszona, ale raczej nie bała się nikogo z obecnych. Patryk Rokoszyn miał smutek i winę tak wypisane na twarzy, że już na sam widok zaczęła mu współczuć. No i ostatni, Szymon Ziółko, zmęczony, przybity ostatnimi wydarzeniami, ale zdeterminowany. Tylko on z nich wszystkich miał siłę, by działać.

– Pokaż jej – polecił Patrykowi i wtedy Olga zrozumiała, że to on pobił pana domu. Zachodziła w głowę, o co w tym wszystkim mogło chodzić. Jeszcze chwila i się dowie, nie będzie ich przyciskała, muszą sami chcieć jej powiedzieć.

Mężczyzna wyciągnął do niej rękę, w której trzymał pomiętą kartkę papieru.

– Blanka Rokoszyn – Olga zaczęła czytać na głos. – Adres zamieszkania: Wrocław, ulica Krucza 354/2, zatrudniona: Restauracja Nova, studiuje: Uniwersytet Ekonomiczny. – Zrozumiała, że dane dotyczą tej wystraszonej dziewczyny. Ale dlaczego... I wtedy ją olśniło. – Ktoś grozi pana córce?

– Groził – przyznał gospodarz. Po czym spojrzał na kolegę. Ten dał mu znać skinieniem głowy, że pozwala mu mówić. – W dzień, kiedy zaginął Tomek. – Zrobił krótką przerwę, bo głos zaczął mu drżeć. – W tym dniu, kiedy Tomek wyszedł do pracy, do naszego domu ktoś wtargnął. Żona była akurat na zakupach. – Popatrzył na kobietę, która zdawała się nie mieć w sobie już ani grama życia. – Nie wiem, jak on się nazywa, nie wiem, jak wygląda, bo włożył kominiarkę i rękawiczki, ale rzucił mnie na ścianę, ścisnął ręce z tyłu tak, żeby nie mógł się ruszać, i powiedział... dokładnie nie powtórzę... ale mniej więcej tak: „Pamiętasz, co ty i twoi kolesie zrobiliście trzydzieści lat temu? Teraz za to odpowiecie. Życie za życie” – relacjonował Rokoszyn, a z oczu leciały mu łzy. – „Tomasz już je stracił. Jeżeli pójdziesz do psiarni, straci je także Blanka, ale jeżeli będziesz przez miesiąc obstawał, że twój syn uciekł lub gdzieś wyjechał, wtedy Blanka przeżyje”. Na komodzie zostawił mi tę kartkę, żeby wiedział, że doskonale zna wszystkie jej namiary. Twierdził, że Tomek nie żyje. Pokazał mi zdjęcie jego ciała, mówił, że nie mamy szans go uratować. – Zaczął płakać, jakby ten cały ciężący mu do tej pory sekret mógł się nareszcie uwolnić poprzez łzy. – Nie wiedziałem, co robić, nie wiedziałem... – Ukłąkł na podłodze i schował głowę w dłonie. – Tak bardzo się bałem, że zabije też i córkę.

Blanka kucnęła koło ojca i obejmując go, zaczęła płakać razem z nim. Trzęśli się oboje. Jedynie Kalina Rokoszyń siedziała wciąż z tą samą nieobecna miną. Jakby kompletnie straciła kontakt z rzeczywistością.

– Czyli pan wie, kto jest mordercą? – Olga zaczęła się niecierpliwić. Spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę, czekając na odpowiedź.

– Nie wie – Szymon wyreczył kolegę, który nie przestawał płakać. – Nikt z nas nawet się nie domyśla. Ale to jakaś pieprzona pomyłka. Ktoś się mści, ale na niewłaściwych osobach. My nie mieliśmy z ich śmiercią nic wspólnego – mówił spokojnym, opanowanym głosem.

– Mieliśmy! – wrzasnął niespodziewanie Patryk Rokoszyń. I nawet jego żona wzdrygnęła się przestraszona tym niespodziewanym krzykiem.

– Chwileczkę. – Olga próbowała opanować sytuację. – Nic nie rozumiem. To wy zabiliście te trzy dziewczyny trzydzieści lat temu? – nie dowierzała. – I dlatego teraz ktoś odbiera wam bliskich, tak? – próbowała jakoś logicznie to ogarnąć. – Ale dlaczego teraz? Dlaczego nie zemścił się kilka lub kilkanaście lat temu? – To jedno nie pasowało jej do całej układanki. Tylko ten element nie miał sensu.

Przez jej głowę przelatywały teraz dziesiątki myśli. Przecież mści się ktoś bliski, komu zabito ważną dla niego osobę. Jeżeli jedną z ofiar była Liliana, to Robert Kowalik nie mógł jej zabić, bo znałby tych dwóch, gdyby zrobili to razem, a nic na to nie wskazywało. Ale czy nie może być mścicielem? Jeżeli tak bardzo kochał tę dziewczynę? Nie, nie. Potarła czoło. Musi przestać konstruować teorie pod człowieka. Trzeba się skoncentrować na tym, co wiadome i znane. Spojrzała na Rokoszyń, który z powrotem usiadł na kanapie.

– Bo przez trzydzieści lat nikomu o tym nie powiedziałem – przyznał. – Szczerze mówiąc, to myślałem, że nic się wtedy nie stało. Że one żyją i wyjechały na wakacje – gadał jakby od rzeczy. – To miał być taki jednorazowy strzał, wiecie, młodzi byliśmy. Chcieliśmy się zabawić z nowo poznanymi dziewczynami i tyle. Ale kiedy znaleźliście te szkielety, nie mogłem milczeć. Po prostu nie mogłem! – Popatrzył przeproszająco na żonę, ale ona ani drgnęła. – Musiałem wyznać prawdę, błagać Boga o wybaczenie, ale wstydziłem się pójść do naszego proboszcza jak co miesiąc. Bałem się, że inaczej będzie już na nas patrzył, że inaczej będzie traktował Kalinę i Tomka.

– I dlatego wybrałeś spowiedź w innej parafii – fuknęła pani domu, na której twarzy było widać jedynie pogardę dla męża. – Wolaleś, żeby Tomek zginął, niż żeby proboszcz krzywo na ciebie patrzył!

– Przestań! – krzyknął do niej. – Wiesz, że to nie tak. Skąd miałem wiedzieć?!

– Wolaleś, żeby Tomek zginął! – Zerwała się z miejsca i wyrzeczowała mu to w twarz. – Bo wiedziałeś, że nie jest twoim dzieckiem. Za to ją – wskazała palcem na córkę Rokoszyna z pierwszego związku – chronileś kosztem wszystkich.

Zanim Olga zdążyła zareagować, w pokoju nastąpiła absolutna cisza. Chyba nikt z obecnych nie spodziewał się takiego wyznania, choć policjantce te słowa jedynie potwierdziły to, co sugerował Kuba na jednym ze spotkań grupy dochodzeniowo-śledczej.

– Nie jest mój? – Patryk Rokoszyn podniósł wzrok na żonę skonsternowany, totalnie zaskoczony. Cały czas żył w przekonaniu, że ma dwoje dzieci. I nigdy żadnego nie faworyzował. Po jego policzku poleciała kolejna już dzisiaj łza. Cierpiał.

– Spokojnie... – Olga starała się myśleć logicznie, ale znów zaczęło kręcić jej się w głowie. – Czyli pojechał pan się wypowiadać do innej parafii. I o ile dobrze rozumiem, była to parafia w Sosnówce? Tak?

– Skąd pani...? – Mężczyzna osłupiał.

– Wczoraj policjanci dostali wezwanie do samobójcy – ujawniła bez zbędnego wdawania się w szczegóły. – Na miejscu okazało się, że był nim ksiądz Grzegorz z parafii w Sosnówce. Czy to jemu się pan wypowiadał?

– Tak, ale... Ja nic nie rozumiem. Zabił się? Ale dlaczego?

– Podejrzewamy, że to on był zabójcą Doroty i Tomka.

– Nie wiem, dlaczego miałyby ich zabijać... – Zdawał się być kompletnie rozbity.

– Chce pani powiedzieć, że morderca nie żyje? – wtrącił się Szymon Ziółko.

– Wszystko na to wskazuje. Napisał list, w którym prosił Boga o wybaczenie.

– To niemożliwe – kategorycznie zaprzeczył Ziółko.

– Zapewniam pana, że umiemy rozpoznać nieboszczyka – odpowiedziała mu sarkastycznie, bo zaczynała ją irytować jego arbitralny ton.

– Nie to miałem na myśli. – Nie zamierzał wdawać się w słowne przepychanki. – Skoro zabójca się mści, to nie mógł się zabić.

– A to niby dlaczego? – nie rozumiała.

– Bo nie byliśmy w tym akademiku sami. I to nie my zabiliśmy te dziewczyny.

– Ale też im nie pomogliśmy – wtrącił skruszony Rokoszyn. – Gdybyśmy pomogli, może dziś by żyły.

– Może to, może tamto. Nie ja je zabiłem – powiedział Szymon jasno i wyraźnie. – Za to jakiś psychol zabił moją córkę i zrobię wszystko, żeby go wsadzić za kratki – zdenerwował się. – Ale to niemożliwe, żeby przestał, bo jest jeszcze ktoś,

kogo powinien chcieć unicestwić, i to w najokrutniejszy sposób... Ktoś, kto za to wszystko odpowiada. I jeżeli spowiedź Patryka rozpoczęła serię zbrodni, to zapewniam panią, że nie jest to ich koniec.

– Zamieniam się w słuch. – Olga dała mu znak ręką, żeby zaczął opowiadać.

Trzydzieści lat wcześniej

Byla zrozpaczona. Cały jej świat, wszystkie nadzieje i plany legły w gruzach za przyczyną jednego zdania, którego w ogóle nie rozumiała. „Nie możemy być razem, rozstańmy się”. Słowa wypowiedziane przez Artura krążyły jej w głowie jak obłąkane. Nie pozwalały się skoncentrować, zasnąć, sprawiały, że nie miała już ochoty żyć. Jak to możliwe, że człowiek, który wydawał jej się dobry i szlachetny, potraktował ją jak zabawkę, którą można po prostu wyrzucić? Jej serce krwawiło, a z oczu nie przestawały lecieć łzy. Została sama na świecie, bez osób, którym na niej zależało.

– Hej, Lilka, co tak beczysz? – zapytała Ada, która pojawiła się znikąd.

Lila spojrzała na nią jak na zjawę. Początkowo nawet się wystraszyła. Myślała, że jest na terenie basenu sama. Lubiła tu spacerować wieczorami, kiedy wszystko było zamknięte.

– No co ty? Języka w gębie zapomniałaś? – Ada podeszła bliżej i wyciągnęła do niej butelkę z piwem. – No, masz, nie patrz tak na mnie jak jakaś dzikuska. Napij się, bo widzę, że tu gruba sprawa jakaś na tapecie.

– Faceci są do bani – stwierdziła, upijając łyk. Bursztynowy napój musiał powędrować nie tam, gdzie powinien, bo zakrztusiła się i zaczęła mocno kaszleć.

– Ta... Wiem coś o tym – zauważyła filozoficznie koleżanka. – Pierdol ich. Musisz zacząć myśleć o sobie. – Zabrała jej butelkę i pociągnęła mocno. – Słuchaj, a co jest najlepsze na takie bolączki? – Spojrzała na Lilę, jakby chciała jej przekazać zarazem największą tajemnicę świata, jak i coś najbardziej oczywistego. – Klin klinem trzeba, rozumiesz?

Lila wzdrygnęła się na myśl o tym, że mogłaby teraz związać się z innym facetem.

– Nie, no co ty... Postanowiłam, że już nie wejdę nigdy w żaden związek – powiedziała poważnie. – Teraz postawię na siebie. Wyjeżdżam do pracy nad morze na kilka tygodni. Zarobię trochę i zobaczę, co dalej. Tylko że jest mi tak cholernie ciężko, rozumiesz? Ze świadomością, że nikt mnie nie chce...

– Co ty gadasz za głupoty. Dziewczyno! Piękna jesteś, zgrabna. Jak cię któryś nie chce, to go olej. Jego strata i tyle. A ja też nie związek ci wcześniej radziłam, a seks. Baw się, eksperymentuj, czerp z życia. A nie tak siedzisz i smęcisz. – Ada

nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że Lila aż tak przejmuje się chłopakami. Co prawda, ten jej pierwszy, Robert, był niczego sobie i ponoć miał zostać prawnikiem, ale kto by tam leciał na takiego sztywniaka, co to wyżej sra, niż dupę ma. Zawsze gardził ludźmi, których uważał za urodzonych gorzej od siebie, jakby co najmniej pochodził z rodziny królewskiej. A ten Artur to z kolei ciapa na całego. Niby słodziak, a proszę – i tak ją zostawił. Nie były przyjaciółkami. Znały się jeszcze z podstawówki, ale że Jelenia mała, to na mieście się gadało. – Słuchaj – powiedziała z uśmiechem, bo wpadł jej do głowy superpomysł. – W piątek spotykamy się tu, naprzeciwko, w akademiku. Będzie ekipa z Metafory. Trzech koleś, których poznałyśmy razem z Baśką na imprezie. Może wpadniesz się zabawić?

– Razem z Baśką? – Nie wiedziała, o kim mowa.

– No, taka fajna dziewczyna. Jak pracowałam w kawiarni w lipcu, to się poznałyśmy. Lody dobrze kręciła. – Zaśmiała się. – Poszłyśmy na dyskotekę i spotkałyśmy tam trzech facetów. Twierdzili, że są braćmi. – Parsknęła, przypominając sobie tę sytuację. – Ale to nieprawda, tylko taki bajer. – Buzia jej się nie zamykała, a każde słowo wypowiadała z niemałą ekspresją. – Słuchaj, ich trzech na nas dwie to trochę za dużo, nie? – Puściła oko. – To znaczy nie to, żebym nie dała rady, ale może chcesz do nas dołączyć?

– Nie, dzięki. Nie jestem w nastroju do zabawy. – Wstała z trawy, otrzępała dżinsy i przetręła twarz dłońmi, ścierając ostatnie łzy. Obiecała sobie, że tym razem to już naprawdę ostatnie. Nigdy więcej nie będzie płakała przez żadnego faceta.

– No, jak chcesz – zasmuciła się Ada. – Ale pomyśl na spokojnie, do piątku jeszcze kilka dni. Gdybyś zmieniła zdanie, to po prostu przyjdź. Mówię ci, będzie bosko. Cały akademik do naszej dyspozycji, bo z powodu jakiejś wady konstrukcyjnej musieli go zamknąć i nie wiadomo, kiedy otworzą.

– To jak chcecie się tam dostać? – zacięła się. Nie to, żeby nagle nabrała ochoty, ale zauważyła, że przeniesienie uwagi na coś innego niż sercowe rozterki poprawiło jej nieco humor.

– Podobno wuj Bogdana, wiesz, jednego z tych koleś, jest tam dozorcą i Bogdan podebrał mu kiedyś klucze, i poszedł je dorobić. – Parsknęła śmiechem, jakby opowiadała dobry dowcip. – W każdym razie spotykamy się tam w piątek o dwudziestej przy bocznym wejściu, tak żeby nie zwracać na siebie uwagi. – Przyniosła palec wskazujący do ust. – Tylko nikomu nic nie gadaj jakby co, okej?

– Jasne, ale ja raczej odpadam.

– Nie namawiam, mówię „jakby co” – podkreśliła.

Kolejne dni ułożyły się Lili w pasmo nieszczęść i gdyby nie fakt, że w sobotę o szóstej rano miała autobus do Międzyzdrojów, sama nie wiedziała, czyby przetrwała ten okres. W piątek, wracając z miasta, marzyła jedynie o tym, by jak najszybciej położyć się spać i nie wspominać. Ale to było trudne. Jej myśli nieustannie krążyły wokół Persingą. Co chwila pojawiał jej się przed oczami, oświadczając, że muszą się rozstać, że będzie jej lepiej bez niego. Za każdym razem jej oczy napełniały się łzami. Początkowy żal i rozpacz przemieniły się powoli we frustrację i agresję. Zostawił ją, chociaż obiecywał, że będzie się o nią troszczył, że zrobi wszystko, żeby była szczęśliwa. Pieprzony kłamca! Nawet przez moment zapragnęła się na nim odegrać. Zgodzić się na wyjazd z Robertem albo chociaż pójść z nim do łóżka i pochwalić się tym Arturowi. Zdawało jej się, że wpada w obłąd, ale nie mogła przestać.

Przyśpieszyła kroku, a nogi same zaprowadziły ją na boisko, gdzie zazwyczaj grali chłopcy. Tym razem nie było inaczej. Czy powinna podejść, objąć Roberta i po prostu go pocałować? Czy dopiero wtedy poczuje ulgę, kiedy się zemści? A może nigdy jej nie dozna? Była gotowa to sprawdzić. Nie czuła do Roberta już nic i wiedziała, że on do niej też nie. Zawsze traktował ją raczej jak trofeum, jak lalkę do zabawy. Fajnie było się z nią pokazać na imprezie, ale nigdy nie rozmawiał z nią na poważne tematy, nie zapraszał do domu ani nie pytał o jej zdanie. Teraz ona chciała tak się z nim obejść, przedmiotowo, i tym sposobem zemścić się na nich obu. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła go wśród grających. Pobiegnęła wzrokiem wyżej i zamarła. Robert Kowalik siedział na trybunach i całował się z jakąś blondynką. Poczowała, że twarz jej czerwieńsze, a nogi zaczynają się trząść. Szybko znalazł pocieszenie. Chcąc zachować choć resztki godności, obróciła się szybko i pobiegła do domu.

– Tato, już jestem! – zawołała, zamykając za sobą drzwi na klucz. Choć robiła to bardziej z przyzwyczajenia niż z faktycznej obawy przed włamywaczami. Dwupokojowe mieszkanie w suterenie było ruiną. Ojciec, który od dawna pił, nie mogąc sobie poradzić z odejściem jej matki, nie miał głowy ani do sprzątnięcia, ani do zarabiania, i tak naprawdę gdyby nie Lila, to żyliby w kompletnym syfie. Cieszyła się, że wyjeżdża nad morze. Bardzo potrzebowała tych kilku tygodni nad Bałtykiem.

– Noż kurwa mać... – Doszedł do niej bełkotliwy głos. Usłyszała też trzask tłuczonego szkła i pobiegła szybko do pokoju.

Ojciec próbował się podnieść z podłogi. Chwycił przy tym za obrus na stole, na którym ciągle znajdowały się naczynia ze śniadania. Nie miał czasu ich jesz-

cze posprzątać. Nigdy nie miał czasu na sprzątanie. To ona, kiedy wracała ze szkoły, zajmowała się wszystkim. Teraz potłuczone talerze i szklanki leżały na dywanie razem z resztkami jedzenia i jej kompletnie zalanym ojcem.

– No, co tak stoisz jak idiotka! – wrzasnął, podpierając się na łokciach. – Pomóż mi wstać, nie widzisz, że się przewróciłem?

Zdziwiło ją, że jak na taki stan upojenia mówił dosyć wyraźnie. W pierwszym odruchu chciała do niego podbiec i go podnieść jak zwykle, ale coś ją powstrzymało. Spojrzała na niego jakoś inaczej, jakby z zewnątrz, jakby znalazła się tu pierwszy raz w życiu, i poczuła wszechogarniającą złość połączoną z mdłościami. Odór alkoholu mieszał się ze smrodem wilgoci i kanalizacji, a także resztek jedzenia. Po ciele przeszedł jej dziwny dreszcz, który nie pozwolił jej podejść do ojca. Dosyć tego, pomyślała. Nie możesz tego dłużej znosić, buntowała samą siebie.

– I po chuj ty mi tu jesteś potrzebna – dowodził sam sobie – tylko żarcie przejadasz i rachunki większe... – Zatoczył się. – I co tak patrzysz?

– Tato, ja jutro wyjeżdżam i chyba już nie wrócę. – Zdobyła się na odwagę i pierwszy raz w życiu pomyślała, że faktycznie to może być jej ostatnia noc w tym domu.

– Że co? – Przystanął w niedowierzaniu. – Spierdalasz jak twoja matka? Jesteś taka sama jak ona! – Narastała w nim agresja i mówił coraz głośniej.

– Żegnaj, tato – wypowiedziała to tak spokojnie, że aż sama się zdziwiła, że tak umie. Poczuła niespodziewaną lekkość, ulgę i wyzwolenie. Była pewna, że to najlepsza decyzja, jaką może w tej chwili podjąć.

Nie zauważyła, jak w jej kierunku poleciała butelka z resztką wódki. Ojciec rzucił z taką siłą, że szkło rozcięło jej skórę na skroni i po twarzy popłynęła krew. Zostanie jej po tym blizna, pomyślała. I dobrze. Będzie przypominała o jej pochodzeniu. Lila zabrała ze swojego pokoju spakowane już wcześniej rzeczy i wyszła z domu.

Policzki paliły ją ze zdenerwowania, chociaż wiedziała, że dobrze postąpiła. Szła, niosąc ciężką walizkę, i zastanawiała się, gdzie dzisiaj przenocuje. Do domu już nie wróci, to pewne. Skończyła osiemnaście lat i mogła sama decydować o sobie. Co prawda, została jej jeszcze jedna klasa liceum, ale po pierwsze, może ją skończyć wszędzie, a po drugie, świat się nie zawali, jak nie podejździe do matury. I tak nie wybierała się na studia. Pierwszy raz w życiu czuła się wolna, niezależna i pewna własnego wyboru. Mogła zadzwonić do jakiejś koleżanki i poprosić o przenocowanie, ale z najlepszą przyjaciółką już się pożegnała, a w tych

okolicznościach nie chciała się nikomu tłumaczyć. Mogła też spać na dworcu i rano wsiąść do autobusu, który zawiezie ją prosto nad morze.

I wtedy sobie przypomniała. Przystanąła na chwilę i pomyślała, czy to nie byłby dobry pomysł. W końcu Ada twierdziła, że zaproszenie jest cały czas aktualne. Co jej szkodzi napić się drinka z jej znajomymi i przespać w akademiku. A nawet gdyby się okazało, że jeden z tych trzech chłopaków jest całkiem, całkiem, to przecież była wolną, niezależną kobietą i mogła robić, co chciała. Tak! Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie potrzebuje żadnego despotycznego Roberta czy nieogarniętego Artura. Sama sobie wystarczy, a letnie przygody należą ponoć do najmiłszych wspomnień w życiu. Tak przynajmniej pisali w kobiecych czasopiśmie, bo sama nigdy czegoś takiego nie zaznała. Być może nie jest stworzona do związków ani miłości. Każdy mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała, ranił ją fizycznie lub psychicznie. Musi przerwać ten chory łańcuszek zdarzeń i po prostu pójść się zabawić. Zostawić za sobą przeszłość. Uśmiechnęła się do siebie, poprawiła makijaż w lusterku bocznym auta stojącego przy chodniku i skręciła na przystanek, na który podjeżdżał właśnie autobus jadący w stronę Sobieszowa. Dzisiejsza noc będzie jedną z tych niezapomnianych.

Trzydzieści lat wcześniej

Szymon, Patryk i Bogdan wydawali się fajnymi chłopakami. Pierwsi dwaj byli chyba w ich wieku, ale ten trzeci zdawał się kilka lat starszy, choć nie chciał tego przyznać. Zresztą nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

– Lila, ty bierz tego najwyższego, Bogdana, dobra? Bo my jakoś bardziej gadałyśmy z Patrykiem i Szymkiem – poleciła jej Ada, kiedy weszły do toalety, by omówić strategię.

– Ej, oni są bardzo fajni. Zwłaszcza ten Patryk, taki niby buntownik, ale widzę, że ma dobre serce. – Basia położyła dłoń na klatce piersiowej i zmrużyła oczy.

– Tylko się tu nie zakochaj – zganiała ją Ada.

Obie miały po dziewiętnaście lat i właśnie skończyły szkołę średnią. Marzyły, by to lato uczynić najbardziej szalonym w ich życiu. Ada od roku mieszkała sama. Wychowywała się w domu dziecka, a kiedy uzyskała pełnoletność, dostała kawalerkę socjalną w centrum Jeleniej. Ona była z nich wszystkich najodważniejsza i najmniej pruderyjna. Za to Basia, taka słodka i ugodowa, swoje w życiu przeszła. Rok temu na raka umarła jej mama. Ojciec zginął w wypadku dziesięć lat wcześniej. Jeden z jej dwóch braci urodził się tego samego dnia co ona, niby bliźniak, a całkiem inny. Dostał się właśnie do seminarium duchownego. Wiedziała, że wyjedzie i będzie miał wszystko gdzieś. Od dziecka czuł powołanie, a po śmierci rodziców oddał się służbie Bogu jeszcze gorliwiej. Jednak Basia nie wierzyła, że tam wytrwa. Śmiała się w duchu, że będzie pierwszym, który zrezygnuje z nauk i ze skruszoną miną wróci do domu. Drugi brat, zaledwie dwunastoletni Maciek, był jej oczkiem w głowie. Jako pełnoletnia siostra została jego prawną opiekunką. Kochała chłopaków z całego serca, ale bycie dorosłą i odpowiedzialną mocno ją przytłaczało, dlatego i ona cieszyła się na wieczorne spotkanie. Lubiła sobie czasem poszaleć na baletach. Nie była stałą bywalczynią, ale czasem po prostu potrzebowała resetu, bo codzienne życie potrafiło dać w kość. Ponieważ dzisiejszej nocy młodszy poszedł na nocowanie do kolegi, ona mogła się trochę zabawić.

– Okej, mnie wszystko jedno – odpowiedziała Lila. – Ale dziewczyny, nie macie zamiaru się chyba rozchodzić? – wołała się upewnić.

– A przestań – zganiała ją Ada. – Będzie, co będzie, nie ma co zakładać. A teraz otwórz szeroko buźkę, bo leci samolocik! – Wykonała koliste ruchy dłonią,

w której trzymała białą tabletkę.

– Co... – Lila nie zdążyła zapytać, bo narkotyki wylądował w jej ustach.

– Popij! – Ada podała jej butelkę z wódką. – My, dzieci z patologicznych rodzin, musimy trzymać się razem. – Pociągnęła usta czerwoną pomadką i poprawiła czarne rajstopy. – No, jestem gotowa. A wy? – Uśmiechnęła się do koleżanek. – Baśka, chcesz? – Wyciągnęła rękę w jej kierunku, częstując tabletką.

– Nie, dzięki. Wiesz, że ja nie biorę – powiedziała asertywnie.

Spotkanie w akademiku okazało się nie tylko ciekawym, ale i pouczającym wydarzeniem. Bogdan pokazał im miejsca, które były zakazane dla tutejszych pensjonarek. Budynek, powstały zaraz po wojnie, przygotowano na okoliczność ponownego jej nadejścia, tak więc pod poziomem parteru mieścił się bunkier na kilkadziesiąt osób, z osobnymi salami dla VIP-ów. A może po prostu była to zwykła piwnica przerobiona na gabinety? Nie wiedzieli tego na pewno, ale woleli wierzyć w tę pierwszą wersję. Cała eskapada wydawała się wtedy bardziej pociągająca i niesamowita. Zeszli po betonowych, masywnych schodach z kotłowni. Nie znajdowały się za żadnymi drzwiami, ale za betonowym włazem ukrytym w podłodze. Czuli się, jakby odkrywali dawną tajemnicę, o której nikt oprócz nich nie miał pojęcia. Atmosfera ekscytacji i niewielkiego lęku przepęlniała Lilę, sprawiając, że zapomniała o wszystkich trudnych wydarzeniach tego dnia.

– Nie możemy zapalać światła, bo ktoś mógłby nas zauważyć i zawołać psiarnię – tłumaczył dziewczynom Szymon – dlatego będziemy się bawić pod ziemią, gdzie nikt nam nie przeszkodzi! – Zakołysał im przed oczami trzema butelkami zagranicznej whisky, kupionymi od znajomego na Florze.

W podziemnym bunkrze znaleźli wszystko, czego potrzebowali: gniazdka elektryczne, żeby podłączyć odtwarzacz kaset magnetofonowych, szklanki do drinków, kanapy, a nawet wątpliwej urody obrazy na ścianach, mające najwyraźniej zapewnić złudzenie normalności w razie nalotów. Przez następną godzinę tańczyli, śmiali się i wygłupiali jak zwykli młodzi ludzie. Czuli się beztroscy i szaleni. A przynajmniej tak się zdawało Lili.

– Co lubisz? – Bogdan chrapliwie wyszeptał jej pytanie do ucha, kiedy zostali sami. Poczula jego palce wędrujące od kostek nóg ku górze. Było w tym dotyku coś zarówno pociągającego, jak i niebezpiecznego.

– W jakim sensie? – Nie rozumiała, o co mu chodzi i gdzie zniknęły nagle dwie pozostałe pary. Rozejrzała się niepewnie dookoła, strzepując jego ręce ze swojego ciała.

– Ej, nie bądź taka – ofuknął ją i pocałował namiętnie w szyję. – Przecież jesteśmy tu po to, by się dobrze bawić.

– Tak... tak – przyznała mu rację. Przecież sama chciała się dobrze zabawić. Pokazać tym dwóm palantom, którzy ją zawiedli, że nie są jedyni, że ona nie ma zamiaru po nich płakać, że potrafi żyć bez nich. Odwzajemniła się całusem i wtedy poczuła na sobie jego ciężkie ciało. Na moment straciła oddech. Bogdan był silny i sprawił, że nie mogła się ruszyć.

– Wyglądasz mi na taką, co lubi ostrą jazdę – powiedział, a oczy zabłyszczały mu dziwnym blaskiem, który wróżył coś złego.

Poczuła się niepewnie. Alkohol i narkotyki nie do końca pozwalały jej dobrze ocenić sytuację. Nie widziała wyraźnie, w głowie jej się kręciło, a w uszach szumiało. Z jednej strony chciała tego, ale z drugiej coś ją powstrzymywało, mówiło, żeby tego nie robiła, że ona nie jest taka. A może, że on jest niebezpieczny? Stała się podnieść i zepchnąć go, ale okazała się za słaba.

– Co znowu? – zawołał oburzony i złapał ją za nadgarstki. – A... już wiem. Bawimy się w pana i niewolnicę. – Na jego ustach pojawił się złowieszczy uśmiech.

Próbowała się wyrwać, ale jedno silne uderzenie w twarz całkowicie ją sparaliżowało.

– Przestań, kurwa – wysyczał. – Dobrze wiedziałas, po co tu przychodzisz.

Rozpiął jej spodnie i zdarł je z niej jednym szybkim ruchem. Krzyknęła, ale przy głośnej muzyce i zważając na grubość ścian, wąpiła, żeby ktoś w drugim pomieszczeniu ją usłyszał. Bogdan przywarł do niej i zakrył jej usta dłonią. Miał jednak problem, by jedną ręką rozebrać siebie, i to była jej szansa. Zaczęła udawać posłuszną, tak żeby dał jej trochę luzu. Pocałowała go nawet w usta, powstrzymując się przed obrzydzeniem z powodu smrodu papierosów i mieszanego alkoholu. I kiedy tylko wyczuła, że zyskała pole manewru, zerwała się na równe nogi.

– Przestań, ja nie chcę! – Próbowała uciec do drzwi, ale potknęła się o zawinięty dywan i upadła. Kiedy wstała, on już przy niej stał.

– Co z tobą, kurwa? – krzyknął do niej. – Masz jakąś chorobę psychiczną czy co? Raz tak, raz siak – przedrzeźniał ją.

Głośna muzyka dudniła jej w głowie, a pokój zdawał się wirować. Mimo to kiedy chwycił ją w pasie, zdołała się wyrwać i uderzyć go ręką w twarz. Następne, co poczuła, to jak leci z dużą siłą i uderza o coś twardego i ostrego. Straciła przytomność.

Drzwi pokoju otworzyły się i weszli pozostali młodzi ludzie. Śmiali się i podrygiwali w rytm muzyki.

– O Boże! – Basia padła na kolana, potrząsając koleżanką. – Lila, nic ci nie jest? Lila?!

– Co się tu stało? – wydarła się na niego Ada. – Co jej zrobiłeś? – Widok nieprzytomnej, półnagiej dziewczyny, nienaturalnie opartej o szafę wprawił ją w konsternację, ale może po prostu Lila upiła się i odpłynęła?

Szymon i Patryk, ogłupiali, obserwowali scenę, nie wiedząc, co począć.

– Nic nie zrobiłem. Przysięgam! – tłumaczył się Bogdan. – Właśnie po was szedłem.

Szymon podszedł w końcu do magnetofonu i go wyłączył.

– Lila, obudź się – płakała Baśka.

– Przestań. Nic jej nie będzie – bagatelizował Bogdan. – Tańczyła nawalona, potknęła się i upadła. Prześni się trochę, to wstanie.

– Tu jest krew – zauważył przerażony Patryk. Czuł, że widok czerwonej mazi całkowicie go paraliżuje.

– Biegnijcie po pomoc – poleciała im Ada. – My z nią zostaniemy. No już! Lećcie! Wezwijcie karetkę.

Trzej młodzi mężczyźni, nie zastanawiając się długo, wybiegli z pokoju. I tylko jeden z nich wciąż miał przed oczami widok konającej dziewczyny. Nigdy nie widział nic piękniejszego. Nigdy nie widział niczyjej śmierci. No, może poza kotem, którego kiedyś zatłukł jako jedenastolatek, i psem sąsiadki. Tego drugiego pozbawił życia, bo za głośno szczeakał. Zakopał go wtedy w ogródku. Nie rozumiał dlaczego, ale w chwili gdy odbierał im życie, czuł przyjemny, łaskoczący całe ciało dreszcz podniecenia. Teraz czuł to samo, patrząc na Lilę. Że też tamci musieli wrócić w najgorszym dla niego momencie. Że też zaprosił ich wszystkich! Następnym razem zaciągnie tu samą dziewczynę. Już nie mógł się tego doczekać. Nawet nie zauważył, jak wyszli na poziom parteru.

– Kurwa, ktoś idzie – odezwał się cicho Szymon, słysząc otwierane z podwórka drzwi. Zaczął się zastanawiać, dlaczego szepcze. Przecież mieli wezwać pomoc, a on stara się, by nie zwracać niczyjej uwagi.

– Jest tu kto? – pytanie starszego mężczyzny zawisło w powietrzu.

– Idźcie stąd – polecił im konspiracyjnie Bogdan. – Jak mój wujek was tu zobaczy, będę miał przejebane. – Zamknął dokładnie włącz i przykrył dywanem.

– No co ty! – oponował Patryk. – Musimy wezwać karetkę. Powiedzmy mu, co się stało.

– Ja to zrobię. Na dziewczyny się nie zezłości, ale wam może porządnie zaszkodzić. Pójdzie do waszych starych. Mnie z pewnością też się oberwie. Ale ktoś musi się podłożyć. Uciekajcie tylnym wyjściem, a ja z wujkiem się nimi zajmujemy. No już, biegnijcie, chyba że też chcecie mieć przejebane.

– Dobra! – Szymon pociągnął Patryka za ramię. – Spadamy stąd.

Wrócili do domu koło dwudziestej. Widok śpiących dziewczynek i posprzątanego domu po prostu ich rozczulił.

– Zrobiłam wam ciepłą kolację – przywitała ich Żaneta, kiedy weszli do kuchni.

– Żaneta, jesteś niezastąpiona, może chcesz się wprowadzić? – zażartowała Olga. Była jej naprawdę wdzięczna i zachodziła w głowę, jak mogła podejrzewać tę dziewczynę o cokolwiek.

– Bardzo chętnie zjem, tylko się najpierw wykąpię. – Kornel pocałował Olę w czoło. – Dziękuję, Żaneta. Ja też uważam, że jesteś niezastąpiona.

– Będiesz kiedyś supermamą – pochwaliła ją Olga.

– Raczej nie będę w ogóle – odpowiedziała ze smutkiem, po czym się uśmiechnęła. – Napijesz się herbaty?

– Dlaczego twierdzisz, że nie będziesz mamą? – spytała Olga, kiedy usiadły na kanapie w salonie. Pokój oświetlony jedynie przez lampkę nocną doskonale nadawał się do poważnych, wieczornych rozmów, ale czy powinna o to pytać? To w końcu indywidualna sprawa każdej kobiety. I jej własny wybór. Nie potrafiła jednak zrozumieć. – Pamiętam, że kiedy byłam w ciąży, to ty mi najwięcej opowiadałeś o wyprawce, wózkach i tych sprawach. Widzę, jak zajmujesz się moimi córkami, i wiem, że masz w sobie dużo miłości. – Spojrzała na nią wyczekująco.

– Tak... – przyznała dziewczyna, a jej twarz znów spoważniała.

Przez chwilę zdawała się być tą samą „starą” Żanetą, jaką Olga pamiętała z początków ich współpracy. Ale potem coś jakby puściło...

– Kiedy miałam siedemnaście lat, zaszłam w ciążę. – Spojrzała na swoją rozmówczynię, chcąc wyczuć jej reakcję. – Stało się to za sprawą gwałtu i bardzo długo uważałam, że sama byłam sobie winna. Wiesz, jako nastolatka lubiłam latać po dyskotekach, nosić krótkie spódniczki, pić i szlajać się ze znajomymi. Nie należałam do grzecznych, ułożonych dziewczynek. Raczej do buntowniczek, obrażonych na cały świat.

Olga zrobiła zdziwioną minę, bo kogo jak kogo, ale Żanety nigdy by o coś takiego nie podejrzewała.

– I na początku nienawidziłam tego dziecka – wyznała ze smutkiem. – Czułam, że rośnie we mnie mały potwór, który mnie zniszczy, pozbawi dotychczasowego życia i skaże na wszystko, co najgorsze. Nienawidziłam siebie, że na to pozwoli-

łam. Nienawidziłam tego, który mi to zrobił. Nienawidziłam też swoich rodziców, bo zamiast na mnie nawrzeszczyć i wyrzucić z domu, okazali wsparcie i chcieli pomóc. Byli gotowi trwać przy mnie niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję. I to pokazało mi, że to ja jestem zepsuta i podła, a nie oni. Choć to wobec nich się buntowałam, uciekając na dyskoteki i wążając się po mieście nocami. Ale kiedy dostałam od losu nauczkę, a oni okazali mi miłość i wsparcie, znienawidziłam siebie jeszcze bardziej.

Olga słuchała z zapartym tchem, starając się nie przerywać, chociaż kilka razy chciała już zaprotestować.

– Zastanawiałam się, czy nie usunąć, zwłaszcza że mogłam przeprowadzić to całkiem legalnie. Wystarczyło tylko zgłosić gwałt. Ale tak po prawdzie nawet tego nie musiałam robić. Rodzice zapewnili mnie, że znajdą dobrego lekarza, jeżeli podejmę taką decyzję. Woleli sami w tym uczestniczyć, niż skazać mnie na tułanie się samej po ginekologicznych podziemiach, gdybym zdecydowała się na aborcję bez zgłoszenia przestępstwa. – Westchnęła. – Ale pewnej nocy obudził mnie silny skurcz. A kiedy się podniosłam, zobaczyłam na łóżku mnóstwo krwi. – Spojrzała w przejętą twarz Olgi. – Reszty możesz już się domyślić. Poroziłam, a zaraz potem dostałam zapalenia przydatków i jakichś komplikacji. Lekarze powiedzieli mi, że prawdopodobnie już nigdy nie będę mogła zajść w ciążę.

– Boże, dziewczyno... – Olga przysunęła się do niej i objęła ją mocno. – Przeszłaś przez straszne rzeczy, ale nigdy, ale to nigdy nie możesz sobie mówić, że jesteś winna gwałtu ani tego, że spotkało cię coś złego – powiedziała poważnie.

– Teraz już to wiem. Od kilku miesięcy chodzę na terapię i czuję, że zaczynam odnajdywać siebie. Nie tę zbuntowaną, nierozumiejącą życia dziewczynę, którą byłam kiedyś, ani nie tę pozapinaną na wszystkie guziki zakonnice, którą stałam się potem. Tylko siebie. Taką, jaką jestem ostatnio. Lubię tę Żanetę i mam nadzieję, że już nią zostanie.

– Ja też ją lubię. – Szturchnęła ją w ramię. – To fajna babka jest.

– A wy tu co? – Zdziwiony głos Kornela przerwał ich przytulanki. – Bo będę zazdrosny – zażartował. – Żaneta, mów, jak możemy ci się odwdziżyć za pomoc.

– Wystarczy, że opowiecie mi, co się dziś działo, bo chociaż dzieci są kochane, cholernie tęsknię za pracą. – Zachichotała, a oni spełnili jej prośbę.

– I potem zadzwoniłam do Mirka – Olga kończyła swoją relację z wizyty u Rokoszynów. – I oczywiście okazało się, że siedzą w komendzie na tajnym spotkaniu, o którym miałam nie wiedzieć.

– Byłaś chora – wtrącił Kornel na swoją obronę.

– A ty nawet nie pracujesz w policji! – obruszyła się.

– No i co, i co? – Żaneta była żądna dalszych szczegółów.

– Jutro przyjdą wyniki sekcji, sprawozdania od techników, zwłaszcza od traseologa, no i szukamy dalej. Ale Kowalik już podpisał nakaz wydania bilingów i dostępu do esemesów Bogdana Płaskiego. Mamy nadzieję, że zabójca się z nim skontaktuje. U Mileny był też Mateusz – nasz rysownik, a technicy ściągnęli odciski. Wszystko ma być zrobione na cito, więc liczymy na to, że okaże się, iż facet jest w bazie.

– Czyli jesteśmy już bardzo blisko... – Żaneta zmrużyła oczy. – To znaczy jesteście – poprawiła się.

– Jesteśmy, jesteśmy. Gdyby nie ty, nie moglibyśmy prowadzić tego śledztwa – odparł, czując tęsknotę za dawnym zajęciem.

– Będę już uciekała. – Dziewczyna wstała z kanapy i odstawiła kubek do zmywarki. – Macie jutro opiekę dla dzieci?

– Tak, w żłobku już przyjmują normalnie, a Ola idzie do szkoły – wyjaśnił Kornel.

– Zatem wracaj do pracy. – Olga uśmiechnęła się i odprowadziła ją do drzwi. – Żaneta? – Zatrzymała ją w progu.

– Tak?

– Pamiętaj, że jesteś świetną dziewczyną i bardzo cię cenimy.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się. – A ty pamiętaj, że rodzina to wielkie szczęście. To najwspanialsze, co może się człowiekowi przydarzyć. Ja dopiero po stracie dziecka zdałam sobie sprawę z tego, że je kochałam, że go chciałam, tylko byłam zbyt przerażona, żeby sprostać wyzwaniu. A morał płynie taki – westchnęła – że trzeba doceniać to, co mamy, bo nie znamy dnia ani godziny... – Zanim wsiadła do auta, pomachała Oldze.

– Nie znamy dnia ani godziny – wymamrotała do siebie, wracając do kuchni. Rodzice Tomka i Doroty wiedzieli o tym doskonale. Oby ona nigdy nie musiała dźwigać takiego ciężaru.

– No jak tam? – Kornel rozpostarł szeroko ramiona, zapraszając ją na przytulanki.

Skorzystała. Wtuliła się w niego najczulej, jak umiała, i od razu poczuła bezpieczeństwo, ulgę, ale i lęk o to, że może go kiedyś stracić.

– Kocham cię. – Spojrzała mu w oczy. – I doceniam, co dla nas robisz.

Spoważniał. Zazwyczaj po takich wyznaniach kwitował je jakoś humorystycznie, ale teraz widział, że coś ją trapi. Zbliżył do niej swoje usta i zaczął namiętnie

całować. Tej nocy kochali się z pasją i czułością, bez zbędnych słów. A rano wtuleni w siebie czekali do ostatniej minuty przed budzikiem, zanim wstali do pracy.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał. Właściwie nie pamiętał, żeby w ogóle kiedykolwiek płakał. Nie stało się to w dniu, kiedy ojciec kazał mu zostawić Lilę, oświadczając, że taka patologia nie wstąpi do ich rodziny. Nie zapłakał również, kiedy ona sama go zostawiła, uważając, że tamten wyrostek bez charakteru będzie dla niej lepszym partnerem. Ani nawet kiedy zdał sobie sprawę, że zaginęła.

We wrześniu, kiedy byczył się jeszcze, korzystając z trzymiesięcznych wakacji studenta, zadzwoniła do niego jej koleżanka Danka. Powiedziała, że Lila od miesiąca nie dała znaku życia. Że wyjechała nad morze, ale stamtąd nie wróciła, że w szkole nikt nie wie, gdzie ona jest. Pamięta jak przez mgłę tamte wydarzenia. Przyjechał do Jeleniej, poszedł do jej domu, porozmawiał z ojcem, ale ten zakomunikował mu, że córka jest dorosła i się wyprowadziła. Był wściekły na tego pijaka i zniesmaczony stanem mieszkania, jaki zastał. Ale to dawało mu pewność, że Lila faktycznie od dawna tu się nie pojawiła, inaczej nie pozwoliłaby na taki syf. Poszedł też do Michalika. Zebrał się w sobie, schował dumę do kieszeni i zdecydował się z nim porozmawiać. Jeżeli ktokolwiek wiedział, gdzie ona jest, to z pewnością właśnie on. Ale zamiast informacji dostał od niego w ryj i na tym się skończyło. Artur wyzwał go od śmieci niszczących ludziom życie. Wrzeszczał w amoku i gadał coś od rzeczy o utraconej miłości, cierpieniu i samotności. Co on mógł, do cholery, wiedzieć o cierpieniu i samotności?!

Robert poczuł wtedy ogromny bunt. To przecież on pozostawał całe życie samotny. Otoczony wianuszkiem dziewczyn, zamożną rodziną, wrzucony w przeladowany harmonogram, jaki przygotował dla niego ojciec, a jednak cholernie i dojmująco samotny. Tylko Lila była z nim naprawdę, tylko ona obdarzała go prawdziwymi uczuciami, ale on nie potrafił jej się wtedy odwdziżyć tym samym. Chociaż kochał tę dziewczynę, wybrał posłuszeństwo ojcu, a później, kiedy wydawało mu się, że mogą bez przeszkód być razem, ona wybrała Artura. Tego samego, który strzelił mu w ryj, nazywając mordercą. Mordercą? Przecież on prędzej zabiłby dla niej, ale na pewno nie ją. Racja, w akcie desperacji i przygnieciony porażką rzucił taką groźbę. Myślał, że Artur zostawi Lilę, a ona skruszona wpadnie w jego ramiona, ale tak się nie stało. Lila zniknęła, a on przez długie trzydzieści lat nie wiedział, gdzie się podziewa. Po mieście krążyły różne plotki. Większość o tym, że wyjechała nad morze do pracy.

Kiedy Robert powiadomił policję o jej zniknięciu, a wokół sprawy zrobił się niezły szum, na policję przyszedł list. A w nim zdjęcie trzech roześmianych dziewczyn tańczących w jakimś domu i informacja, niby pisana przez Lilę, że

wszystkie czują się dobrze, że nie zamierzają wracać, że chcą zacząć od nowa gdzie indziej. Nigdy w to nie uwierzył. Był przekonany, że list spreparowano, a zdjęcie mogło przecież zostać zrobione dużo wcześniej, ale z powodu braku jakichkolwiek dowodów na popełnienie przestępstwa sprawa została po jakimś czasie zamknięta. Podobno na policję w Międzyzdrojach zgłosiły się trzy dziewczyny ze zdjęcia, z dowodami tożsamości, kategorycznie twierdząc, że nie życzą sobie, by ich poszukiwano, bo są dorosłe i żyją własnym życiem. Nie uwierzył w to. Z pewnością to jakieś wynajęte lumpiary, które za parę złotych zagrają każdy spektakl. Z drugiej strony, nie wiedział, kim były dwie pozostałe dziewczyny. A z tego, co się orientował, w Jeleniej nikt więcej nie zgłosił zaginięcia. W latach dziewięćdziesiątych po zmianie ustroju polityczno-społecznego policja naprawdę miała urwanie głowy i nie zajmowała się zbyt gorliwie takimi bzdurami.

Jedyny plus, że właśnie wtedy Robert poczuł, że chce skończyć prawo. Został prokuratorem i wsadzać do paki przestępców krzywdzących takie kobiety jak Lila. Chociaż nie wiedział przecież na pewno, że ktoś ją skrzywdził. A może to tylko jego zranione ego nie dopuszczało możliwości, że ona naprawdę od niego uciekła?

Zastanawiał się nad tym przez wiele lat, w każdej informacji o niezidentyfikowanych kobiecych zwłokach doszukując się rozwiązania ciężącej mu zagadki. Ale nigdy nie odkrył prawdy. Aż do dziś. Aż do chwili, kiedy zobaczył maila od Mariusza Młota, antropologa, któremu w tajemnicy przed zespołem zlecił stworzenie portretów na podstawie szkieletów znalezionych na terenie bursy. Miał przecucie, że tym razem odnalazł Lilę. Zapłacił z własnych pieniędzy za pracę techników po godzinach. Nie żałował też grosza na badania genetyczne, by ustalić kolor oczu i włosów. Byłoby poznać ich wygląd jak najszybciej i jak najdokładniej.

I kiedy dziś spojrzął na przysłane przez antropologa załączniki z domniemanymi twarzami trzech młodych dziewczyn, zamarł w bezruchu. W końcu ją znalazł. Patrzyła na niego łagodnie z ekranu komputera. Taka, jak ją zapamiętał. Na początku myślał, że serce wyskoczy mu z piersi. Łomotało w klatce piersiowej z taką siłą, że bał się, że dostanie zawału. Nie dowierzał. Po trzydziestu latach w końcu ją znalazł. Nie zauważył, kiedy spadła pierwsza łza. Ale dała początek setkom kolejnych i nie był już w stanie ich powstrzymać. Nie zarejestrował nawet, jak dostał się na teren bursy. Świadomość wróciła do niego, dopiero kiedy przemarznięty siedział po ciemku na ziemi w miejscu, gdzie znaleziono trzy zakopane szkielety. Poczuł w kieszeni płaszczka wibrujący telefon.

– Olga? – Nie do końca się jeszcze otrząsnął, ale starał się mówić pewnie.

– Gdzie jesteś, do cholery? – Usłyszał jej zdenerwowany głos. W pierwszej kolejności chciał jej zwrócić uwagę. Co ona sobie wyobrażała, odzywając się do niego tym tonem, ale nie pozwoliła mu odpowiedzieć. – Zawaliłeś jakąś rozprawę. Nie stawileś się w sądzie. Nie przyszedłeś też na spotkanie grupy, chociaż zostawiłam ci informację na skrzynce, że mamy nowe wiadomości – mówiła jednym tchem.

Słyszał, że jedzie autem, wyczuł, że gdzieś się spieszy i że sprawa, z którą dzwoni, jest pilna.

– Potem wyjaśnię – rzucił tylko. – Co się dzieje? – Poczuł, że wracają mu siły.

– Dużo! – Nie wiedziała, od czego zacząć. – Najważniejsze: jedziemy na teren bursy. Kuba dostał bilingi rozmów i esemesy z telefonu Bogdana Płaskiego. Okazało się, że jest w kontakcie z niejakim Maciejem Hołdą.

– Hołdą? – wszedł jej w słowo. – Takie nazwisko nosił nasz ksiądz samobójca.

– Dokładnie tak. Sprawdziliśmy tego Macieja. Jego zdjęcie z dowodu pasuje do portretu wykonanego przez rysownika. Odciski palców też się zgadzają. To on, to na pewno on. Brat Grzegorza Hołdy i brat Barbary Hołdy, która oficjalnie nie podołała opiece nad dwunastoletnim wtedy chłopakiem i wyjechała szukać szczęścia w świecie.

Dopiero teraz cała historia nabrała dla niego sensu i ułożyła się w logiczną całość. Wczoraj, kiedy Olga przyjechała wieczorem z historią poznaną u Rokoszyńców, jego nie zastała już na spotkaniu. Żaneta coś mu wspominała wieczorem przez telefon, ale był zbyt przejęty i zdenerwowany, aby dotarły do niego wszystkie informacje.

– Dlaczego zabija? – spytał o motyw, choć to wydawało się oczywiste.

– Miał straszne życie. Kiedy siostra wyjechała, a brat poszedł do seminarium, Maciek trafił do rodziny zastępczej. Ale ponieważ sprawiał problemy wychowawcze, opiekunowie szybko go oddali. Kolejna rodzina, jaka go przyjęła, cieszyła się nienaganną opinią, ale Robert, pamiętasz sprawę państwa Wawrzyniaków? – Zawiesiła głos.

– Kto by nie pamiętał... – Wzdrygnął się na to wspomnienie. Był za młody, by uczestniczyć w tym osobiście, ale ten przypadek jeszcze przez długie lata omawiano na mieście. Jedna z rodzin zastępczych okazała się kompletnie zdeprawowana. Małżonkowie wychowywali troje małych dzieci. Przypalali je papierosami i żelazkiem, karali wielogodzinnymi kąpielami w lodowatej wodzie, głodzili i poniewierali psychicznie. Dzieciaki często spały w stodole w odchodach zwierząt, bo państwo Wawrzyniakowie prowadzili gospodarstwo pod Jelenią. Pewnej nocy

jeden z chłopców nie wytrzymał i zadzgał mężczyznę we śnie. – Chcesz powiedzieć, że zrobił to Maciek?

– Nie. Inaczej jego nazwisko byłoby nam znane. Sprawcą, a zarazem ofiarą okazał się inny chłopiec, Kamil. Ale Maciej należał do tej trójki. Jego dzieciństwo to koszmar. Ale i młodość nie lepsza. Okaleczony psychicznie, zszedł na złą drogę. Mamy go w bazie, bo kilka razy siedział za rozboje i kradzieże. Musiał się dowiedzieć od brata o spowiedzi Patryka Rokoszyna, o tym, że czuł się winny śmierci tych dziewczyn, i postanowił się zemścić. Zabito mu ukochaną siostrę, która by się nim opiekowała. Gdyby żyła, nie trafiłby do rodziny zastępczej.

– Dobra, ale dlaczego jedziecie do bursy? – przerwał jej.

– Bo tam się dziś umówili. Tak wynika z esemesów. Bogdan zgodził się przyjść.

Kowalik rozejrzał się szybko wokół, ale nie zauważył w tej ciemności żywego ducha. Żaden odgłos nie wzbudzał też podejrzeń. Cisza, przerywana jedynie lekkimi podmuchami wiatru. Nagle z budynku obok, który zdawał się po prostu starym, na wpół rozebrany barakiem, usłyszał strzał.

– Pośpiesz się. Już tu są. Wchodźcie od razu do blaszaka. – Wstał z miejsca i rozłączył się, zanim zdążyła mu zadać pytanie, co tam robi.

Skradał się pomału, na wpół zgarbiony. Chciał podejść do okien, chociaż wątpił, czy coś zobaczy przez zmatowiałe, brudne szyby. Ale niektóre z nich były powybijane i postanowił stamtąd zajrzeć. Ciemna noc doskonale go maskowała. W budynku dostrzegł poruszające się światło i usłyszał jakieś głosy. Wysunął się, by lepiej widzieć, choć perspektywa wystawienia się dwóm mordercom, kiedy nie ma się przy sobie broni, nie należała do najmądrzejszych. Ale chciał go zobaczyć. Tego, który zabił mu Lilę. Chciał spojrzeć mu w oczy i... Przeraziła go myśl, że wcale nie zamierzał go skarżyć. Poczł narastającą chęć, by się zemścić, by zabić. Śmierć za śmierć, pomyślał. I właśnie w tej chwili zdał sobie sprawę, że niewiele różni go od Macieja Hołdy. Każdy w specyficznych warunkach, targany skrajnymi emocjami może stać się zabójcą. A porządnego obywatela od przestępcy dzieli bardzo cienka linia.

– Puść mnie, ty świrze – wrzeszczał przywiązywany liną do krzesła mężczyzna. – Nie ja je zabiłem. To ci dwaj, Szymon i Patryk. Ja nie miałem z tym nic wspólnego!

Prokurator Kowalik szybko ocenił sytuację. Bogdan Płaski dał się złapać w pułapkę. Maciej Hołda czekał na niego w ciemności, najprawdopodobniej uderzył go w głowę i kiedy ten chwilowo stracił przytomność, posadził go na krześle i związał. Obok na podłodze leżała metalowa rura.

– Zamknij ryj – ten drugi mówił spokojniej. – Nic, co powiesz, nie zdoła cię już uratować. Zniszczyłeś życie wielu osobom i ktoś musi ci dać nauczkę. Opowiedziałbym ci, co przeżyłem, jak cierpiałem. Przez ile lat zastanawiałem się, dlaczego moja ukochana siostra mnie porzuciła. Dlaczego trafiłem do ludzi, którzy okazali się potworami, dlaczego stałem się tym, kim jestem. A odpowiedź jest prosta i zawiera się w dwóch słowach – przez ciebie!

Maciej Hołda odszedł na chwilę od swojego więźnia i usiadł na podłodze.

– Nareszcie cię mam, nareszcie cię mam – powtarzał jakby do siebie, ale po chwili podniósł wzrok na mężczyznę. – I wiesz, co zamierzam z tobą dziś zrobić? Odpłacę ci za wszystko, co mnie spotkało. Tych dwóch, o których wspominałeś, też już poniosło karę. Ale ty nie masz dzieci. Dlatego długo obmyślałem, co zrobić, żebyś cierpiał. Nie zabiję cię, o, nie. – Pokręcił przecząco głową. – Ale całą noc będę cię torturował, a na koniec odetnę ci ręce. – Chwycił leżącą opodal piłę mechaniczną. Dźwięk włączanego silnika rozszedł się po budynku. – I pozwolę ci dalej żyć. Tak, to będzie twoja kara.

Roberk Kowalik przełknął ślinę. Gdzie jest Olga? Sam wszedłby tam i najchętniej wymierzył sprawiedliwość im obu. Ale nie miał broni i choć buzowały w nim różne sprzeczne emocje, nie był na tyle głupi, by rzucać się na bandziorów z gołymi rękoma. A może niech się powybijają nawzajem? Może to będzie sprawiedliwe.

Następne wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy. Bogdan Płaski zdołał przeciąć linę nożem schowanym w rękawie bluzy. Jego oprawca był tak skoncentrowany na tym, co chce mu zrobić, że w tej ciemności oświetlonej tylko marnym światłem latarki położonej na podłodze nie dostrzegł, że Bogdan się wyswobodził. Nóż, rzucony z dużą siłą, wbił się w ramię mężczyzny. Maciek zawył niczym postrzelone zwierzę i zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, jego wróg doskoczył do niego. Wyciągnął nóż, podniósł do góry i kiedy zobaczył upragnione prerażenie w oczach ofiary, był już gotowy, by wbić mu go w serce. Nigdy w życiu nie zabił jeszcze mężczyzny. To będzie jego pierwszy raz i bardzo na to czekał. Kiedy Hołda odezwał się do niego, oświadczając, że zna prawdę, i grożąc, że jeżeli nie przyjedzie w wyznaczonym terminie do bursy, to wyśle wszystkie dowody policji, ucieszył się. Miał ochotę odwiedzić stare śmieci, a perspektywa spotkania się twarzą w twarz z krewnym swojej ofiary mocno go pobudzała. Uniósł nóż oburącz i...

– Stój, bo strzelam! – Usłyszał kobiecy głos i zobaczył dwóch rzucających się na niego mężczyzn.

Robert Kowalik wszedł do pomieszczenia, gdzie skuwano w kajdanki obu zabójców. Rozejrzył się, powstrzymał emocje, po czym zbliżył do Bogdana Płaskiego. Mężczyzna wyprostował się i spojrzawszy mu w oczy, parsknął śmiechem.

– Wiem, że sprawa uległa przedawnieniu, więc możecie sobie jedynie pomarzyć – powiedział triumfalnie. – Myślisz, że byłbym tak głupi, żeby tu przyjechać, gdyby nie to?

– Być może – odpowiedział spokojnie Robert. – Ale posiedzisz sobie za napaść na kolegę. A ja się postaram, żebyś stał się ulubieńcem współwięźniów. Daję ci słowo prokuratora.

Jeszcze nie postanowił, co z nim zrobi, ale wielu ludzi wisiało mu przysługi i czas je odebrać.

Kiedy Balicka i Zagórski wyprowadzali zabójców, do Kowalika podszedł Artur Michalik.

– A więc to tu...

– Tu... – przytaknął prokurator.

Milczeli. Obaj czuli potrzebę, by o tym porozmawiać, ale żaden nie wiedział, od czego mógłby zacząć. Przez lata tłumili emocje, które teraz aż pchały się do wyjścia. Tylko tak trudno było ubrać je w słowa.

– No dobra – pierwszy odezwał się komendant. – Czas wracać do domu. Sprawa zamknięta. – Obrócił się na pięcie i chciał odejść.

– Artur! – zawrócił go Robert.

– No? – Niedźwiedzia postura Michalika zwróciła się w jego kierunku.

– Pójdziemy na piwo?

– Pewnie. – Starał się to ukryć, ale jego oczy się zaszklily.

— — —

Komisarz Balicka rozdzieliła się z podkomisarzem Zagórskim. Każde z nich prowadziło jednego podejrzanego do osobnego radiowozu.

– A jednak przeżyłaś... – powiedział do niej z nieukrywanym zawodem Maciej Hołda.

– Słucham? – Olga przystanęła. – Wyłumacz, bo nie rozumiem – poleciła, zanim zapakowała go do policyjnego samochodu.

– Słyszałem, że herbatka wypita na plebanii mocno ci zaszkodziła.

I wtedy zrozumiała. To nie cukierek od Tamary. To herbata zrobiona przez proboszcza, do której Maciej musiał ukradkiem wrzucić zabójczą dawkę leków. Faktycznie, kiedy przyjechali na miejsce, proboszcz mówił, że ojciec Grzegorz pociesza teraz brata po stracie siostry. Obaj musieli znajdować się wtedy na plebanii i jakimś sposobem udało się młodszemu Hołdzie przedostać na zaplecze i wsypać truciznę do jej kubka. Gdyby tylko Olga nalegała na przesłuchanie księdza, być może już wtedy dowiedzieliby się, o co w tym wszystkim chodziło.

– Dlaczego ci młodzi ginęli w takich odstępach czasu? – zapytała. – Dlaczego nie zabiłeś ich od razu? Czy to miało jakieś znaczenie?

– Bez konkretnego powodu. – Wzruszył ramionami. – Zabijałem, jak byłem gotowy. Za pierwszym razem wtrącił się mój święty braciszek. Przyłazł do mnie z jakimiś mazidłami, kiedy pochwaliłem mu się uprowadzeniem. Zobaczył, że od uderzenia w głowę córka Ziółki jest nieprzytomna, ale żyje. Udzielił jej namaszczenia. Modlił się o jej uzdrowienie. Błagał, żebym ją wypuścił. Okłamałem go, że to zrobię, że wywiozę ją do miasta i ucieknę, a on się nabrał. Potem przyłaził do niej na teren bursy. Odmawiał różaniec za jej duszę. Doglądał, by nie zjadały jej zwierzęta. Dopiero kiedy zobaczył tego chłopaka, uznał, że ją znajda. Dlatego o następnym zabójstwie mu nie powiedziałem. Ale musiałem poczekać z podrzuceniem zwłok tak, żeby nikt się w pobliżu nie kręcił. Mój cholerny, święty braciszek też mi nie ułatwiał. Klóciliśmy się. Twierdził, że Bóg mi wybaczy. Że powinienem zgłosić się na policję. Czujesz? Ha, dobre! Bóg mi wybaczy. Tylko tak się składa, że ja nie wybaczę Jemu! Nigdy!

– Nie wiem, dlaczego cię nie wyspał – głośno myślała.

– Nie wiesz? To proste – parsknął. – Miał wyrzuty sumienia, że wybrał wygodne życie w seminarium, zamiast zająć się młodszym bratem, kiedy Basia zniknęła.

– Stałeś się taki sam jak ten, który zabił twoją siostrę. I przez ciebie dwie rodziny cierpią tak jak ty – podsumowała ze smutkiem. Przemoc rodzi przemoc. A cierpienie wcale nie uszlachetnia. Doskonale to wiedziała.

– Dobrze, o to mi właśnie chodziło – przyznał z uśmiechem na ustach, wsiadając do radiowozu.

– Hej, co masz taką strapioną minę? – Mirek podszedł i poklepał ją po ramieniu. – Złapaliśmy dziś zabójcę, i to nie jednego. Możemy świętować.

– Niby tak... – westchnęła. – Mimo wszystko jakoś nie jest mi wesoło. Tyle zła można było uniknąć, gdyby nie jeden wieczór trzydzieści lat temu...

Żeby dobrze zrozumiała... – Maria Chmurzyńska postanowiła zebrać wszystkie informacje. – Ten cały Bogdan, który miał wezwać karetkę i razem z wujkiem pomóc dziewczynom, po prostu zamknął włącznik i je tam zostawił?

– Tak... – westchnęła Olga, wyobrażając sobie ich agonię przez wiele dni.

– Ale dlaczego nie mogły uciec? Musiały krzyczeć, nikt ich nie słyszał? – Kuba nie mógł się z tym pogodzić.

– Niestety, sam akademik był opuszczony. Jedyne stróż zaglądał tam co parę dni, sprawdzając, czy nie wdarli się jacyś wandalowie lub złodzieje. Czekano na opinię architekta i wszyscy mieli nadzieję, że budynek da się jeszcze uratować, ale kilka tygodni później okazało się, że nic z tego – wyjaśniała Olga. – Teren bursy jest ogromny, a dziewczyny uwięziono w bunkrze. Bez szans, by się stamtąd wydostać. Wczoraj, gdy przesłuchiwałam Bogdana Płaskiego, wyznał, że podczas tamtych wydarzeń odkrył swoje powołanie. Parę dni po tym zdarzeniu wrócił do akademika, zszedł do piwnicy do Lili, Ady i Basi i, cytując: „Zobaczyłem je tak pięknie konające, że nie mogłem się oprzeć. Od tamtej pory zacząłem zabijać”. Dokładnie tak powiedział.

– A jak ciała znalazły się pod ziemią w parku? – dopytywała Maria.

– Ponoć kiedy dziewczyny jeszcze oddychały, ale już były w stanie agonalnym, zabierał je stamtąd po kolei i zakopywał we wcześniej przygotowanym dole. Przeprowadzał to wszystko nocą, więc nikt go nie zauważył.

– Czekaj, czekaj – Mirek coś sobie przypomniał. – Czy to dlatego trzydzieści lat temu Patryk Rokoszyn pobił Bogdana?

– Tak – przyznała. – Spotkali się jakiś czas po tym wydarzeniu i Patryk zapytał, czy z dziewczynami wszystko dobrze, bo słyszał, że jedna z nich zaginęła i szuka jej policja. Bogdan niby w żarcie zdradził mu wtedy, co zrobił. Poinformował, że wszystkie trzy umarły, a on zakopał je w ogrodzie. Patryk tak się zderwował, że wdał się z nim w bójkę, ale wtedy Bogdan szybko wycofał się z tego, co powiedział. Stwierdził, że tylko żartował, że kiedy razem z wujkiem wrócili do bunkra, Lila już odzyskała przytomność. Nie chciała jechać na pogotowie, bo rano miała autobus nad morze, i w końcu wszystkie trzy tam pojechały. Dwa tygodnie później na policję przyszedł list ze zdjęciem dziewczyn. Rzekoma

Lila pisała, że są dorosłe i wyjechały na własne życzenie, rozpocząć nowe życie i nie zamierzają wracać.

– A skąd to zdjęcie, skoro wtedy już nie żyły? – Maria nie spodziewała się tak zawiłej historii.

– Zrobili je tamtej nocy, kiedy jeszcze dobrze się bawili. Bogdan pojechał do Międzyzdrojów, wysłał list i prawdopodobnie zapłacił jakimś trzem laskom, żeby poudawały na policji. Miał dokumenty zmarłych. Zanim je zakopał, posprawdzał dokładnie ich torebki.

– Wiecie, co jest najgorsze? – nie mógł pogodzić się Mirek. – Że skurwiel za to nie odpowie. Bo sprawa uległa przedawnieniu.

– Odpowie! – Usłyszeli Roberta Kowalika, który właśnie wchodził do sali. – W ten czy inny sposób.

Nie zdążył zdradzić im żadnych szczegółów, kiedy Jakub wyciągnął telefon, który sygnalizował nadejście wiadomości. Policjant spojrzął na komórkę i pobrał.

– Co jest? – Olga złękła się, że coś przeoczyli. – No, mów!

– Hieronim Włodawski wysłał mi ememesa. – Podał jej telefon.

Aż powiększyła zdjęcie. Młoda, piękna dziewczyna leżała w lesie, z seledynową liną zaciśniętą na szyi. Była sinoblada, a jej otwarte, niebieskie oczy wpatrywały się w obiektyw. Olga zbyt wiele razy widziała umarłych, by mieć choć krztynę nadziei na to, że ta kobieta żyje...

KONIEC